PRZEJMUJĄCA ROZMOWA

Krzysztof Wyszkowski ostro o Lechu Wałęsie i Władysławie Frasyniuku

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 43/245 23–29 PAŹDZIERNIKA 2017

Pierwszy felieton Wybranowskiego – o samopodpaleniu w Warszawie

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM O LUDZIACH, KTÓRZY DOŚWIADCZYLI CUDU UZDROWIENIA

Zagadka pierwszej damy

dochodzenie DO RZECZY

Ujawniamy treść ważnego dokumentu

JAK TUSK ODDAŁ PUTINOWI ŚLEDZTWO SMOLEŃSKIE

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 105 tys. egzemplarzy

eprasa.pl:132a

InnVento startuje startupy!

PGNiG docenia energię środowisk startupowych. Dla nich właśnie powstał program InnVento – pierwszy polski inkubator wspierający innowacyjne pomysły związane z branżą energetyczną.

Program nastawiony jest na rozwijanie nieszablonowych i mających realną szansę powodzenia projektów. To w Warszawie, startupowym centrum Polski, dzięki bliskości ekspertów związanych z Grupą Kapitałową PGNiG świeże i nowatorskie pomysły mają szansę na dynamiczny rozwój.

Synergia doświadczenia międzynarodowej korporacji i nieszablonowego myślenia młodych przedsiębiorców pozwala wypracować rozwiązania, dzięki którym polski przemysł energetyczny pozostaje konkurencyjny.

InnVento – branża energetyczna nareszcie doczekała się rewolucji!

Znajdź nas na:

#startujemystartupy

Patronat honorowy

MINISTERSTWO ENERGII

InnVento
PROGRAM PGNiG

eprasa.pl 132a84d606

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W poszukiwaniu morału

Tylko w bajkach dobry zostaje nagrodzony, a zły ukarany. Jednak polityka, chciałoby się sparafrazować pewną mądrość, to nie bajka. Dlatego można się spodziewać, że polski rząd, dzięki któremu udało się obalić jeden z najgłupszych i najbardziej niedorzecznych projektów Brukseli – pomysł przymusowej relokacji uchodźców – za swoją determinację zapłaci. Mimo tego, że cała racja była po jego stronie, można się spodziewać, że w najbliższym czasie kolejni przywódcy Unii zaczną się pochylać z troską nad stanem polskiej praworządności. Będziemy mieli, być może, do czynienia z kolejnym festiwalem obłudy. Cóż, polityka to nie bajka.

W środę przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk powiedział, że „nie widzi przyszłości dla projektu relokacji uchodźców". Czyli przyznał tym samym, że projekt od początku nie był funta kłaków warty. Że ci, którzy go przygotowali – Komisja Europejska i ludzie, którzy nastawali na jego przeprowadzenie, m.in. kanclerz Angela Merkel – popełnili fundamentalny błąd. A właściwie nie tyle fundamentalny, ile niewybaczalny.

Wystarczyło się chwilę zastanowić, żeby z góry już przewidzieć jego skutki. Dlaczego zwolennicy relokacji nie zadali sobie podstawowych pytań? Czy przybysze z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu są w ogóle uchodźcami, skoro do granic Unii docierają często z państw, gdzie żadna wojna się nie toczy, a ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo? Jak odróżnić zatem uchodźców od imigrantów? Czy istnieją niebudzące wątpliwości sposoby zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom państw Unii, wśród których mieli się osiedlić migranci? Czy można być pewnym, że wśród masy ludzi przybywających do Europy nie kryją się zamaskowani terroryści? Jak odróżnić prawdziwych uchodźców od migrantów i od zamaskowanych bojowników islamu? Co zrobić – to kolejne pytanie – w sytuacji, w której wielu rzekomych uchodźców nie będzie chciało pozostać w państwie, do którego ich przymusowo wysłano? Czy trzeba ich internować? Stworzyć dla nich obozy otoczone przez wojsko? Zadanie tych pytań było czymś oczywistym równie dobrze dwa lata temu co teraz. A jednak decyzję o przymusowej relokacji podjęto nie tylko bez wyraźnej odpowiedzi na nie, lecz także – można mieć wrażenie – bez ich sformułowania!

Jeszcze ciekawsze jest to, że wszystkie te katastrofalne błędy praktycznie nie miały znaczących konsekwencji. Komisja Europejska działa w składzie bez zmian, szef Rady Europejskiej podobnie. Jeden z największych winowajców, kanclerz Niemiec, choć nieco osłabiona, wygrała wybory i dalej rządzi. Pani kanclerz, która podjęła arbitralnie i bez żadnych konsultacji decyzję wywracającą całą politykę imigracyjną poszczególnych państw Unii, nadal utrzymuje władzę i wymądrza się na temat stanu demokracji u innych. Toż to jest groteska jak z Mrożka. Tak jak socjalizm najlepiej rozwiązywał problemy, które sam stwarzał, tak unijni politycy okazują się najlepszymi specjalistami w usuwaniu skutków własnych błędów.

A morał? Chociaż polityka to nie bajka, to również z niej można wyczytać naukę. Ta zaś jest dość cyniczna: nawet najbardziej oczywiste błędy nie muszą pociągać za sobą kary. Na tym polega właśnie, mówiąc bardziej uczenie, europejski system zbiorowego braku odpowiedzialności. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 132a84d606

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
JAK TUSK ODDAŁ PUTINOWI ŚLEDZTWO SMOLEŃSKIE
Ujawniamy treść ważnego dokumentu

KRAJ

20 ROZMOWA Z KONSTANTYM RADZIWIŁŁEM
PACJENCI MUSZĄ BYĆ NA PIERWSZYM PLANIE
Oko w oko z ministrem zdrowia

24 PIOTR SEMKA
MEDIALNY NERW

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIE WYSTARCZY NIE KRAŚĆ

30 PIOTR GOCIEK
TRÓJSKOK PO WŁADZĘ

32 ŁUKASZ WARZECHA
STRASZAKI DO KABUR

34 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM WYSZKOWSKIM
PREZYDENCKIE BŁĘDY MŁODOŚCI

37 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SKRYTA PIERWSZA DAMA

40 ŁUKASZ ZBORALSKI
KŁAMSTWO NA PÓŁKACH

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WITAJCIE W LEPSZYCH CZASACH
Prace Lawrence'a Almy-Tademy w Londynie

46 ANDRZEJ HORUBAŁA
ZBŁĄKANY NADWRAŻLIWIEC

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 GRZEGORZ MAŁECKI
KRONIKA ZAPOWIADANEGO ZAMACHU STANU
Katalonia – kto ma biznes w autonomii

60 KRZYSZTOF RYBIŃSKI
MEDIALNY OBRAZ POLITYKÓW

HISTORIA

64 BARTŁOMIEJ DŹWIGAŁA
RZEZI JEROZOLIMY NIE BYŁO
Pierwsza krucjata – jedno z najczęściej zakłamywanych wydarzeń z historii chrześcijaństwa

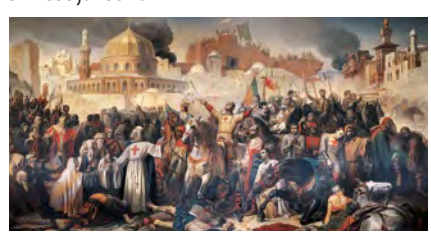

ŚWIAT

70 MACIEJ PIECZYŃSKI Z KIJOWA
„PROPOLSKA" TWARZ BANDERY
Na zjeździe ukraińskich nacjonalistów

74 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
CIĄGŁOŚĆ CZY ZERWANIE?

76 ROZMOWA Z TIMEM MARSHALLEM
ROSJA BIERZE ARKTYKĘ

79 SZEWACH WEISS
NIE MA O CZYM ROZMAWIAĆ?

EKONOMIA

80 JACEK PRZYBYLSKI
DOBRA ZMIANA?
Konsekwencje zmiany czasu

84 STEFAN SĘKOWSKI
NAGONKA NA INWESTORA?

ŻYCIE I NAUKA

90 KATARZYNA PINKOSZ
UMKNĄĆ PRZED ZAWAŁEM
Jak dbać o serce

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (68), KOWALCZUK (78,) GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 132a84d606

eprasa.pl 132a84d606

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj dopełnienie artykułu Łukasza Warzechy sprzed paru tygodni oraz jedno sprostowanie.

„Miejskie fiksacje"

W słusznym i potrzebnym artykule Łukasza Warzechy („Do Rzeczy" 40/2017) zabrakło zdecydowanego stwierdzenia, że rozwydrzeni prorowerową polityką władz miasta cykliści bezkarnie grasują po chodnikach, naruszając w ten sposób art. 33 pkt 5 Kodeksu drogowego.

Bezczynnie przyglądają się temu procederowi policja i straż miejska, których statutowym obowiązkiem jest egzekwowanie obowiązujących przepisów.

Entuzjaści świętych krów na dwóch kółkach powiedzą zapewne, że rowerzysta na jezdni jest zagrożony rozjechaniem, a na chodniku nikomu nie szkodzi.

Jestem odmiennego zdania, bo czuję się zagrożony, gdy prowadzę po chodniku dziecko lub psa.

Można dyskutować, czy lepszy jest cyklista rozjechany na jezdni, czy rozjeżdżający przechodniów na chodniku, ale trzeba głośno i jednoznacznie powiedzieć: jazda rowerem po chodniku jest zabroniona!

Z szacunkiem
Wojciech Wróblewski
Warszawa

Tropami mistrza, tropami zwodziciela

Świetnie trafiona recenzja biografii Gombrowicza pani Suchanow („Do Rzeczy" 42/2017). Szkoda, że przytrafił się błąd. Fotograf i przyjaciel Gombrowicza nazywał się Paczowski, nie Paczkowski. Pozdrawiam

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Od autora:

Rzeczywiście, mea culpa. Chociaż w Gombrowiczu siedzę od lat i o rodzinie Marii i Bohdana Paczowskich czytałem nie raz, coś mnie podkusiło, by poprawić im nazwisko.

A przecież zmarły w styczniu br. Bohdan Paczowski przypomniał o sobie całkiem niedawno, gdy w roku 2009 zwyciężył w konkursie na projekt siedziby Muzeum Historii Polski.

Andrzej Horubała

Gra w #Dziedzictwo

Paweł Rojek entuzjastycznie opisał na naszych łamach („Do Rzeczy" 34/2017) wystawę „#Dziedzictwo", która do stycznia 2018 r. eksponowana jest w krakowskim Muzeum Narodowym.

Odczytał ją jako zaproszenie do zupełnie nowego podejścia do narodowej sztuki. Pisał: „Główną ideę kuratora Andrzeja Szczerskiego najlepiej podsumowuje praca najmłodszej chyba artystki na wystawie – Natalii Wiernik – skomponowana z setek zdjęć militariów ułożonych w skomplikowane abstrakcyjne wzory. Zamknięte na co dzień w muzeum stare szable, pistolety i ordery stają się nieoczekiwanie środkiem wysublimowanej geometrycznej rozkoszy. Tak właśnie wyobrażam sobie sztukę końca polskiej historii. Ofiara poprzednich pokoleń dała nam tożsamość i wolność. Dzisiaj możemy wreszcie z wdzięcznością i swobodą cieszyć się pozostawionymi przez nie artefaktami". Pomocą do tego rodzaju gry może być katalog wystawy, który oprócz opisu i reprodukcji eksponatów przynosi nierzadko równie ekstrawaganckie eseje. Wśród autorów: Andrzej Nowak, Paweł Śpiewak i Krzysztof Koehler, a także młodsi twórcy: Marta Kwaśnicka, Mateusz Werner i Przemysław Dakowicz. ©℗

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Łukasz Ostalski/Reporter**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI INSTYTUT EKONOMICZNY

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z płytą 296430
Nakład 105 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 132a84d606

PGE
Zapewniamy energię

Prąd, jak wszystko w życiu, może być lepszy z dodatkami. Wybierz energię od PGE w stałej cenie i dowolną usługę dodatkową.

JEST LEPSZY Z DODATKAMI

Świeć przykładem i wybierz nawet 10 żarówek LED firmy Philips.

Poznaj receptę na brak zdrowia i energii.

Wykonaj dobry ruch i ubezpiecz własność ruchomą z Link4.

Jeśli nie lubisz zmian, wybierz niezmienną cenę gazu.

Koniec napięcia z powodu przepięcia, wybierz pomoc fachowców.

Zadzwoń
422 222 222
lub wejdź na
www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl 132a84d606

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Lekkim krokiem pośród min

Emocje wokół wywiadu prymasa Polski Wojciecha Polaka dla „Tygodnika Powszechnego" przypomniały raz jeszcze, że żyjemy w epoce haseł i obrazów. Tygodnik sprawnie „podkręcił" medialnie rozmowę, wybierając na okładkę tytuł udający cytat: „Mój Kościół nie miesza się do polityki". Na Twitterze wywiad reklamowano z kolei cytatem: „Jeśli moi księża będą manifestować przeciw uchodźcom, to mówię krótko: będą suspendowani".

I to okładka wywołała najwięcej emocji. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski napisał: „Ekscelencjo, Prymasie Polski, nie ma »mojego Kościoła« i »moich księży«. Kościół jest Chrystusa". Inni pytali dość trzeźwo, o jakich manifestacjach przeciw uchodźcom ksiądz prymas mówi i skąd brał wiedzę, że mają w nich brać udział księża. Było też sporo ostrych opinii oraz memów ze zdjęciami prymasa typu: „Nie róbmy polityki – budujmy meczety".

Tak ostry język wobec prymasa Polski był dla wielu osób zaskoczeniem. Jak można się domyślić, zaskoczony skalą krytycznych reakcji abp Polak zwrócił się z pretensją do „TP" o okładkową nadinterpretację jego słów. Jednak tu popełnił błąd. Zamiast samemu się ustosunkować do brzydkich chwytów „Tygodnika" – pozostawił wyjaśnienie sprawy pismu ks. Bonieckiego.

A pismo z Wiślnej wybrnęło z ewidentnej wpadki – dość bezczelnym chwytem. Owszem, przeprosiło prymasa, ale tylko za to, że „okładkowy tytuł naraził go na tak małoduszne ataki".

W tej sytuacji głos musiał zabrać Marcin Przeciszewski, szef Katolickiej Agencji Informacyjnej, który podkreślił, że „Tygodnik Powszechny" zamieścił na okładce słowa, których prymas Polski nie powiedział i że był to błąd redakcji. Ponadto uznał za słuszne poprzeć „ostrzeżenie prymasa, aby suspensować księży, którzy dają antyświadectwo i nie chcą przyjmować uchodźców".

Znów padło bardzo ostre ostrzeżenie i znów w bardzo ogólnikowej wersji. Wynikało z tego, że ksiądz prymas jest urażony tym, jak z jego wywiadem postąpiło pismo ks. Bonieckiego, ale jednocześnie nadal upiera się, by grozić suspensą w bardzo niejasny sposób.

Cała sprawa – jeśli trzymać się ściśle faktów – przypomina jakieś absurdalne qui pro quo.

Wywiad z abp. Polakiem przeprowadzał Błażej Strzelczyk, wyjątkowo arogancki dziennikarz „TP". Przez większość wywiadu abp Polak broni się przed wciskaniem go w rolę krytyka PiS. Jednakże prymas wchodząc na niezwykle skomplikowany i naładowany emocjami temat nie zrobił nic, by rozgraniczyć terminy „uchodźca" i „imigrant".

Gdy doszedł do tego kategoryczny ton zapowiadający suspensy, nie było wiadomo, czy chodzi o sankcje za sianie nienawiści do ludzi uciekających przed wojną, czy karanie każdej krytyki niekontrolowanej imigracji na nasz kontynent.

Wszystko to jeszcze cynicznie podkręcił „Tygodnik Powszechny" i nic dziwnego, że doszło do erupcji emocji.

Ksiądz prymas powinien wiedzieć, komu udziela wywiadu. A w tak budzącej emocje sprawie jak masowa migracja używać precyzyjnego języka i unikać moralnego maksymalizmu.

W rezultacie medialne wejście w debatę o uchodźcach wyszło kiepsko. Tak to jest, jak się lekkim krokiem wchodzi na teren pełen pułapek. ©℗

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

DUDA POPIERA STARANIA TURCJI O CZŁONKOSTWO W UE

Przestańcie wreszcie wodzić nas za nos – zaapelował do liderów Unii Europejskiej przywódca Turcji. – Jeśli chcecie przyjąć nas do Unii, to po prostu to powiedzcie. Jeśli nas nie chcecie, też po prostu nam to zakomunikujcie – oznajmił w Warszawie Recep Tayyip Erdoğan. Jeden z najbardziej wpływowych, a jednocześnie kontrowersyjnych przywódców na świecie uzyskał wsparcie prezydenta Andrzeja Dudy dla starań Turcji o członkostwo w Unii. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 132a84d606

Strażnicy Pamięci 2017

Kapituła konkursu FOT. BEATA CZARNECKA/SPORTOGRAFIA.PL

Już po raz piąty redakcja „Do Rzeczy” wyróżni osoby i instytucje szczególnie zasłużone dla promocji polskiej historii oraz dla odnowienia, przechowania lub przywrócenia pamięci o ważnych wydarzeniach z przeszłości naszego kraju

W zeszłym tygodniu finalistów tegorocznej edycji konkursu wybrała kapituła złożona m.in. z redaktora naczelnego „Do Rzeczy” Pawła Lisickiego, Czesława Bieleckiego, Sławomira Cenckiewicza, Krzysztofa Czabańskiego, Przemysława Mrozowskiego, Jana Lubomirskiego, Jacka Sobali oraz Marcina Wolskiego.

W kategorii Twórca wśród nominowanych znaleźli się: Tomasz Bagiński i autorzy filmu „Niezwyciężeni” – za atrakcyjną promocję historii Polski z wykorzystaniem mediów społecznościowych, Alina Czerniakowska – za wieloletnią samotną walkę i filmowy zapis prawdy o polskim wymiarze sprawiedliwości, prof. Mikołaj Iwanow – za podjęcie tematu „operacji polskiej NKWD” 1937–1938, Jarosław Marek Rymkiewicz – za całokształt twórczości ożywiającej i reinterpretującej polską historię, oraz Jan Sadkiewicz za wydanie w ramach wydawnictwa Universitas dzieł zebranych Stanisława Cata-Mackiewicza.

W kategorii Instytucja o tytuł Strażnika Pamięci walczyć będą: Kancelaria Prawna Lecha Obary – za działania prawne w celu obrony dobrego imienia Polski i protest wobec określenia „polskie obozy koncentracyjne”, Stowarzyszenie Ofiar Obławy Augustowskiej – za wysiłki w docieraniu do prawdy o zbrodni NKWD na ziemi augustowskiej oraz w upamiętnianiu ofiar sowieckiej przemocy, Stowarzyszenie Rodzina Ponarska – za toczone w trudnych warunkach działania w celu upowszechnienia prawdy o okrutnej zbrodni dokonanej na Wileńszczyźnie przez oddziały niemieckie oraz ich litewskich kolaborantów, organizatorzy akcji „Różaniec do granic” – za inspirację – w 140. rocznicę objawień w Gietrzwałdzie i 100. w Fatimie – narodowego zrywu modlitewnego nawiązującego do wielkich tradycji ludowej pobożności, a także Fundacja Łączka i Tadeusz Płużański – za walkę o pamięć i szacunek dla Wyklętych-Niezłomnych.

W kategorii Mecenas kapituła nominowała do nagrody Fundację PGNiG za projekt „Recovering Forgotten History – Przywracanie zapomnianej historii. Wyobrażenia o Europie Środkowo-Wschodniej w anglojęzycznych podręcznikach akademickich: 2006–2017”, a także Macieja Radziwiłła za finansowanie z prywatnych środków wielu inicjatyw związanych z historią rodu Radziwiłłów, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Pierwszej Rzeczypospolitej.

Laureatów poznamy podczas uroczystej gali, która odbędzie się 8 listopada na Zamku Królewskim w Warszawie. Ceremonię wręczania nagród uświetni m.in. występ Janusza Radka.

Konkurs Strażnik Pamięci odbywa się już od pięciu lat. Laureatami pierwszej edycji zostali twórcy serialu „Czas honoru”, instytucje zaangażowane w projekt poszukiwań i identyfikacji ofiar komunizmu pochowanych na „Łączce” oraz Bank Zachodni WBK. W drugiej edycji statuetki odebrali prof. Andrzej Nowak, portal Polskieradio.pl oraz firma Tauron Polska Energia – za wkład w realizację filmu „Jack Strong”. W 2015 r. nagrody odebrali Dariusz Malejonek za projekt „Panny Wyklęte”, Reduta Dobrego Imienia oraz Artur Nowakowski i Bogdan Kaczmarek – sponsorzy Masztu Wolności na rondzie Zgrupowania AK Radosław w Warszawie. W zeszłym roku Strażnikami Pamięci zostali uhonorowani twórcy filmu „Wołyń”, Stowarzyszenie Memoriał oraz Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych. *(jap)* ©℗

PATRONAT HONOROWY PARTNERZY STRATEGICZNI PARTNER GŁÓWNY PARTNERZY WYDARZENIA MECENAS PATRON MEDIALNY

eprasa.pl 132a84d606

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Budowniczy III RP

Jeśli ktoś zapomniał już o obrazkach z willi obalonego prezydenta Ukrainy Janukowycza – galeon na podwórku, złote muszle klozetowe etc. – to w minionym tygodniu mógł obejrzeć w mediach widoki porównywalne. Trafiły do nich bowiem zdjęcia z alpejskiej rezydencji nieżyjącego już Pierwszego Beneficjenta III RP, Jana Kulczyka.

Rezydencja Kulczyków jest podobno najdroższa w Szwajcarii. Widocznie Kaddafi i Idi Amin nie gustowali w narciarstwie

Skromna narciarska chatka – jak donosi prasa – „ma siedem pięter i sześcioboczne schody z kryształicznego szkła", samo spa zajmuje powierzchnię 1 tys. mkw., a oprócz niego są też np. jeziorko oświetlane kryształami Swarovskiego, liczne łazienki, mieszkania dla gości (Jakże mile muszą je wspominać prominenci poprzednich rządów… Chociaż nie, ich Kulczyk mógł nocować w służbówce). Ściany pokryte a to kaszmirem, a to futrem norek, a to 24-karatowym złotem. Wartość całości – skromne 660 mln zł. Podobno jest to najdroższa rezydencja w Szwajcarii. Widocznie ani Kaddafi, ani Idi Amin nie gustowali w narciarstwie.

Potomstwo Jana Kulczyka chyba też nie gustuje albo pod nowymi rządami znalazło się w finansowych tarapatach, bo postanowiło alpejską chatkę Papachena sprzedać. Może z tym być problem, bo całość, jak widać na zdjęciach, utrzymana jest w guście skrajnie nowobogackim, więc na milionerów z Zachodu bym nie liczył, a z kolei ci ze Wschodu preferują raczej cieplejsze kraje. Gdyby jednak spadkobiercy chcieli zejść z ceny, to rozważyłbym uruchomienie funduszy na dziedzictwo narodowe i urządzenie w Suvretta pod St. Moritz muzeum upamiętniającego to, z czego piewcy „najlepszych 25 lat w dziejach Polski" są najbardziej dumni – postanowionej u Okrągłego Stołu transformacji ustrojowej.

Ekspozycja narzuca się sama. Ten złoty klozet z platynową deską i diamentową rączką to, proszę wycieczki, Telekomunikacja Polska. Te schody z kryształu to Ciech. Ta ściana obita futrem norek to nasza „autostrada wolności", z największym mytem współczesnej Europy za najkrótszy przejazd. I tak dalej. Na kustosza honorowego proponowałbym prof. Leszka Balcerowicza, a kandydatów do codziennego oprowadzania gości widzę tylu, że nie da się ich tu wyliczyć.

Żeby wreszcie przestano mówić, że II RP zbudowała Gdynię i COP, a ta najlepsza w dziejach, III RP, nic. Zbudowała. Proszę bardzo. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Po trupach do celu

To, co w całym cywilizowanym świecie uważane jest za symboliczną miarę człowieczeństwa: szacunek dla śmierci, empatia dla chorych, cierpiących, wsparcie dla borykających się z poważnymi problemami, w Polsce boleśnie pokazało porażający stopień zdegenerowania lewicowo-liberalnych elit. „Jeśli ten człowiek umrze, nasza niemrawa i nierówna walka z PiS będzie miała nowy symbol i nowego bohatera" – napisał na swoim blogu prof. Jan Hartman po tym, jak pewien – być może mający problemy psychiczne – mężczyzna „w proteście przeciw rządom PiS" podpalił się w Warszawie. W odrażająco cynicznym wykorzystywaniu tej tragedii Hartman nie jest niestety odosobniony. Lewicowi działacze w miejscu, gdzie doszło do nieszczęścia, zorganizowali polityczny wiec, a Jacek Żakowski porównał czyn desperata do samospalenia Ryszarda Siwca w 1968 r. Przekonując przy tym, że „przez pół wieku nikt tak w Polsce nie robił", co prawdą nie jest, bo podobne wydarzenia miały miejsce w okresie rządów PO-PSL.

Wśród salonowych elit znów zabrakło refleksji nad tym, jak daleko zaszły wewnątrzpolityczne podziały wśród zwykłych ludzi. Miast tego totalna opozycja – od dwóch lat wmawiająca Polakom, że żyją w kraju niemal totalitarnym, i rozpaczliwie próbująca wykreować „ofiarę reżimu" – w paskudny sposób gra udręką człowieka, który w propagandę uwierzył do tego stopnia, że targnął się na własne życie. Może jednak, jeśli wspomni się zachowanie części elit polityczno-medialnych po tym, gdy były członek PO Ryszard Cyba zamordował działacza PiS, takie podejście nie powinno już dziwić?

Ludzkie życie i wtedy, i teraz okazało się tylko tyle warte, na ile można je wykorzystać w politycznej awanturze. Do celu za wszelką cenę. ©℗

eprasa.pl 132a84d606

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Niech jadą?

Jestem z rocznika 1989, więc nie pamiętam komuny. Kiedy rządziła PO, byłam jeszcze na studiach, które skończyłam w gronie najlepszych studentów. A wcześniej, za dwuletniego epizodu PiS, w liceum, gdzie dwukrotnie otrzymałam stypendium prezesa Rady Ministrów, Jarosława Kaczyńskiego. Własną pracą jestem tu, gdzie jestem. Ale moi rodzice, pracownicy akademiccy, [...] byli właśnie tymi studentami pałowanymi i zawieszonymi w prawach studenta w 1968 r. Mój dziadek, przedwojenny oficer, cudem nie zginął w Katyniu, przeszedł z Andersem całą kampanię, walczył pod Monte Cassino, przeżył. [...] Więc gdy parę dni temu dowiedziałam się, że protestuję, bo jestem nierobem, ubeckim pomiotem, który się mści za odebrane dziadkom ubekom emerytury, to struchlałam".

Młodzi lekarze, owszem, mogą wyjechać, jeśli państwo potraktuje ich jak wrogów

To fragment wiadomości, którą dostałem od młodej lekarki rezydentki. Nie była to jedyna taka wiadomość – w ostatnim czasie napisało do mnie kilkoro rezydentów (dziękuję za zaufanie) o poglądach, jak łatwo się zorientować, ogólnie konserwatywnych. Te listy opowiadają bardzo szczegółowo i konkretnie o sytuacji w służbie zdrowia. Opowiadają rzeczy, od których włos jeży się na głowie. Mówią o problemach, których na pewno nie rozwiąże proste dosypanie pieniędzy do systemu, a które mogą sprawić, że całość konstrukcji zawali się w ciągu kilku lat.

Przede wszystkim jednak są bardzo rozżaleni na to, że zamiast spokojnie zająć się ich postulatami, rządzący – przynajmniej początkowo – uznali ich po prostu za wrogów, zgodnie z absurdalną, manichejską narracją rządzącą dziś polskim życiem publicznym. Za rządzącymi zaś poszły masy internetowych ormowców władzy (świetne określenie Igora Zalewskiego), prześcigających się w hejcie z miłym poczuciem, że oto bronią Polski przed jakimś kolejnym zamachem i puczem finansowanym przez Sorosa. Można by im powiedzieć: popukajcie się w głowy, ale wiadomo, że w przypadku ormowców nie ma to większego sensu.

Jedna z posłanek Prawa i Sprawiedliwości w czasie sejmowej debaty poradziła młodym lekarzom: „A niech wyjeżdżają!". Rada równie dobra i przemyślana co słynne „zmień pracę i weź kredyt" pana Bronisława. Młodzi lekarze, owszem, mogą wyjechać, jeśli państwo potraktuje ich jak wrogów. Kto nas wtedy będzie leczył? Cóż, kiedyś towarzysz Lenin stwierdził, że nawet kucharka może rządzić państwem. Może zatem rolę lekarzy mogą przejąć kasjerzy z supermarketów albo górnicy czy inni przedstawiciele „zwykłych Polaków", tak chętnie dopieszczanych przez PiS? ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 29 października 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 25,90 zł

2.
~~469,00 zł~~ 275,00 zł

3.

~~59,90 zł~~ 41,50 zł

4.

~~39,90 zł~~ 25,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 22,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 132a84d606

FOT. PAWEŁ GROMADA

TO U NICH RODZINNE

Kasia Tusk stwierdziła, że nie lubi rozmawiać o polityce i robi to nader rzadko. Powiedziała tak w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej", jak wiadomo najmniej upolitycznionej gazecie w tej części Europy. I tak oto Kasia wyznała, że ma świadomość tego, iż gdyby nie nazywała się Tusk, to być może jej kariera blogerska nie byłaby tak oczywista. „Nie byłabym sama z sobą szczera, gdybym uznała, że ta gigantyczna oglądalność mojej strony od pierwszego dnia jej funkcjonowania jest moją zasługą. Ale to, że po prawie ośmiu latach czytelniczek jest coraz więcej, to już inna sprawa. Gdybym była anonimową osobą, media nie pisałyby o mnie na samym starcie" – mówi Kasia. Opowiada też, jak wspaniale sprzedają się ubrania sygnowane jej nazwiskiem, nawet jeśli są to zwykle T-shirty. „Projekt miał być jednorazowy, ale T-shirty sprzedały się w dziesięć minut. Żal czytelniczek i klientek był tak duży, że gdybym powiedziała, że już więcej się nie pojawią, myślę, że by mnie rozszarpały. Zresztą nadal wszystko, co wystawiamy do sprzedaży, schodzi w pół godziny" – chwali się. Widać, że Kasia pewne talenty musiała odziedziczyć po tacie. On też potrafił ludziom każdy kit wcisnąć.

WINNY SIĘ TŁUMACZY

Podczas jednego z odcinków programu „Azja Express" zadaniem uczestników było wypicie krowiego moczu. Celebryci zadanie dzielnie wykonali, jedni z obrzydzeniem, inni ze wzruszeniem ramion, a kolejni z ekscytacją. Do tych ostatnich zaliczała się Joanna Przetakiewicz, która zachwalała zdrowotne właściwości moczu słonia. Teraz w sprawie moczu głos zabrała także prowadząca program Agnieszka Szulim Woźniak-Starak, która zdradziła, że z Przetakiewicz już wcześniej na temat moczu miała okazję rozmawiać. „Aśka mi opowiadała o piciu własnego moczu. Zapytałam: A próbowałaś? Odpowiedziała: Tak" – relacjonowała Agnieszka. Joannie nie za bardzo się to spodobało, więc wszystkiego się wyparła. Cóż, picie moczu średnio pasuje do ekskluzywnego wizerunku. „To jakieś nieporozumienie – ogłosiła Przetakiewicz. – Ja nigdy tego nie zrobiłam. Powiedziałam Agnieszce, że to najlepszy lek według naturalnej medycyny chińskiej na odtrucie organizmu w przypadku ostrej niestrawności – zapewniła. – Mój znajomy lekarz, Chińczyk, bardzo znany w Londynie, mówi: »Pamiętaj, jeśli się strasznie strujesz, jeżeli coś ci potwornie zaszkodzi, wypij swój mocz«" – podkreśliła. Też macie wrażenie, że im bardziej Przetakiewicz się tłumaczy, tym bardziej sytuacja jest podejrzana? Powinna to po prostu olać. Wiadomo czym.

DLACZEGO USTA NIE MALEJĄ

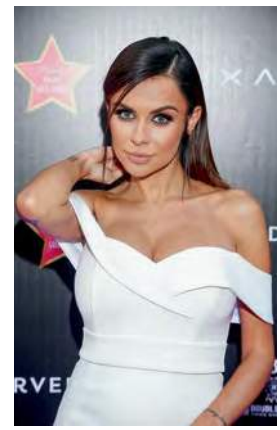

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

Piekło zamarzło. Natalia Siwiec przyznała w jednym z wywiadów, że ma wady. I to wiele wad! Chciałaby ich nie mieć, ale ma. Co zrobić... „Mam wiele wad, które chciałabym usunąć, ale boję się. Mam ogromny nos i chciałabym zrobić sobie operację. To już ingerencja w twarz, to nie są usta, które można rozpuścić, to już poważna operacja – narzeka celebrytka w »Super Expressie«. – Z moimi ustami jest tak, że już nie muszę ich powiększać – mówi z satysfakcją. – To się wchłania, ale nie wiem, dlaczego moje nie maleją. Najprawdopodobniej zrobiły mi się takie zrosty w środku, które sprawiają, że te usta cały czas wyglądają tak samo" – zachwyca się Natalia. I co teraz powiedzą ci wszyscy złośliwcy, którzy twierdzili, że Natalia nie ma na koncie żadnych osiągnięć?!

GWARANCJA NIEPOWODZENIA

Protest medyków ku rozpaczy jego organizatorów postanowili wesprzeć także celebryci. „Razem z zespołem Nowego Teatru wspieram protest medyków. Sercem z Wami. Dziękuję za to, że walczycie o poprawę służby zdrowia dla nas wszystkich. Dla dobra pacjentów. Wiem, jak ciężko pracujecie, należy Wam się godne wynagrodzenie. Mam dla Was ogromny szacunek. Trzymajcie się!" – napisała na Facebooku aktorka Maja Ostaszewska. Protest rezydentów poparli także: Magdalena Cielecka, Jacek Poniedziałek, Maciej Stuhr i Krystyna Janda. Brzmi znajomo? To dokładnie te same osoby, które maszerowały z KOD w obronie demokracji i Trybunału Sprawiedliwości, były twarzami czarnego protestu, protestów w obronie Puszczy Białowieskiej, a potem krzyczały: „wolne sądy" przed Pałacem Prezydenckim. Dzisiaj bronią przed PiS lekarzy. W żadnej z tych ról nie byli jednak wystarczająco przekonujący. Stąd też przerażenie rezydentów na wieść o poparciu. Chcesz położyć protest? Zaproś Stuhra i spółkę!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z zainteresowaniem obserwujemy protest lekarzy rezydentów. Szkoda nam, że wśród postulatów brakuje tak podstawowych spraw jak zapewnienie równej liczby rezydentur dla lekarzy LGBTQWERTY oraz zrównanie praw lekarzy rezydentów oraz edukatorów seksualnych. Of kors, lekarze mają problemy, ale przy okazji podobnego rodzaju protestów warto spojrzeć szerzej i zastanowić się, czy postulaty ekonomiczne są najbardziej zasadne, podczas gdy transpłciowych rezydentów jest w tym kraju skandalicznie mało. Podpowiadamy więc, iżby zajęto się naprawdę istotnymi sprawami, chętnie pomożemy też w układaniu haseł, np. „Rezydentura nie ma płci!!!".

Rząd ogłosił, iż doinwestuje budowę Muzeum Historii Tego Kraju i zwiększy jego powierzchnię. Jakbyście nie wiedzieli, co należałoby o tym myśleć, podpowiadamy: to fatalna decyzja. Otósh w ten sposób rząd zdobędzie więcej miejsca do promowania kolejnych przegranych bitew i powstań, iż – jak wiadomo – ten kraj chlubi się przede wszystkim klęskami, ale też stworzy więcej miejsca do eksponowania sukcesów militarnych, iż – jak wiadomo od lat – ten kraj szczyci się wygranymi wojnami i bitwami. Będzie też więcej miejsca na prezentowanie sposobów uciskania na przestrzeni wieków różnych mniejszości seksualnych i etnicznych. Kto wie, może nawet powstanie ekspozycja płonącego stosu, na który co jakiś czas CBA będzie podrzucało przedstawiciela opozycji, że niby to tylko ekspozycja?

Strach się bać, co z tego wyjdzie, ale już widać, iż projekt ma na celu budzenie narodowej dumy, a w dobie obecnej zjednoczonej przecież Europy to niedopuszczalny kolejny pierwszy krok w stronę polexitu.

Jak pewnie wiecie, Robert Lewandowski obronił pracę licencjacką, którą napisał na swój własny temat. To genialne rozwiązanie, które powinni stosować wszyscy osobostudenci. U podstaw naszego zdania leży teza, że o kim jak o kim, ale jednak o sobie każdy student coś tam wie. Dlatego pisanie pracy na własny temat pozwoliłoby zawrzeć w niej minimum informacji. Po drugie fashystoffski profesor nie mógłby zarzucić, iż student napisał coś źle lub wręcz nie wie, o czym pisze. Mamy już kilka pomysłów na tytuły takich prac, np. z socjologii – „Jaką jestem osobą w internetach", z psychologii – „Co mnie denerwuje i dlaczego" – czy z politologii „Co myślę o konstytucji". Zdawalność gwarantowana, więcej magistrów w tym kraju, same korzyści xD ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 132a84d606

dwaj panowie g

Wiecie, że hetman koronny Macierewicz chce, by prezydent Andrzej Sebastian ujawnił aneks do raportu o WSI, ale Andrzej Sebastian nie chce? Słyszeliśmy ciekawą plotkę. Aneks jest tajny, ale źródła, na podstawie których powstał, znajdują się dziś w gestii Macierewicza (archiwa wojskowe) oraz Zbyszka Zizou Ziobry (archiwa prokuratury). Obaj, jak wiadomo, są bardzo przyjacielsko nastawieni do Andrzeja Sebastiana. Cóż to by był za przypadek, gdyby nagle powstał jakiś dokument na kształt aneksu, ale niebędący aneksem. Od razu jawny. Tak przynajmniej sugerują wiewiórki.

W Sądzie Najwyższym rozległo się głośne „Uf!". Jak pamiętacie, pisaliśmy niedawno, że na odcinek SN miał zostać rzucony Święczkowski, przez przyjaciół zwany Bogusiem, a przez wrogów Godzillą. Ten scenariusz jest już nieaktualny. Wiewiórki opowiadają, że w ramach kompromisu i zgody, która buduje, do Sądu Najwyższego trafić ma nie Godzilla, lecz przedstawiciel prezydenta. To Dariusz Barski, zwany przez przyjaciół i wrogów Barrym. Na miejscu członków SN byśmy się tak jednak nie cieszyli, pamiętając, że to Barry posłał za kraty połowę łódzkiej ośmiornicy.

Ciekawy pomysł narodził się w obozie Dobrej Zmiany à propos finansowania mediów publicznych. Pomysł dotyczy dzielenia abonamentu także na prywatnych nadawców. Wtedy nikt nie mógłby mówić, że jest to podatek na PiS-owskie media publiczne, gdyż po kawałku dostawaliby wszyscy. Jednak nic za darmo – prywaciarze musieliby się wtedy zadowolić krótszym czasem na reklamy.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Pytanie, czy w ogóle do wyborów finansowanie się zmieni. Bo wiewiórki PiS-owskie bąkają, że skoro działa prowizorka w postaci rekompensaty z budżetu za braki w abonamencie, to nie ma co się spieszyć. Prowizorki zawsze są najtrwalsze, to wiemy. A w kampanii w 2019 r. jednym z haseł PiS byłoby: „Zlikwidujemy abonament".

Okrutny Kaczor-Dyktator, podobnie jak prezydent Andrzej Sebastian, pamięta, że ziobryści to element niepewny politycznie, więc nie odda SolPolowi Warszawy

À propos dobrych zmian. Kaczor Dyktator zapowiedział, że projekt reformy służb specjalnych jest gotowy. Owszem. Musimy jednak rozczarować tych, którzy oczyma wyobraźni już widzieli Maria Kamińskiego na czele resortu bezpieczeństwa publicznego. Otóż żaden nowy resort nie powstanie, a Mario nadal się będzie gnieździł w klitce u premier Bełaty.

Planowane jest zaś połączenie Abwehry, czyli ABW, i Agencji Wywiadu w jeden wielki organizm o nazwie Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Na jej czele ma stanąć dotychczasowy szef małej ABW, czyli Pogonowski, zwany też Profesorem. Są jednak pogłoski także o rekonstrukcji w służbach.

Jest okazja, można zarobić na kamienicach. Pewna agencja czarnego PR, wynajęta podobno przez specjalistów od kręcenia lodów na warszawskiej reprywatyzacji, chodzi po mieście z ciekawą ofertą. Za pomoc w kontynuowaniu procederu 200 tys. euro plus prowizja od każdej „odzyskanej" kamienicy. Na szczęście Warszawa to miasto ludzi uczciwych do szpiku kości, więc nie sądzimy, żeby ktoś się zgłosił.

À propos reprywatyzacji. Ludziska zastanawiają się, kto właściwie napisał dużą ustawę reprywatyzacyjną, skoro zaradny Kamil Zaradkiewicz przedstawiany jest jako jej współautor. Wiewiórki z ministerstwa mówią, że innych współautorów nie było. Tylko profesor Kamil. A od czasu do czasu podpowiedział coś też Kaleta Sebastian, dzielący się wiedzą z prac komisji Jakiego. Sam Jaki miał inną ważną rolę w powstaniu projektu: kiwał mądrze głową.

Znowu kupujemy popcorn, bo coraz bliżej wyborów szefa Nowoczesnej Kropki. Teoretycznie prosta sprawa: zjedzie się coś ponad 300 delegatów i w tajnym powszechnym głosowaniu wybierze nowego Ryśka Petru. Wiewiórki mówią jednak, że najpierw odbędzie się głosowanie nad tym, jak głosować. Dziwnie często mówią o tym wiewiórki, które nie chcą na nowego Ryśka Petru wybrać starego Ryśka Petru.

Tak czy inaczej, jest lekka konsternacja, bo to, że w Nowoczesnej może się zmienić szef, wstrzymało procesy samorządowe, to znaczy kombinowanie, kogo i gdzie rzucić na żer w wyborach na prezydentów miast. Bo ostatecznie kandydatów i tak wskaże nowa władza. Dlatego ostatnio kandydat warszawski Paweł Rabiej smutną ma twarz, a Myszka Agresorka – weselszą.

Ponieważ jesteśmy urodzonymi pesymistami, już próbujemy sobie wyobrazić worst-case scenario. Jesień 2018 r. Warszawiacy mają do wyboru całe przedszkole: Myszkę Agresorkę, czyli Kamilę Gasiuk-Pihowicz, Patryka Jakiego, Rafcia Trzaskowskiego, Stanisława Tyszkę i Jakuba Stefaniaka (to taki młodzian z peezelu). W obliczu tego zagrożenia mamy apel do Włodka Czarzastego: Czy chociaż SLD nie mógłby wystawić kogoś, kto na tym tle będzie wyglądał poważnie? To mógłby być nawet Aleksander Kwaśniewski.

Ad vocem w sprawie powyższej: nie, nie uważamy, żeby Rysiek Kalisz wyglądał poważnie. On wygląda tak, jak wygląda.

Spokojnie, worst-case scenario się nie wydarzy, gdyż okrutny Kaczor Dyk-

eprasa.pl 132a84d606

tator, podobnie jak prezydent Andrzej Sebastian, pamięta, że ziobryści to element niepewny politycznie, więc nie odda SolPolowi Warszawy. Nawet sami ziobryści nie wierzą, że odda. W grze zostaje więc nasz ulubiony doktor (ulubiony, bo prawdziwy, od leczenia ludzi, a nie od politologii) Stanisław Karczewski. Przyznacie sami, że chcielibyście zobaczyć debatę Karczewskiego z Myszką Agresorką, prawda?

W PeŁo gorączka, bo trwają wewnętrzne wybory nababów różnych szczebli. A Tomek Siemoniak zapowiada, że idą zmiany, bo teraz w partii będzie „radykalna demokratyzacja". Nie chce nam się wierzyć. Czyżby do tej pory PeŁo była partią, w której brakowało demokracji?

Demokracja triumfuje już w katowickiej PeŁo, gdzie w ramach radykalnej demokratyzacji partyjny sąd rozstrzygnie, kto bardziej szkodzi partii: senator Leszek Piechota czy poseł Marek Wójcik. Naszym zdaniem to jednak przerost formy nad treścią. Nie znamy żadnego polityka PeŁo, który nie szkodziłby partii.

Uważnie czytajcie gazety, dowiecie się z nich, o czym marzą ludzie, których marzenia nikogo nie obchodzą. Na przykład poseł PiS Bartłomiej Wróblewski udziela wywiadów o tym, że źle się dzieje w Poznaniu, który potrzebuje zmiany. Bartek wciąż ma nadzieję, że Kaczor Dyktator wystawi go w grodzie Kulczyków jako kandydata Zjednoczonej Prawicy. Nic z tego. Kaczor Dyktator woli wystawić pana Tadeusza.

Pan Tadeusz tymczasem (który ma dworek i wydawnictwo, i wie, co to zysk) z uwagą czyta ciekawe badania wprawiające w popłoch „Wyborczą", z których wynika, że Poznań rzeczywiście dojrzał do zmian. Pamiętając, że ostatnio poznaniacy wymienili Grobelnego na Jaśkowiaka, nie mamy wątpliwości, iż ulubione przez nich zmiany to zmiany na gorsze.

Życie towarzyskie. Kierownictwo MSZ dostało szału, kiedy spojrzało na profil facebookowy nowego polskiego ambasadora w Kazachstanie, Selima Chazbijewicza. Jego ekscelencja zamieścił tam swoje zdjęcie z kazachską pięknością. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że ekscelencja siedział rozparty w fotelu, a piękność potulnie stała. Na dodatek ambasador wdał się w dyskusję ze swoim kolegą, proponując mu robotę w swojej placówce. Jak usłyszeliśmy w gmachu przy al. Szucha, w resorcie Srebrnego Lisa Dyplomacji obowiązują jednak inne standardy rekrutacji do służby dyplomatycznej. W rezultacie profil ambasadora zniknął z Facebooka. Zdążyliśmy jednak strzelić screeny. ©℗

REKLAMA

WARTO ZNAĆ PRZEPISY, ŻEBY NIE TRACIĆ PIENIĘDZY

Union Investment

Wiemy już, że na emeryturę powinniśmy oszczędzać samodzielnie. Tylko co wybrać? Szukając rozwiązania gubimy się w gąszczu ofert i przepisów. A przecież wystarczy, że skorzystamy z gotowych rozwiązań, które przygotował dla nas ustawodawca, czyli IKE i IKZE.

Jolanta Nowak
Dyrektor Działu Sprzedaży Własnej w Union Investment TFI S.A.

IKE oraz IKZE to przewidziane przez polskie prawo formy dodatkowego, indywidualnego oszczędzania na emeryturę.

Indywidualne konta emerytalne (IKE) powstały na mocy ustawy w 2004 roku. Z biegiem czasu rząd stworzył jeszcze jedno rozwiązanie: IKZE, czyli indywidualne konto zabezpieczenia emerytalnego. Produkty te mają zachęcać Polaków do oszczędzania na emeryturę oferując jako bonus ulgi podatkowe. Ich cechą wspólną jest zwolnienie z podatku od zysków kapitałowych, czyli tzw. podatku Belki. Ważne jest również to, że gromadzone pieniądze są naszą własnością. - To istotne i realne korzyści. Niestety znaczna część społeczeństwa nie wie nic o tych rozwiązaniach - mówi Jolanta Nowak, Dyrektor Działu Sprzedaży Własnej w Union Investment TFI S.A.

Jednak to nie koniec przywilejów, jakie daje nam skorzystanie z rządowej oferty. Możemy odliczyć kwoty wpłacone na IKZE od podstawy opodatkowania w podatku dochodowym PIT.
IKZE daje ulgę w podatku dochodowym, którą odliczymy w kolejnym zeznaniu podatkowym. Maksymalny limit wpłat na IKZE w 2017 r. wynosi 5 115,60 zł, a to daje nawet nam ponad 1600 zł zwrotu z podatku (w zależności w jakim progu podatkowym się znajdujemy). Opłata za zawarcie umowy nie wlicza się do limitu rocznej wpłaty na IKZE oraz nie podlega odliczeniu od podstawy opodatkowania. - Warto także pamiętać, że środki zgromadzone na IKE i IKZE to nasze prywatne oszczędności. Są w całości dziedziczone i zwolnione z podatku od spadków i darowizn – dodaje Jolanta Nowak.

Warto zatem znać przepisy, abyśmy, podejmując życiowe decyzje, nie tracili szansy na uzyskanie należących się nam świadczeń. Dzięki temu będziemy bogatsi zarówno w wiedzę jak i pieniądze.

Towarzystwo działa na podstawie decyzji Komisji Papierów Wartościowych (obecnie: Komisja Nadzoru Finansowego) z dnia 1 czerwca 1995 r., nr decyzji KPW-4073-1\ 95. Niniejszy materiał jest upowszechniany w celu reklamy lub promocji usług świadczonych przez Towarzystwo i nie stanowi porady prawnej ani rekomendacji inwestycyjnej. Decyzje inwestycyjne dotyczące inwestowania w fundusze inwestycyjne powinny być podejmowane wyłącznie po zapoznaniu się z Prospektami informacyjnymi funduszy zawierającymi szczegółowe informacje w zakresie: czynników ryzyka, zasad sprzedaży jednostek uczestnictwa funduszy, tabelę opłat manipulacyjnych oraz informacje podatkowe. Prospekty informacyjne, Kluczowe informacje dla Inwestorów, Informacje dla Klienta AFI, tabele opłat, dane o ryzyku inwestycyjnym i podatkach dostępne są stronie www.union-investment.pl. Szczegółowe zasady dokonywania wypłat transferowych regulują w szczególności: Ustawa z 20.04.2004 r. o PPE, Ustawa z 20.04.2004 o IKE oraz IKZE, oraz regulacje programów emerytalnych, w szczególności umowa zakładowa.

eprasa.pl 132a84d606

Jak Tusk oddał śledztwo Putinowi

Wojciech Wybranowski

Kancelaria Premiera Donalda Tuska zamówiła analizę, z której wynikało, że w sprawie katastrofy smoleńskiej nie trzeba było stosować prawa, które oddało śledztwo w ręce Rosjan. Dotarliśmy do tego dokumentu

Międzynarodowi eksperci mają pomóc polskim śledczym z prokuratorskiego zespołu badającego przyczyny katastrofy smoleńskiej w ustaleniu, czy – zgodnie z jedną ze sprawdzanych hipotez – w próbkach pobranych z miejsca tragedii w Smoleńsku i podczas ekshumacji ciał zmarłych w katastrofie rządowego Tu-154M znajdują się pozostałości materiałów wybuchowych. Jako pierwsi na portalu DoRzeczy.pl informowaliśmy, że „smoleńskie próbki" trafiły do renomowanego laboratorium przy Instytucie Nauk Sądowych w Irlandii Północnej. Na wyniki badań prokuratura będzie musiała poczekać kilka miesięcy. Podobne badania na zlecenie polskich śledczych prowadzą też eksperci z brytyjskiego laboratorium materiałów wybuchowych Forensic Explosives Laboratory (FEL) funkcjonującego przy brytyjskim ministerstwie obrony oraz naukowcy Comisaría General de Policía Científica w Madrycie.

Oprócz głównego postępowania dotyczącego przyczyn katastrofy smoleńskiej polscy śledczy od 31 sierpnia 2016 r.

eprasa.pl 132a84d606

Władimir Putin i Donald Tusk podczas wideokonferencji po wizycie w miejscu katastrofy polskiego Tu-154M, do której doszło 10 kwietnia 2010 r. FOT. ALEXEY NIKOLSKY/AFP/EAST NEWS

prowadzą inne postępowanie: z art. 129 Kodeksu karnego, czyli tzw. zdrady dyplomatycznej.

BEZRADNI I BEZ DECYZJI

W tym śledztwie prokuratura przesłuchuje teraz wielu świadków i zbiera dokumentację. – W toku śledztwa badane są działania polskiej administracji rządowej, w tym jej poszczególnych funkcjonariuszy, po zaistnieniu katastrofy smoleńskiej pod kątem stwierdzenia, czy było to działanie na szkodę interesów Rzeczypospolitej Polskiej – informuje prok. Ewa Bialik, rzecznik Prokuratury Krajowej.

Śledczy sprawdzają w nim m.in., dlaczego badanie przyczyn wypadku zostało przekazane Federacji Rosyjskiej na podstawie stawiającego stronę polską w roli praktycznie bezradnego obserwatora załącznika 13 do konwencji chicagowskiej i w jakich okolicznościach ówczesny premier Donald Tusk wyraził na to zgodę. Tę decyzję po katastrofie krytykowali ówcześni politycy opozycji i część publicystów, gorączkowo bronili jej zaś przedstawiciele rządu PO-PSL oraz bliskie im media.

Tygodnik „Do Rzeczy" dotarł do niektórych dokumentów i analiz prawnych zabezpieczonych przez prokuraturę w tym postępowaniu. Potwierdzają one pojawiające się już w przestrzeni publicznej podejrzenia, że po katastrofie nie tylko nie przygotowano w szybkim tempie żadnych analiz prawnych dotyczących możliwości działań przez Polskę w tej sprawie, lecz także że badanie przyczyn katastrofy smoleńskiej oddano Federacji Rosyjskiej bezpodstawnie i bez żadnych wiążących porozumień.

Jak wynika z materiałów, do których dotarliśmy – w tym pisma Tomasza Arabskiego do warszawskiej prokuratury okręgowej z 19 września 2011 r. – przez kilka tygodni po katastrofie smoleńskiej ekipa Donalda Tuska nie pokusiła się o przygotowanie żadnej analizy prawnej, która wskazałaby, kto i w jaki sposób powinien prowadzić śledztwo w sprawie katastrofy. Wygląda na to, że Polska była bezwolnym wykonawcą rosyjskich poleceń, a wszystkich ustaleń dokonywano „na słowo honoru".

„[...] Kancelaria Prezesa Rady Ministrów nie posiada informacji, z jakich uregulowań wynikała decyzja Federacji Rosyjskiej o wdrożeniu śledztwa w sprawie katastrofy samolotu Tu-154M" – czytamy w jednym z pism sygnowanych przez Arabskiego. Dalej były szef KPRM przyznaje: „KPRM nie jest w posiadaniu opinii prawnych dotyczących ustalenia, w oparciu o jakie procedury powinny być badane okoliczności katastrofy samolotu Tu-154M sporządzonych na dzień 10 kwietnia 2010 r.". Dzisiaj owo pismo to część materiału dowodowego w śledztwie w sprawie „zdrady dyplomatycznej".

UKRYTA ANALIZA

Prawne analizy dotyczące tego problemu śledztwa ludzie Tuska zaczęli zlecać dopiero wiele tygodni po tragedii, kiedy już w rzeczywistości cały materiał dowodowy został przejęty i zabezpieczony przez stronę rosyjską. Jak udało się nam ustalić, przygotowanie takiego opracowania zostało powierzone m.in. Kancelarii Prawnej K&L Gates.

To renomowana kancelaria wymieniana wśród 20 największych globalnych korporacji prawniczych. W imieniu kancelarii premiera Donalda Tuska umowę z nią 18 lutego 2011 r. podpisał Dobrosław Dowiat-Urbański, wówczas zastępca dyrektora Departamentu Prawnego KPRM, dziś szef Służby Cywilnej. Przygotowanie tej analizy kosztowało 65 805 zł brutto.

Tak powstało opracowanie zatytułowane „Opinia dotycząca instrumentów prawa międzynarodowego mogących znaleźć zastosowanie do dalszego postępowania w sprawie wyjaśnienia przyczyn katastrofy samolotu Tu-154M", a datowane na 10 marca 2011 r. Rzeczniczka Prokuratury Krajowej potwierdziła nam, że jest ono jednym z dowodów w postępowaniu ws. „zdrady dyplomatycznej".

Ta analiza nigdy nie została upubliczniona. Czy dlatego, że wnioski w niej zawarte były niekorzystne dla Donalda Tuska i ludzi z jego otoczenia? Próbowaliśmy na ten temat porozmawiać z Pawłem Grasiem, jednak były rzecznik rządu PO-PSL nie odpowiedział na naszą prośbę o kontakt.

Dokument ten został schowany tak dobrze, że gdy zaczęliśmy o niego pytać w kancelarii premier Beaty Szydło, okazało się, że współpracownicy obecnej szefowej rządu nie mieli pojęcia o jego istnieniu. Dopiero po naszych pytaniach urzędnicy KPRM zaczęli sprawdzać, czy rzeczywiście istnieje i gdzie może się znajdować. Ostatecznie potwierdzili, że taka analiza powstała. „Sporządzana opinia stanowi materiał w toku śledztwa i z uwagi na jego dobro nie podlega upublicznieniu" – napisało nam Centrum Informacyjne Rządu.

ODDANE ŚLEDZTWO

Dotarliśmy jednak do tego opracowania. To ponad 100 stron analizy prawnej dotyczącej m.in. bilateralnych umów polsko-rosyjskich, które mogłyby znaleźć zastosowanie przy badaniu przyczyn katastrofy smoleńskiej.

Autorzy podkreślają w niej, że konwencja chicagowska (która ostatecznie

eprasa.pl 132a84d606

została wykorzystana jako pretekst do powierzenia badania przyczyn katastrofy Federacji Rosyjskiej) ma zastosowanie wyłącznie do cywilnych statków powietrznych, w żadnym zaś przypadku do statków powietrznych państwowych i wojskowych. Wskazują też na kryteria m.in. przynależności, oznaczeń, rejestracji i celu lotu.

Autorzy tego opracowania nie przedstawiają „oceny konkretnego stanu faktycznego", jednak wnioski, jakie płyną z lektury ich pracy, są jednoznaczne: nie było podstaw do uznania samolotu z prezydencką parą na pokładzie za lot cywilny. Nie można było zatem zastosować przepisów konwencji chicagowskiej i tym samym powierzyć badania katastrofy Rosjanom.

„Analiza kryteriów uznanych za relewantne w kontekście wykładni art. 3 Konwencji prowadzi do wniosku, że w omawianym przypadku występuje duże natężenie elementów wskazujących na kwalifikację Tu-154M jako statku powietrznego państwowego. Należy w szczególności wskazać, że według dostępnych publicznie informacji samolot Tu-154M pozostawał do dyspozycji jednostki sił zbrojnych, był wpisany do rejestru samolotów wojskowych MON i traktowany był na gruncie prawa krajowego jako »statek powietrzny państwowy«, nosił stosowne oznaczenia samolotu wojskowego, zaś dowództwo nad nim sprawowała osoba wchodząca w skład personelu sił zbrojnych [...]" – czytamy w dokumencie. Autorzy analizy wskazują też: „Cechy formalne, mające charakter trwały, zdają się zatem jednoznacznie wskazywać na kwalifikację Tu-154M jako statku powietrznego państwowego". Przyznają też jednak, że niektórzy przedstawiciele doktryny prawa lotniczego mogą formułować odmienne opinie i ustalenie jednoznacznego stanowiska może być trudne.

Autorzy analizy zauważają też, że nie bardzo wiadomo, na jakiej podstawie Donald Tusk zdecydował o przekazaniu śledztwa smoleńskiego stronie rosyjskiej i czy doszło do tego – jak niektórzy spekulują – podczas ustnej rozmowy Tuska z Putinem. Dodają jednak, że gdyby do tego doszło, zawarta w trakcie takiej rozmowy ustna umowa międzynarodowa byłaby wiążąca. A to – jak wynika z treści opracowania – byłoby niekorzystne dla Polski. Ponieważ zdaniem ekspertów z K&L Gates umowa tak zawarta uwzględniałaby przepisy konwencji chicagowskiej tylko w sposób ramowy, wykluczając udział państw trzecich i organów ICAO. Chodzi o Organizację Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego mającą kompetencje do rozstrzygnięcia sporu między Polską a Rosją w sprawie przyczyn wypadku.

Z analizy zamówionej przez rząd Donalda Tuska wynika, że Polska nie musiała utracić kontroli nad śledztwem w sprawie katastrofy i oddać go Rosji FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

W tej sprawie już wiadomo, że na interwencję ICAO nie możemy liczyć. Po publikacji kontrowersyjnego raportu rosyjskiego MAK przedstawiciele ICAO poinformowali, że nie będą w tej sprawie zabierać głosu, bo… uznają lot Tu-154M za państwowy, nie cywilny.

Analiza K&L Gates zawiera też opinię wskazującą, że Tusk – tak jak sugerowały opozycja i część ekspertów – ustalając z Rosją zasady badania katastrofy smoleńskiej, mógł sięgnąć po rozwiązania wynikające z podpisanego przez Polskę i Rosję w grudniu 1993 r. w Moskwie „Porozumienia w sprawie zasad wzajemnego ruchu lotniczego wojskowych statków powietrznych". Autorzy analizy piszą, że gdyby założyć, że rządowy tupolew był wojskowym statkiem powietrznym (zastrzegają, iż weryfikacja tego wykracza poza zakres zlecenia), to „Porozumienie z 1993 roku mogłoby stanowić podstawę prawną do przeprowadzenia wspólnego wyjaśnienia przyczyn katastrofy przez właściwe organy rosyjskie i polskie". Dodają, że w porozumieniu brak jest regulacji co do sposobu prowadzenia takiego wspólnego dochodzenia, więc konieczne byłoby dodatkowe ustalenie zasad współpracy i trybu postępowania.

– Należało z tego skorzystać. Zaraz po tragedii można było usiąść z Rosjanami i doprecyzować zasady porozumienia tak, by określić warunki współpracy, byśmy też uczestniczyli w badaniu katastrofy – mówi „Do Rzeczy" mec. Stefan Hambura, prawnik reprezentujący część rodzin smoleńskich. – Na stronie kancelarii Tuska krótko po katastrofie pojawiła się informacja, że odbył telefoniczną rozmowę z Miedwiediewem o wspólnym śledztwie. To pokazuje, że po stronie rosyjskiej była polityczna wola, by współpracować. Tymczasem Tusk wybrał wariant, który całkowicie oddał badanie katastrofy Rosjanom – zauważa.

Pozostawienie śledztwa Rosjanom nie tylko blokuje Polsce dostęp do dowodów w sprawie katastrofy, lecz także chroni Rosję przed odpowiedzialnością finansową i zamyka ścieżkę rozstrzygania ewentualnych sporów na drodze międzynarodowej.

TUSK PRZED TRYBUNAŁ?

– Od dawna dla każdego, kto miał w rękach prawo lotnicze czy konwencje

eprasa.pl 132a84d606

chicagowską, było wiadome, że Tusk zdecydował się na fatalne, niepasujące do sytuacji rozwiązania. Pisali o tym i mówili publicyści oraz niektórzy eksperci – mówi poseł PiS Małgorzata Wassermann, córka zmarłego w katastrofie Zbigniewa Wassermanna. – Teraz, po tym, co słyszę od „Do Rzeczy", okazuje się, że Tusk, nawet mając w ręku zamówioną przez siebie i potwierdzającą zastrzeżenia analizę prawną, nie próbował wycofać się z tego, ale dalej brnął w trwający do dziś spektakl kłamstw i obłudy.

Przedstawiciele Kancelarii Prawnej K&L Gates odmówili komentowania sprawy opracowania wykonanego dla KPRM w okresie rządów Donalda Tuska. – Nie komentujemy ani nie udzielamy informacji, w tym prasie, na temat jakichkolwiek ze spraw prowadzonych dla naszych klientów. Żadnych – ucina Maciej Jamka, szef warszawskiego biura K&L Gates. – Wynika to wprost z tajemnicy adwokackiej czy radcowskiej gwarantowanej stosownymi ustawami, art. 6 ust. 1 ustawy Prawo o adwokaturze. Tak więc, nawet jeśli byśmy takie opracowanie przygotowali, czego nie potwierdzam ani czemu nie zaprzeczam, to nie mielibyśmy uprawnienia do udzielania informacji na ten temat – podkreśla.

Zdaniem mec. Hambury dokumenty, do których dotarliśmy, jednoznacznie pokazują, że Donald Tusk miał świadomość, iż konwencja chicagowska nie była dobrym rozwiązaniem z punktu widzenia polskich interesów w badaniu katastrofy smoleńskiej i nie należało jej stosować. Kwestionowanie przez ówczesnego premiera pojawiających się w mediach opinii wskazujących na to, że należało potwierdzić status Tu-154M jako lotu wojskowego i zdecydować się na wspólne śledztwo zgodnie z przepisami z 1993 r., zdaniem prawnika było cyniczną, polityczną grą.

Rzeczywiście, opinie podobne we wnioskach do analizy K&L Gates pojawiały się po katastrofie. Tomasz Pietryga, szef działu prawnego „Rzeczpospolitej", w 2011 r. wskazywał: „Konwencja chicagowska nie wiąże Rosjan przy badaniu katastrofy". I tłumaczył, że nie należało jej stosować.

Wiele wskazuje też na to, że analiza K&L Gates nie była jedynym dokumentem, w którym prawnicy wskazywali, iż konwencja chicagowska nie powinna być stosowana przy badaniu katastrofy smoleńskiej, i sugerowali, że więcej przesłanek prawnych pozwala na uznanie Tu-154M za samolot wojskowy, państwowy.

Według informatorów „Do Rzeczy" po 2010 r. w MSZ miała powstać przynajmniej jedna analiza prawna, która również wskazywała, że wybór konwencji chicagowskiej jest w przypadku katastrofy smoleńskiej błędem. Autor tej analizy zmarł kilka miesięcy po jej przygotowaniu.

Pozostawienie śledztwa po katastrofie Rosjanom zamyka Polsce możliwość rozstrzygania sporów na drodze międzynarodowej

Tymczasem przedstawiciele rządu Donalda Tuska uparcie bronili złej drogi. Jeszcze pod koniec 2012 r. Jarosław Gowin, wówczas minister sprawiedliwości w gabinecie Tuska, przedstawiając w Sejmie informację o działaniach podjętych po katastrofie smoleńskiej – gdy KPRM miała już analizę prawną K&L Gates – mówił, że konwencja chicagowska była jedynym dostępnym instrumentem prawnym, który opisywał procedury postępowania w sytuacji takiej jak ta w Smoleńsku.

– Wielu mówiło: piloci, wojskowi, niektórzy prawnicy, że nie można stosować konwencji chicagowskiej do badania katastrofy smoleńskiej, a Tusk przekonywał i przekonuje, że to jedyne rozwiązanie. Okazuje się, że łgał w żywe oczy – mówi „Do Rzeczy" Janusz Walentynowicz, syn zmarłej w katastrofie Anny Walentynowicz. – Trzeba być skończonym draniem albo człowiekiem złej woli, by brnąć dalej, mając w ręku ekspertyzę wskazującą, że można było inaczej, że wybrał fatalne dla Polski rozwiązania. To wszystko świadczy o tym, że były premier powinien stanąć przed Trybunałem Stanu – dodaje.

CO DALEJ ZE ŚLEDZTWEM?

Postępowanie w sprawie „zdrady dyplomatycznej" prowadzone jest z zawiadomienia, jakie w prokuraturze złożył szef MON Antoni Macierewicz. W maju w tej sprawie przesłuchany został Radosław Sikorski, były szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Część mediów spekulowała, że w tej samej sprawie w sierpniu na przesłuchanie wezwany został Donald Tusk. Jednak już w trakcie, gdy trwało przesłuchanie byłego premiera, Prokuratura Krajowa poinformowała, że dotyczy ono niedopełnienia obowiązków służbowych przez funkcjonariuszy, którzy w kwietniu 2010 r. nie uczestniczyli w Rosji w sekcji ofiar katastrofy smoleńskiej, w efekcie czego doszło do nieprawidłowości.

Z kolei pod koniec sierpnia prokurator krajowy Bogdan Święczkowski poinformował, że w śledztwie dotyczącym „zdrady dyplomatycznej" pojawiły się nowe, nieznane dotąd w przestrzeni publicznej dokumenty. – Mówię o poważnych materiałach dowodowych, które udało się uzyskać w toku czynności prowadzonych przez funkcjonariuszy służb specjalnych i prokuratorów. Zabezpieczono nowy materiał dowodowy, który rzuca dodatkowe, bardzo mocne światło na decyzje, które w tym czasie podejmowano – powiedział w telewizji Republika.

Według informatorów „Do Rzeczy" z kręgów zbliżonych do śledztwa jeśli w postępowaniu można spodziewać się jakiegoś „przełomu", to najprawdopodobniej nastąpi on pod koniec tego roku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

Z Konstantym Radziwiłłem, ministrem zdrowia
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Pacjenci muszą być na pierwszym planie

FOT. MARCIN WINSKI/PAP © BENESIS/BETRAM

KATARZYNA PINKOSZ: To chyba najbardziej gorący moment, od kiedy jest pan ministrem. Kolejny raz pojawiają się pogłoski o dymisji.

KONSTANTY RADZIWIŁŁ: A ja kolejny raz mogę odpowiedzieć, że staram się robić to, co do mnie należy. W Ministerstwie Zdrowia każdego dnia jest gorąco. Trafiają do mnie indywidualne prośby pacjentów, którzy będąc w dramatycznych sytuacjach, proszą o pomoc. Walczą o życie.

Dzięki rezydentom wszyscy dowiedzieli się, że w Polsce zarezerwowane na ochronę zdrowia jest tylko 4,6 proc. PKB. W innych krajach znacznie więcej.

Na służbę zdrowia przeznaczamy dużo, ale potrzeby są znacznie większe, dlatego powinniśmy przeznaczać więcej. Często pada pytanie, czy zdrowie jest priorytetem rządu. Oczywiście, że tak. Jeśli w tym roku przeznaczymy na zdrowie prawie 88 mld zł, a budżet państwa to ok. 350 mld, to widać, że jest ono priorytetem. Jednakże nowoczesna medycyna i zmiany demograficzne – coraz większa liczba osób w starszym wieku – powodują, że nakłady muszą być jeszcze większe. Rząd doskonale to rozumie. Nie są to mgliste plany: Rada Ministrów zajmuje się ustawą, która ma charakter przełomowy.

To znaczy?

Komitet Stały Rady Ministrów przyjął projekt, który gwarantuje stopniowy wzrost nakładów na ochronę zdrowia szybszy niż tempo rozwoju gospodarczego. Ustawa określi wydatki na służbę zdrowia jako odsetek PKB, który będzie wzrastał z roku na rok, a w 2025 osiągnie 6 proc. Takiego podejścia nigdy wcześniej nie było..

Ostatnie tygodnie dowodzą, jak poważnie rząd traktuje służbę zdrowia. Nadwyżka w budżecie w wysokości 5 mld zł w ponad połowie zostanie spożytkowana na wydatki w służbie zdrowia. Za kilka tygodni będzie nowelizacja budżetu, prawdopodobnie ok. 1,5 mld zł zostanie przekazane do NFZ na nadwykonania. To pierwsza taka sytuacja w historii. Doceniam to, że protestujący mówią, iż służba zdrowia potrzebuje dodatkowego finansowania. Zgadzamy się z tym, również pani premier na spotkaniu z rezydentami mówiła, że chce, by nakłady rosły jak najszybciej.

Pan też mówił, że na ochronę zdrowia powinniśmy przeznaczać 6 proc. PKB, a lekarze powinni zarabiać znacznie więcej. Tyle że protestujący nie chcą zmian do 2025 r., tylko wcześniej.

Tak, to nas różni. Czasem nie jest kwestią sporną to, czy życzenie jest słuszne czy nie, tylko na ile da się je zrealizować, a w szczególności kiedy. Z jednej strony kierujemy się determinacją, żeby zmieniać system ochrony zdrowia, z drugiej – odpowiedzialnością. Środkami publicznymi nie można szastać – rząd jest odpowiedzialny za finansowanie różnych zadań, nie tylko w służbie zdrowia. Odpowiedzialność polega też na tym, że nie możemy przekroczyć pewnych granic, które mogłyby spowodować katastrofę finansów publicznych. Gra-

eprasa.pl 132a84d606

nicą jest maksymalny deficyt dopuszczalny przez UE. Przekroczenie go oznaczałoby katastrofę, także dla służby zdrowia.

Z jednej strony mówi się, że Polska jest krajem rozwiniętym, z drugiej przeznaczamy na ochronę zdrowia 1,5 tys. dol. na osobę, podczas gdy Czechy 2 tys. dol., a Niemcy 6 tys. dol. Po pieniądzach nie widać, żeby zdrowie było naszym priorytetem.

Od Czech czy Niemiec różni nas to, że musimy obsługiwać zadłużenie Polski – samych odsetek jest ok. 31 mld zł. To potężna kwota, która jest wyrwą w każdym kolejnym budżecie. Jesteśmy rozwiniętym krajem, rozwijamy się bardzo dynamicznie. Jednakże wystartowaliśmy z niskiego poziomu, co powoduje, że mamy spore zaległości. Powtórzę: jest determinacja, żeby to zmieniać. Jednak odpowiedzialność mówi, że nie da się tego zrobić z dnia na dzień. Tylko to nas różni od protestujących, którzy uważają, że trzeba to zrobić natychmiast.

Protest da się zahamować? W kolejce po lepsze wynagrodzenia stoją pielęgniarki, ratownicy medyczni, diagności laboratoryjni. Jakie widzi pan rozwiązanie?

Pytanie: Jeśli będziemy zwiększać nakłady na ochronę zdrowia, to na co je przeznaczymy? Służba zdrowia jest przede wszystkim dla pacjentów. Oni muszą być na pierwszym planie. Oczywiście, trzeba szanować tych, którzy pracują w służbie zdrowia. Nie możemy jednak zwiększać nakładów tylko po to, by podwyższać wynagrodzenia.

W publicznej służbie zdrowia wiele osób zarabia źle, ale są też osoby, które zarabiają dużo. Jedną kwestią są niskie płace w niektórych zawodach, a drugą – niesprawiedliwe rozłożenie wysokości płac. Niedawno wprowadziliśmy zmianę, na którą od wielu lat czekali pracownicy ochrony zdrowia: ustawę o minimalnych wynagrodzeniach.

Z której nikt nie jest zadowolony...

Jestem pewien, że będzie wielu zadowolonych. Na sfinansowanie tej ustawy, która będzie obowiązywać przez cztery lata, wydamy 17 mld zł. Wiele osób będzie zarabiać dużo więcej niż obecnie. Proszę też pamiętać, że ta ustawa nie jest regulacją płac. Jeśli dyrektor szpitala chce zapłacić więcej, wówczas może to zrobić, i często już tak się dzieje. Jednak niektórym pracownikom ochrony zdrowia dyrektorzy płacili mniej: ta ustawa przywraca elementarną sprawiedliwość. Można dyskutować, czy progi finansowe nie powinny być ustawione wyżej, jednak zaproponowane przez nas zmiany nie są symboliczne. Zwłaszcza w porównaniu np. z pracownikami sfery budżetowej.

Rezydenci mówią, że to są podwyżki rzędu 80–100 zł netto miesięcznie.

Wysokość podwyżek to kwoty 400–500 zł miesięcznie dla wszystkich rezydentów. Nakłady na wynagrodzenia lekarzy stażystów i rezydentów rosną w sposób wyjątkowy: między 2015 a 2018 r. różnica wynosi 40 proc. Przypominam też, że ci lekarze, którzy rozpoczną specjalizacje w tzw. specjalizacjach priorytetowych, dostaną dodatkową podwyżkę w wysokości 1,2 tys. zł.

Warto popatrzeć, czym jest rezydentura. Rezydenci nie są pracownikami Ministerstwa Zdrowia, tylko szpitali. Zadaniem ministra jest zachęcanie lekarzy, by się specjalizowali, zwłaszcza w dziedzinach priorytetowych ze względu na potrzeby zdrowotne pacjentów. Wszystko wskazuje na to, że po naszych deklaracjach o dodatkowej podwyżce dla lekarzy, którzy wybiorą specjalność deficytową, będzie znacznie więcej chętnych na te specjalizacje.

W Polsce jest 220 lekarzy na 100 tys. mieszkańców, podczas gdy np. w Holandii 340. Dramatycznie brakuje pielęgniarek. Co ministerstwo z tym robi?

Te dane są mylące. W Centralnym Rejestrze Lekarzy jest zarejestrowanych 134 tys. czynnych lekarzy, którzy opiekują się ponad 38 mln mieszkańców Polski, wskaźnik to więc ponad 350 lekarzy na 100 tys. mieszkańców. Jesteśmy w średniej europejskiej. Braki kadrowe są jednak faktem. Zwiększyliśmy nabór na studia medyczne: obecnie co roku zaczyna studiować o 1,5 tys. osób więcej niż w 2015 r. (w tym 850 miejsc przygotowano na bezpłatnych studiach medycznych).

Przy takich zarobkach lekarze, pielęgniarki wyjadą...

Pewna liczba lekarzy zawsze wyjeżdżała za granicę. Najwięcej w latach 2004–2005, gdy weszliśmy do Unii. W tej chwili liczba lekarzy wyjeżdżających za granicę zdecydowanie spadła. Polska od pewnego czasu jest też miejscem zainteresowania lekarzy spoza UE. Jeśli chodzi o pielęgniarki, to realizujemy podwyżki, które corocznie zwiększają ich wynagrodzenia o 400 zł. Od 2015 r. jest

REKLAMA

WYDAWNICTWO SZARA GODZINA PRZEDSTAWIA

Książki dostępne w salonach Empiku i w dobrych księgarniach

eprasa.pl 132a84d606

to już 1,2 tys. zł więcej, a kolejna transza została zaplanowana na wrzesień 2018 r.

Lekarze obawiają się, że pozwolimy im wyjechać, nie dając podwyżek, a na ich miejsce rząd ściągnie np. lekarzy z Ukrainy.

Zjawisko migracji lekarzy nie jest polską specjalnością. Austriacy narzekają, że ich lekarze wyjeżdżają do Niemiec, Brytyjczycy – że do USA. Stopniowe podwyżki dla lekarzy są zaplanowane w ustawie o minimalnych wynagrodzeniach w służbie zdrowia. W 2021 r. minimalna pensja zasadnicza (bez dyżurów) będzie przekraczała 6,3 tys. zł. Polska jest nowoczesnym, otwartym krajem. Jeśli w Polsce będzie lepiej – a rozwijamy się gospodarczo bardzo wyraźnie – to więcej osób będzie wybierać Polskę jako miejsce swojego zamieszkania.

Słychać też jednak głosy, że lekarze powinni zapłacić za studia, jeśli chcą wyjechać. Pan jest temu przeciwny.

Płacenie za studia nawet konstytucyjnie nie byłoby możliwe do przeprowadzenia. Zresztą jeśli już, to tego typu regulacje nie powinny dotyczyć tylko lekarzy. Uważam jednak, że to nie jest dobry pomysł. Możliwe jest jednak przekazywanie dodatkowych środków przeznaczonych na rozwój zawodowy lekarzy pod warunkiem zobowiązania ich do „odpracowania" pewnego czasu w Polsce.

Podkreśla pan, że w centrum opieki zdrowotnej powinien być pacjent. Pacjenci skarżą się na kolejki do specjalistów, na to, że lekarze nie mają czasu, empatii.

W kwestii podejścia i empatii – minister zdrowia nie wszystko może zmienić. To długofalowe zadanie dla uczelni medycznych, a także samorządów zawodowych lekarzy i pielęgniarek. A jeśli chodzi o kolejki, to się skracają. Od dwóch tygodni działa w Polsce sieć szpitali. W stosunku do sieci formułowano wręcz katastroficzne wizje. Nic złego jednak się nie stało. Co więcej, mam informacje, że nałożenie na szpitale obowiązku prowadzenia poradni nocnej i świątecznej pomocy lekarskiej, obok izby przyjęć albo SOR, okazało się świetnym rozwiązaniem, które odciążyło SOR. A przede wszystkim ulżyło ludziom ciężko chorym, do tej pory czekającym w kolejce razem z pacjentami, którzy nie zdążyli do swojego lekarza rodzinnego i przyszli w nocy. Ustawa o sieci wprowadziła też drugie ważne rozwiązanie: jeśli pacjent leżał w szpitalu, to po zakończeniu hospitalizacji szpital nadal się nim opiekuje, zapewniając wizytę w poradni lub rehabilitację, jeśli to konieczne. To zdecydowanie skróci kolejki do specjalistów dla osób najciężej chorych. Poza tym dodatkowe pieniądze (700 mln zł) zostały przeznaczone na dodatkowe operacje zaćmy, wszczepienia endoprotez oraz na wykonywanie tomografii komputerowej i rezonansu. To też skróci kolejki. Myślę, że pacjenci dostrzegają te pozytywne zmiany.

Każdy oczekiwałby szybszych zmian: np. że do kardiologa nie będzie czekać pół roku, tylko miesiąc.

Ustawianie ciężko chorego pacjenta w takiej kolejce jest nie do przyjęcia. Powinien albo szybko dostać się do specjalisty, albo trafić do szpitala. Czasem jednak w ogóle skierowanie do kardiologa jest bezzasadne, bo to lekarz rodzinny powinien solidnie zająć się pacjentem – np. jeśli ma nadciśnienie, a choroba jest stabilna. Ustawa o podstawowej opiece zdrowotnej, nad którą właśnie pracują posłowie, ma dać lekarzowi rodzinnemu takie narzędzia, by mógł lepiej zająć się pacjentem. Dzięki temu też skrócą się kolejki do specjalistów, bo będą do nich kierowani tylko chorzy, przy których leczeniu lekarze rodzinni rzeczywiście potrzebują wsparcia.

Przez to, że na zdrowie wydajemy tak mało, chorzy często latami czekają na refundację nowoczesnych leków, często tracąc szansę na życie.

Nie ma tygodnia, żebyśmy nie rozważali wprowadzenia do refundacji nowego leku. W ciągu dwóch lat, kiedy jestem ministrem, kilkadziesiąt nowych cząsteczek zostało wprowadzonych na listę leków refundowanych. Pacjenci z chorobami nowotworowymi, hematologicznymi, z autoagresji, np. stwardnieniem rozsianym, zyskali nowe możliwości terapii. Wprowadziliśmy też możliwość tzw. ratunkowego dostępu do technologii medycznych – dzięki temu zyskali możliwość leczenia ci, którzy nie mogli otrzymywać standardowych terapii.

> **Rezydenci nie do końca zdają sobie sprawę z tego, że nie da się wszystkiego zrobić natychmiast**

Gdybyśmy jednak mieli 6 proc. PKB, to nowych leków byłoby więcej.

Na pewno. Dlatego nie mam wątpliwości, że w Polsce trzeba przeznaczać więcej środków finansowych na zdrowie.

Może ten protest młodych ludzi coś zmieni i większe pieniądze jednak się znajdą?

Rząd jest zdeterminowany, by przeprowadzać głębokie zmiany w służbie zdrowia. Dostrzegam jednak także to, że obecność tematu służby zdrowia na pierwszych stronach gazet przygotowuje polityków i całe społeczeństwo do tego, by dostrzec, że nowoczesna służba zdrowia – jakiej oczekujemy i potrzebujemy – kosztuje. O zwiększaniu nakładów mówimy od początku, jest to w programie Prawa i Sprawiedliwości. Planowaliśmy to na długo przed protestem lekarzy rezydentów.

Gdyby dziś był pan na miejscu rezydentów, uczestniczyłby pan w proteście?

Na starcie mojego życia zawodowego sytuacja lekarzy była jeszcze gorsza: młody lekarz musiał sam znaleźć dyrektora szpitala, który chciał go zatrudnić. Na studiach byłem działaczem NZS, miałem kłopoty z zatrudnieniem, bo byłem niepoprawny politycznie. Zarobki były niesłychanie niskie. Miałem 17–20 dyżurów w miesiącu. Wyjeżdżałem za granicę do pracy fizycznej, bo lekarska pensja nie wystarczała na potrzeby rodziny. Znam wszystkie problemy, o których mówią rezydenci. Chciałbym, by kolejne pokolenia lekarzy rozpoczynały życie zawodowe w inny sposób. Jednak start w medycynę to trudne zadanie. Rodzaj gotowości do ciężkiej pracy, długich godzin spędzanych w szpitalu towarzyszy młodym medykom zawsze. Myślę, że oni o tym wiedzą. Nie unikają podejmowania dodatkowych dyżurów – nie tylko z powodu pieniędzy, lecz także dlatego, żeby zdobyć doświadczenie. Oczywiście, nie można podejmować zatrudnienia ponad siły.

Protestowałby pan?

Jeśli pyta pani, czy rezydenci mają rację, to powiem: mają, jeśli chodzi o konieczność większych nakładów na ochronę zdrowia. Mają, jeśli chodzi o konieczność godnego wynagradzania pracowników medycznych. Moim zdaniem nie do końca jednak zdają sobie sprawę z tego, że nie da się tego zrobić natychmiast. Dlatego zapraszam do wspólnej pracy nad koniecznymi zmianami w systemie służby zdrowia. Widzę pozytywy debaty publicznej, która towarzyszy protestowi, ale też jej negatywne skutki. Zwłaszcza gdy patrzę na fotografujących się na proteście byłych ministrów zdrowia, którzy niewiele zrobili w kwestii wynagrodzeń młodych lekarzy, a także wzrostu nakładów na ochronę zdrowia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

SENIORZY Z ENERGIĄ

Nie tracą czasu na usterki

Usterki sprzętów domowych zdarzają się w każdym domu. Z nami zyskasz pomoc fachowców wtedy, gdy tego potrzebujesz.

Odwiedź jedną z naszych placówek
lub zadzwoń pod numer **555 555 580**.

Energa

Koszt połączenia z numerem infolinii 555 555 580 zgodnie z taryfą Twojego operatora.

eprasa.pl 132a84d606

Piotr Semka

Medialny nerw

Kiedy wciskanie informacyjnego „gazu do dechy" w TVP staje się nawykiem, wyparowuje wszelka finezja i wartość pluralizmu medialnego obraca się przeciw PiS

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

Protesty młodych lekarzy na razie nie zamieniły się w strajk generalny, ale PiS znów otarł się o wywołanie większej fali demonstracji. Napastliwe materiały w „Wiadomościach" i słynna depesza na stronie TVP Info o rezydentach jedzących kanapki z kawiorem i rozbijających się po świecie wywołały nadspodziewanie silne emocje. Dlaczego programy informacyjne TVP przykuwają tak mocno uwagę w polskiej polityce? I czy są to emocje uzasadnione czy przesadne?

ZA WSZYSTKO SIĘ PŁACI

Nie należę do osób, które rozdzierają szaty nad podporządkowaniem sobie TVP przez PiS. Warunki polskiej polityki były w ostatnich dwóch dekadach tak nienormalne, że politycy Prawa i Sprawiedliwości mogli dojść do przekonania, iż tylko dzięki mediom publicznym mogą trafić ze swoim poglądem na sytuację do masowego widza. Widać też, że bez TVP rząd nie miałby żadnej okazji, aby prezentować to, co mu się udaje. Nowy stan rzeczy zwiększył więc poziom pluralizmu w debacie publicznej. Jednak PiS, pozwalając na to, by pod rządami nowej ekipy w TVP styl programów informacyjnych przekraczał rozsądne standardy, teraz zaczyna płacić za to ogromną cenę. Wciskanie informacyjnego „gazu do dechy" stało się nawykiem i wszelka finezja wyparowała jak kamfora. W TVP Info normą stały się niezwykle wyraziste napisy na paskach informacyjnych, jednostronny dobór gości do programów, a w „Wiadomościach" zagościł dość łopatologiczny styl felietonów.

Pozwoliło to dotrzeć do masowego odbiorcy, ale zraża do PiS elity, zwłaszcza te młode.

Wszyscy, którzy przyzwyczajeni są do zrównoważonej debaty, nie mogą być też zachwyceni programami z trzema albo czterema publicystami mającymi dość podobne poglądy. Co więcej, rozmaite bardziej lub mniej subtelne krytyki tego stanu rzeczy, które płynęły z prawej publicystycznej strony do dawnych kolegów z mediów teraz pełniących funkcje w TVP Info, niewiele zmieniały. W odpowiedzi deklarowano, że słupki rosną, że „ostry program" cieszy się wyjątkową oglądalnością, a konkurencja także bywa stronnicza. To prawda, ale – jak się właśnie teraz okazuje – styl także ma znaczenie. Grupa bojowych dziennikarzy „Faktów" TVN także produkuje materiały, w których widać, jakie są sympatie reportera, ale komercyjna stacja bardziej dba jednak o formę. Natomiast w TVP Info sytuacja wygląda tak, jakby kwestia formy absolutnie przestała już kogokolwiek interesować. Jak można się domyśleć, nie spędza to też snu z powiek politykom PiS, którzy zapewne najbardziej zadowoleni są z rosnącego poziomu słupków w sondażach preferencji wyborczych.

POŚLIZG NA BANANIE

Spin doktorzy prawicy w latach 2000–2015 zwykli mawiać, że czas wyborów to zaczarowana chwila, kiedy prawica zyskuje nagle szansę na przedarcie się do przeciętnego widza. Owszem, przewaga mediów III RP była w tamtych latach przemożna, ale dobrym klipem czy dobrym pomysłem na kampanię można było

eprasa.pl 132a84d606

odwrócić kierunek zbiorowych emocji. Teraz sytuacja paradoksalnie się odwróciła. To PiS od dwóch lat ma spore poparcie, ale męczy go niczym koszmar senny możliwość nagłego rozlania się protestów na masową skalę. Coś, co kazało PiS cofnąć się w czasie nadspodziewanego poparcia dla protestu kobiet w październiku 2016 r., i coś, co zaniepokoiło prezydenta na tyle, by zawetował ustawy o reformie sądów. Rzecz w tym, że taka nagła zmiana nastrojów może zacząć się od jednego „przegrzanego" materiału w TVP, takiego jak ten o rezydentach „zajadających się kanapkami z kawiorem". Ukaranie przez TVP Info autora tego materiału niewiele zmienia, jeśli zwierzchnicy reporterów dalej nie widzą niczego złego w informacyjnej „jeździe po bandzie". W przerysowanym stylu informowania jest jeszcze jedno zagrożenie: gdy PiS będzie chciał naprawdę wyjaśnić niejasny proces, może zderzyć się z nieufnością opinii publicznej, która wietrzyć będzie w tym kolejne „zlecenie władzy". I wtedy TVP nie dotrze z nawet najprawdziwszą wersją wydarzeń do wyborców środka, bo ci uznają ją za kolejną propagandę. Już kampania billboardowa z sierpnia, odgrzewająca opowieści o sędziach kradnących w supermarketach, powinna być dla rządzącej partii ostrzeżeniem, że jej przekaz postrzegany jest jako obciach. Telewizyjny materiał o lekarzach znowu zaognił emocje i tylko to, że ludzie mają złe doświadczenia z lekarzami, nie spowodowało bardziej masowego poparcia dla protestujących.

Jeśli się ma duży wpływ na media publiczne, to trzeba się pogodzić z tym, że się bierze za nie odpowiedzialność.

PISZ PAN NA TWITTER

W opozycji do agresywnego stylu wiadomości w sprawie rezydentów znalazł się niedawno apel Pawła Kowala. Były polityk PiS i były wiceminister spraw zagranicznych zaapelował do ministra zdrowia o uspokojenie emocji oraz podkreślał, że chodzi o „szacunek dla zawodu i powołania lekarza oraz budowanie wokół tego odpowiedniej atmosfery społecznej".

„Historia najnowsza zna kampanie przeciw różnym grupom zawodowym czy społecznym, lekarzom, uczniom, arystokratom, kułakom, księżom itd. Bynajmniej nie dlatego przytaczam te przykłady, by snuć historyczne analogie, które bardzo często w niczym nie pomagają i bywają mylące. Mam inny cel" – wyjaśnia Kowal na swoim facebookowym profilu. I tłumaczy: „W czasach mediów społecznościowych, silnych mediów informacyjnych organizowanie opinii publicznej wokół ogólnych akcji dezawuowania jakichś grup jest oczywiście czymś innym, podobnie jak ustrój, w którym żyjemy, ale też w pewnym sensie może być bardziej efektywne niż przed laty".

Kowal nie mówi tego wprost, ale sugeruje, że atak na lekarzy był efektem jakiejś decyzji polityków, skutkującej określonym kształtem wiadomości w TVP, a dopiero potem podjęła go najbardziej rozemocjonowana politycznie część infosfery po prawej stronie. To nie jest wcale takie proste. I polityka PiS, i polityka „Wiadomości", i wreszcie opinie internautów to trzy światy, które – owszem – nakładają się na siebie, ale w dużej mierze kierują się własnymi emocjami.

I media, i politycy powinni unikać łatwego podchwytywania emocji z infosfery ludzi wyznających podobne poglądy

Weźmy choćby wyciąganie zdjęć z Instagrama z zagranicznych wojaży lekarzy. Dzisiaj każdy internauta może odgrywać rolę dziennikarza, sam zaglądając na profile lekarzy i ujawniając to, co uważa za hipokryzję lub zakłamanie. Takie odkrycie może z kolei inspirować dziennikarza „Wiadomości" bez jakichkolwiek bezpośrednich nacisków polityków.

Idźmy dalej. Zadajmy przekornie inne pytanie: Czy zaniepokojony ewentualną nagonką na lekarzy Paweł Kowal może mówić internautom, że nie mają prawa sprawdzać czystości ich deklaracji, zaglądając na Instagram? Przecież taki zakaz z kolei dawałby lekarzom jakiś status osób, które angażując się żywo w życie publiczne, same mają nad sobą rozpięty parasol ochronny i są specjalnie traktowane.

I jeszcze dalej: obrońcy lekarzy wskazują na krytykę mogącą budzić wątpliwości, np. uznawanie zdjęcia za dowód bogactwa, podczas gdy może to być fotografia z zagranicznej działalności humanitarnej. No dobrze, są to ataki poniżej pasa. Co jednak z tymi bardziej trafnymi krytykami sposobu myślenia lekarzy? Czy internauci nie mają do nich prawa? Jak wyznaczyć wyraźną granicę między krytyką ostrą, ale racjonalną, a nagonką?

Tym bardziej że w sprawie sporu o lekarzy dość kontrowersyjne chwyty proponują ich obrońcy. Oto znany bloger z lewicy, „Galopujący Major", sformułował dekalog rad dla strajkujących. Zachęca, by wycofali „efektowne" zdjęcia ze swoich kont i by manipulowali opinią publiczną. A co z politykami? Wielu z nich przecież wzywa młodych lekarzy do absolutnej roszczeniowości. Ryszard Petru głosi: żądajcie podwyżek, PiS ma przecież pieniądze dla swoich. Z kolei Stanisław Tyszka z Kukiz'15 wyjaśnia: „Można znaleźć pieniądze, wystarczy tylko skasować dotacje dla partii". To nie jest demagogia i szczucie na rząd?

Dzisiejsza polityka się zdemokratyzowała, bo jej nieusuwalnym elementem są rozemocjonowane grupy wyborców. I nie sposób odróżnić opłacanego trolla od zaangażowanego fana obozu politycznego, który ma prawo do wygłaszania swoich opinii. Dlatego próby moralizowania i wzywania do unikania emocji w polityce są zacne, ale są też przejawem myślenia z dawnej epoki.

Czy z całej tej historii płynie jakiś morał? Tylko taki, że i media, i politycy powinni unikać łatwego podchwytywania emocji z infosfery ludzi wyznających podobne poglądy, ale poddających się typowemu dla Internetu zjawisku rauszu emocjonalnego. I morał drugi. Im dana partia mocniej stoi w sondażach i ma więcej władzy, tym bardziej powinna się liczyć z tym, że wywołuje lęk w swoich przeciwnikach czy w grupach społecznych wchodzących w konflikt z rządem. A to oznacza, że im ktoś więcej może, tym bardziej musi się zastanowić, czy retoryka jego polityków nie może być interpretowana jako zagrożenie lub nagonka.

Problem w tym, że w polskiej wojnie politycznej obie strony uważają się za wiecznie zagrożone i tym samym przyznają sobie więcej praw w politycznej wolnoamerykance. Coś jak dwaj bokserzy, którzy są wyczuleni na bolesne ciosy rywala i nawet gdy spychają przeciwnika do narożnika, sami nie przestają użalać się nad sobą jako słabszą stroną. Ot, taki „symetryzm" strachu i niedostatku prestiżu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

FOT. FOTOLIA

Polska rajem dla start-upów

Świetny pomysł na innowacyjny biznes nie zawsze idzie w parze z umiejętnościami menedżerskimi i pieniędzmi na start. Fundusze Europejskie pomagają pokonać te bariery. Na rozwój półtora tysiąca start-upów przeznaczone jest ok. 3 mld zł. Bezpłatne biuro, szkolenia, doradztwo, dotacje, pożyczki, inwestorzy – to tylko niektóre profity czekające na autorów innowacyjnych koncepcji biznesowych

Polska od lat stoi przed trudnym wyzwaniem zwiększenia innowacyjności gospodarki. Stosowane są różne zachęty i ułatwienia dla osób oraz firm, które mają potencjał przyczynić się do osiągnięcia tego celu. Wśród nich jest kompleksowe wsparcie dla start-upów – począwszy od pomocy przy przekształceniu pomysłu w plan biznesowy, a skończywszy na dotacjach i wejściach kapitałowych w rozwijające się spółki. Wiele działań współfinansowanych jest z Funduszy Europejskich, głównie z programu Inteligentny Rozwój. Wpisują się one w tzw. ideę smart money – poza środkami pieniężnymi obejmują także doradztwo i mentoring. Co więcej, niedawno Polski Fundusz Rozwoju uruchomił specjalny portal internetowy startup.pfr.pl. To świetne źródło informacji o możliwościach wsparcia dla wszystkich osób aktywnych w sferze innowacji.

OD POMYSŁU DO RYNKU

Specjalistyczna wiedza i pomysł na jej praktyczne wykorzystanie nie zawsze idą w parze z umiejętnościami biznesowymi. Właśnie dlatego część pieniędzy z Funduszy Europejskich zasiliła tworzenie i funkcjonowanie tzw. akceleratorów. Są to ośrodki, w których innowacyjne pomysły przekuwane są na konkretne modele biznesowe, a także tworzona jest pełna strategia ich realizacji. Mogą się do nich zgłaszać osoby, które mają produkt lub usługę, wokół których chcą tworzyć zaawansowaną technologicznie firmę, muszą wykazać się wiedzą, która pozwoli zrealizować go od strony praktycznej. Dobrze, jeżeli mają już także zespół osób o uzupełniających się kompetencjach, który stworzy zalążek nowej spółki.

800 tys. zł

NAWET O TYLE DOTACJI MOGŁY SIĘ UBIEGAĆ FIRMY, KTÓRE STARTOWAŁY W TZW. PLATFORMACH STARTOWYCH NA TERENIE POLSKI

Akceleratory różnią się nieco między sobą – niektóre ukierunkowane są na konkretną branżę, inne stawiają na silną współpracę z dużymi firmami, jeszcze inne przyjmują tylko osoby młode, do 35. roku życia, lub zespoły interdyscyplinarne, które szukają rozwiązań problemów społecznych i gospodarczych w oparciu o technologię informatyczną. Zazwyczaj udostępniają swoim podopiecznym pakiety usług. Do podstawowych należą: szkolenia, powierzchnia biurowa i obsługa księgowa. Specjalistyczne to wsparcie techniczne, inżynieryjne, wzornicze czy w zakresie zarządzania. Gromadzą też wokół siebie partnerów: inne instytucje otoczenia biznesu, fundusze podwyższonego ryzyka, aniołów biznesu i inwestorów, duże firmy, a także zewnętrznych specjalistów z różnych dziedzin związanych z nowymi technologiami oraz doświadczonych menedżerów, którzy dzielą się swoją wiedzą biznesową.

ANIOŁY, FUNDUSZE, DOTACJE

Spółki, które przeszły już proces akceleracji, mają uporządkowaną strukturę, produkt gotowy do wprowa-

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 132a84d606

dzenia na rynek i strategię działania, mogą liczyć na wsparcie finansowe. Większość akceleratorów oferuje swoim podopiecznym dotacje na start w wysokości 250 tys. zł. Firmy, które zgłosiły się do programu Platform Startowych na terenie Polski Wschodniej, mogły ubiegać się nawet o 800 tys. bezzwrotnego wsparcia. Przyznanie pomocy finansowej nie następuje jednak z automatu. Spółki, które zakończyły proces akceleracji, muszą o nie dodatkowo wnioskować. W niektórych przypadkach wsparcie finansowe ma formę wejścia kapitałowego w nowo powstałą spółkę. Tak jest np. w akceleratorach działających w programie ePionier, w których zespoły interdyscyplinarne wypracowują informatyczne rozwiązania na potrzeby zgłoszone przez instytucje publiczne.

Dla wszystkich firm w fazie rozwoju dostępna jest również oferta funduszy podwyższonego ryzyka i aniołów biznesu. PFR Ventures (Grupa Polskiego Funduszu Rozwoju) udziela wsparcia funduszom ukierunkowanym na młode, innowacyjne firmy. Są one podzielone w następujący sposób:

- PFR Starter FIZ, dedykowany spółkom na najwcześniejszym etapie rozwoju (głównie przed pierwszą sprzedażą), wejścia kapitałowe do 3 mln zł, przy czym pierwsza inwestycja do 1 mln zł;
- PFR Biznest FIZ, etap: seed i start-up, koinwestycje z sieciami aniołów biznesu, wejścia kapitałowe do 4 mln zł;
- PFR Otwarte Innowacje FIZ, etap: wczesny wzrost, wejście kapitałowe od 5 do 40 mln zł powiązane z transferem technologii i prowadzeniem prac badawczo-rozwojowych;
- PFR KOFFI FIZ, etap: wzrost, wejścia kapitałowe od 2,5 do 60 mln zł;
- PFR NCBR CVC FIZ, etap: wzrost, ekspansja, dla MŚP z komponentem badawczo-rozwojowym, wejścia kapitałowe do 60 mln zł w ramach tzw. Corporate Venture Capital. ©℗

MoN

3 mld zł na 1500 projektów

PROGRAM START IN POLAND

największy pogram w Europie Środkowo-Wschodniej wspierający start-upy

kompleksowy pakiet instrumentów adresowany do młodych, innowacyjnych firm lokalizujących swój biznes w Polsce

ETAPY WSPARCIA

inkubacja	akceleracja	rozwój
identyfikacja pomysłów przedsiębiorstw opartych na rozwiązaniach innowacyjnych	dostęp do mentorów know-how infrastruktury dużych korporacji oraz nowych klientów i rynków zbytu	zwiększenie skali działań, rozwój działalności badawczo-rozwojowej, uruchomienie produkcji masowej, wdrażanie własnych rozwiązań oraz wsparcie projektów na etapie ekspansji zagranicznej
	środki na pilotaż SCALE UP	
1,05 mld zł	60 mln zł	1,75 mld zł

Gdzie szukać informacji?

www.startup.pfr.pl

Portal prezentuje ofertę Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju dla młodych, innowacyjnych firm oraz wysokotechnologicznych przedsiębiorstw z sektora MŚP, poszukujących kapitału i wsparcia w ramach programów publicznych. Składają się na nią produkty instytucji wchodzących w skład Grupy PFR, w tym m.in.: PFR Ventures, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, Banku Gospodarstwa Krajowego, Agencji Rozwoju Przemysłu oraz Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu – łącznie ponad 40 inicjatyw.

Za pomocą wyszukiwarki portal pomaga znaleźć dostępne instrumenty dla projektów na każdym etapie rozwoju. Bez względu na to, czy firma jest w fazie pomysłu i chce zweryfikować rynkową przydatność produktu, czy się rozwija i szuka inwestora lub innych źródeł finansowania, czy rozważa ekspansję zagraniczną, na www.startup.pfr.pl znajdzie odpowiedź na swoje potrzeby.

Dodatkowo na portalu stworzona została mapa ułatwiająca nawigację po publicznym ekosystemie innowacji funkcjonującym w Polsce.

Więcej informacji o Funduszach Europejskich znajdziesz na portalu **www.funduszeeuropejskie.gov.pl** oraz w Punktach Informacyjnych Funduszy Europejskich.

Fundusze Europejskie | Rzeczpospolita Polska | Unia Europejska Europejskie Fundusze Strukturalne i Inwestycyjne

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPÓJNOŚCI UNII EUROPEJSKIEJ

eprasa.pl 132a84d606

Rafał A. Ziemkiewicz

Nie wystarczy nie kraść

Na razie PiS może sobie pozwolić na euforię, ale dotychczasowe sukcesy rządu nie mają nic wspólnego z zapowiadaną budową nowego państwa

Zawrót głowy od sukcesów" – gdyby nie świadomość, kto i w jak złowrogim celu ukuł to powiedzenie, nie byłoby lepszego komentarza do obecnego stanu ducha rządzącej formacji. W istocie nigdy jeszcze w dziejach III RP rząd i partia rządząca nie były tak wysoko oceniane po dwóch latach sprawowania władzy. Podobnie jak nigdy nie było tak niskiego bezrobocia, tak skutecznego wykonania budżetu etc. Wyborcy to doceniają. Politycy i zwolennicy władzy powtarzają więc z dumą: „No i nie mówiliśmy? Wystarczy nie kraść!".

Na dłuższą metę jednak takie myślenie może się źle skończyć, mniejsza z tym, że dla samej władzy (choć na razie PiS, podobnie zresztą jak każda partia rządząca przed nim, żyje w błogim przeświadczeniu, iż władzy raz zdobytej nie będzie musiał oddać już nigdy), ale dla Polski. Formuła „wystarczy nie kraść" jest bowiem równoznaczna z postawą, przed którą idol patriotycznej lewocentroprawicy przestrzegał w bodaj najsławniejszej ze swych złotych myśli: „Zwyciężyć i spocząć na laurach – to klęska".

JAKA POLSKA?

Nie można oczywiście powiedzieć, żeby PiS spoczywał na laurach w sensie nicnierobienia, do którego przyzwyczaił Polaków Donald Tusk. Wciąż otwiera nowe polityczne fronty i zapowiada kolejne. Po oczyszczeniu sądów ma przyjść czas na dekoncentrację mediów i ordynację wyborczą, już mówi się o połączeniu reformy szkół wyższych z lustracją kadry akademickiej. Ostrzej niż ktokolwiek przed nim polemizuje ten rząd z unijną centralą i Niemcami. Bardzo „rozwojowe", mówiąc dziennikarskim żargonem, są sprawy „dzikiej reprywatyzacji", Amber Gold i wyłudzeń VAT. Ruch w obozie władzy generują także jego wewnętrzne spory i zapowiadana rekonstrukcja rządu.

Tylko że cała ta krzątanina nie ma nic wspólnego z obiecywaną przez Jarosława Kaczyńskiego od lat budową „nowego państwa". Przeciwnie, PiS całkowicie skupiony jest na postawionym kiedyś w dramatycznych okolicznościach pytaniu Jana Olszewskiego: „Czyja Polska?", pytania najważniejszego – „Jaka Polska?" – w ogóle sobie nie zadając. Obóz rządzący jest bez reszty pogrążony w sanacyjnym przekonaniu, że jeśli Polska będzie „nasza" – „oczyszczona" i „odzyskana", jedna dziedzina życia publicznego po drugiej – to tym samym siłą rzeczy będzie taka jak trzeba. Nie ma nawet co wgłębiać się w szczegóły, co to konkretnie oznacza.

Tymczasem państwo PiS po dwóch latach jego rządów to nadal kraj, którego rząd np. składa się z ponad stu ministrów i wiceministrów – absurd godny odnotowania w Księdze rekordów Guinnessa – a jego rozbudowane struktury urzędnicze służą tylko do bycia, podczas gdy realne rządzenie odbywa się za pomocą niekonstytucyjnych „gabinetów politycznych". Nadal w tym państwie nie ma jednego systemu podatkowego, tylko de facto tyle, ile jest urzędów skarbowych, bo szef każdego jest sobiepanem – u jednego odliczysz, u drugiego nie. Rzecz dotyczy nie tylko podatków: uznaniowość decyzji urzędniczych na każdym szczeblu, brak procedury wymuszającej jednolite interpretacje i zasady udzielania zezwoleń czy rejestracji, brak odpowiedzialności urzędnika za podejmowane decyzje – to główne zmory postkomunizmu, główna bariera dla modernizacji oraz przyszłego wzrostu i nie widać żadnych prób zmierzenia się z nią.

DO METY DALEKO

Gdybym chciał być wobec rządu bardzo złośliwy, zacytowałbym tu obszerne fragmenty exposé wygłoszonego dwa lata temu przez premier Szydło. Ileż było tam obietnic? Ot, choćby podniesienie kwoty wolnej od podatku do 8 tys. zł! I to z solidnym zapewnieniem, że wszystkie one spełnione zostaną w ciągu pierwszych stu dni rządów. Żeby jednak nie być złośliwym aż tak, zerknąłem sobie do własnego artykułu „Sto dni na zmianę", zamieszczonego na tych tu łamach w październiku 2015 r. Wymieniałem tam zasadnicze sprawy w państwie, które muszą zostać zmienione, by uzyskało ono

eprasa.pl 132a84d606

FOT. MICHAŁ DYJUK/REPORTER

sprawność i skuteczność porównywalne z zachodnimi, takie jak „reforma centrum" i administracji, połączona z ich odchudzeniem, likwidacja niezliczonych agencji i funduszy celowych, radykalne uproszczenie podatków oraz odbiurokratyzowanie gospodarki, na czele z zakończeniem terroru niezliczonych inspekcji i kontroli, na dodatek systemowo nagradzanych za znajdowanie jak najliczniejszych uchybień i wymierzanie jak najliczniejszych kar. ZUS jak miał przed sobą pewną katastrofę, tak wskutek emigracji młodych Polaków ma ją nadal, tylko jest ona bliżej. Słowem, poza uszczelnieniem systemu zwrotu VAT – które, mówiąc uczciwie, w kwestii zasadniczej, rynku paliw, przygotowała PO, tylko nie miała „politycznej woli", by własny projekt wprowadzić – system jest, jaki był.

Tak samo dalecy jesteśmy od zasadniczych zmian w obszarach mniej może strategicznych, ale najistotniejszych dla komfortu życia przeciętnego obywatela, takich jak służba zdrowia i szkoły. „Sieć szpitali" można uznać za typowe „kręcenie filiżanką w szklance bez cukru", jak ujął to nieoceniony w roli dostarczyciela bon motów Ryszard Petru. A reforma oświaty bazuje na kluczowym „jakoś to będzie", na później odkładany jest najważniejszy problem, co zrobimy za dwa lata, gdy w liceum spotkają się ze sobą ostatni rocznik gimnazjalny z pierwszym idącym „po nowemu".

Przykładem i symbolem najbardziej może jaskrawym nowego „imposybilizmu" są państwowe media. Chyba wszyscy już zapomnieli, że „mała ustawa medialna", konserwująca wszystkie ich PRL-owskie patologie za cenę szybkiej wymiany zarządów i tym samym wyłamanie TVP oraz PR z antypaństwowego chóru pod batutą „opozycji totalnej", obowiązywać miała tylko przez pół roku. Ustawa „duża" jak dotąd jednak nie powstała, nie udało się napisać nawet ustawy zapewniającej mediom państwowym finansowanie i ostatecznie posłużono się, by użyć terminologii poprzedniego rządu, „by-passem", czyli pożyczką z budżetu państwa.

Prowizorki trwają najdłużej bo – jak wiadomo – są najwygodniejsze. Zupełnie realne wydaje się, że podobną prowizorką może się skończyć reforma wymiaru sprawiedliwości. W końcu – jak zauważył sam Jarosław Kaczyński – PiS i tak nie ma „swoich" sędziów w takim sensie, w jakim miała ich liberalno-lewicowa elita rządząca za pomocą różnych projektów politycznych po Okrągłym Stole, musi się więc oprzeć na „przewerbowanych". Możliwe, że ostatecznie dokona się to nie w drodze czystki, ale niepisanego porozumienia z „kastą" – co jest o tyle możliwe, że w oczach żelaznego elektoratu zrzuci się winę za brak reformy na prezydenta. Nawet zresztą jeśli reforma w końcu się dokona, to na ile stworzy rzeczywiście nowe, lepsze struktury, a na ile reformatorski zapał wypali się na wymianie kadr? Trudno być dobrej myśli.

Tymczasem, wbrew cytowanemu już raz klasykowi socjalizmu, nie jest wcale prawdą, że „o wszystkim decydują kadry". Otóż o wszystkim, a zwłaszcza o jakości kadr, decydują struktury i procedury, w jakich one funkcjonują. Jeśli są one chore, to nieważne, jak oddanych i zapewniających o swej ideowości ludzi mianujemy, prędzej czy później (raczej prędzej) zaczną oni podporządkowywać się logice systemu. Mówiąc brutalnie – proszę wybaczyć, jeśli zabrzmi to nieco bluźnierczo – w złodziejskim systemie nawet święty zacznie kraść i brać łapówki tak jak wszyscy. Jeśli więc nie zmieniamy systemu, to jedynym sposobem utrzymywania sprawności kadr jest ich ciągłe dyscyplinowanie i kontrolowanie. Przy czym autor bon motu o decydującej roli „kadr" robił to za pomocą zsyłek i rozstrzeliwań, ale na tak skuteczne sposoby zniechęcenia do nadużyć żadna władza demokratyczna liczyć nie może. Może tylko budować piramidę kontrolerów kontrolujących kontrolerów do kontrolowania kontrolerów.

INACZEJ BYĆ NIE MOGŁO?

Przykładem sanacyjnej niemożności uzdrowienia systemu bez zmian systemowych służy Polska Fundacja Narodowa. I wcale nie chodzi o to, że wydała ona pieniądze przeznaczone statutowo na budowanie pozytywnego wizerunku Polski za granicą na partyjną propagandę, ani nawet o to, że dała przy tym zarobić firmie bez doświadczenia, ale za to, nazwijmy to, spokrewnionej. Chodzi o to, że inaczej być nie mogło. Tworzenie takiego czegoś, kolejnej pasożytniczej instytucji quasi-budżetowej, w sytuacji, gdy jest już takich patologicznie wiele, musi dać taki sam efekt jak przy poprzednich. Szlachetne cele nie zostaną osiągnięte (kilku kibiców sławną oprawą na meczu Legii zrobiło dla upowszechnienia na świecie polskiej narracji historycznej więcej, niż prawdopodobnie kiedykolwiek zrobi PFN za przyznane jej 600 mln), za to zarobi, kto trzeba, i komu trzeba da zarobić. Albert Einstein definiował kiedyś głupotę jako wiarę w to, że robiąc za każdym razem to samo w taki sam sposób, uzyskamy wreszcie jakimś cudem inny niż zawsze rezultat.

PiS może sobie pozwolić na euforię, bo rządzi tylko od dwóch lat i jeszcze wciąż ma wiele do „odzyskania". Cóż, przedwojenna sanacja też z początku miała sukcesy i nadwyżkę budżetową, której część minister Czechowicz przeznaczył zresztą nielegalnie na BBWR, co było aferą podobnie nieoczywistą jak sprawa PFN (przecież nie wziął tych pieniędzy dla siebie, ale dla sprawy, stąd osobiste zaangażowanie w jego obronę samego Piłsudskiego). Następni, niedługo później, brali już jednak do prywatnych kieszeni w poczuciu, że skoro tyle dla Polski robią, to im się takie drobne korzyści zwyczajnie należą. A „uzdrawiane" państwo po pierwszych sukcesach, będących skonsumowaniem różnego rodzaju uszczelniania i oczyszczania, zaczęło dość szybko grzęznąć, odwracając uwagę od nierozwiązanych problemów wzmożeniem na odcinku godnościowym i walką o godną polskich ambicji pozycję międzynarodową. Oby tym razem Polak umiał być mądry przed szkodą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Trójskok po władzę

Piotr Gociek

Polityczne transfery, partyjne pucze, nowe sojusze, nowe partie – polska polityka szykuje się do roku potrójnych wyborów

Nadchodzący wyborczy trójskok powinien przynieść odpowiedzi na wiele pytań: Czy PSL i Nowoczesna będą dalej istnieć? Jaka lewica ma w Polsce przyszłość? Czy da się uratować Platformę Obywatelską? Czy istnieje życie na prawicy poza obozem PiS?

Wyglądało to będzie tak: Polacy pójdą głosować w wyborach samorządowych jesienią 2018 r., sześć miesięcy później przyjdzie pora na wybory do Parlamentu Europejskiego, a trzy miesiące po nich – wybory parlamentarne (jesień 2019). Na przestrzeni 12 miesięcy dojdzie więc do serii starć, które albo przewrócą polską scenę polityczną do góry nogami, albo zacementują obecną sytuację. Nic więc dziwnego, że rozpoczęło się gorączkowe porządkowanie szeregów we wszystkich formacjach.

SYMBOL, SONDAŻ, STRATEGIA

Dla obozu rządzącego nadchodzące pierwsze starcie to „trzy razy S": symbol, sondaż, strategia. Symbol, bo politycy PiS nieraz podkreślali, że do zmiany Polski potrzebna jest także wygrana w samorządach.

Wyniki wyborów samorządowych są także dobrym sondażem nastrojów społecznych i można w nich wyczytać trendy, które ujawniają się później podczas wyborów parlamentarnych. W 2002 r. w boju o sejmiki wojewódzkie dobrze wypadły Samoobrona i LPR, które potem w roku 2005 stały się trzecią i piątą siłą w polskim parlamencie. W 2006 r. wygrana PO z rządzącym wówczas PiS zapowiadała jej triumf w roku 2007 (choć nikt nie przewidywał skali późniejszego zwycięstwa). W roku 2010 przewaga PO była równie wyraźna jak w wyborach do Sejmu trzy lata wcześniej i dobrze wróżyła partii Tuska na kolejną kampanię wyborczą – tę z roku 2011.

Mówię przede wszystkim o sejmikach wojewódzkich, bo tam leży prawdziwa władza – pieniądze. Czas więc na trzecie S – strategię. Chodzi o Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju wicepremiera Mateusza Morawieckiego, który uważa, że wydawanie funduszy unijnych, którymi dysponują marszałkowie województw, powinno być sprzężone z inwestycjami z jego planu. A chodzi o gigantyczne kwoty – w latach 2014–2020 to 31 mld euro. Wiosną wiceminister rozwoju Jerzy Kwieciński wytykał samorządom wojewódzkim, że wydają pieniądze unijne wolniej niż instytucje rządowe, i podkreślał, że trzeba je odpowiednio inwestować. Dzisiaj PiS nie ma nad tym kontroli. Rządzi tylko w województwie podkarpackim. W pozostałych władzę dzierży koalicja PO-PSL.

PRZETRWAĆ, POWALCZYĆ, PODPORZĄDKOWAĆ

Dla Platformy Obywatelskiej plan na wybory samorządowe da się określić hasłem „trzy raz P": przetrwać, powalczyć, podporządkować.

Przetrwać to znaczy nie oddać PiS władzy w dużych miastach, obronić jak największą liczbę wojewódzkich sejmików. Powalczyć o wynik na tyle dobry, by można było potem, szykując listy wyborcze do Sejmu, użyć argumentu:

eprasa.pl 132a84d606

„Tylko PO jest w stanie realnie walczyć z PiS" i gromadzić przeciwników rządu pod własnym sztandarem. Podporządkować, czyli wchłonąć lub zwasalizować mniejszych graczy, przede wszystkim Nowoczesną.

Dla mniejszych partii opozycyjnych pozostaje tak naprawdę tylko jedno P – przetrwać.

Dla Nowoczesnej, ruchu Kukiz'15, PSL oraz rozmaitych inicjatyw lewicowych wybory samorządowe mogą okazać się ciężką próbą. Jeśli partia Petru osiągnie w skali kraju wynik słabszy niż w wyborach parlamentarnych (było to 7,6 proc.), wówczas będzie to wyraźny znak dla jej polityków (i części zwolenników), że trzeba zacisnąć zęby i szukać sojuszu wyborczego z Platformą.

Ruch Kukiza stoi przed dwoma wyzwaniami: po pierwsze, na ile organizacyjnie jest przygotowany do kampanii samorządowej i czy potrafi spełnić swoje zapowiedzi, to znaczy zgromadzić wokół siebie przedstawicieli rozmaitych lokalnych inicjatyw obywatelskich oraz zaktywizować ponownie przynajmniej część tych, którzy niezadowoleni z duopolu PiS-PO zagłosowali w wyborach prezydenckich na Pawła Kukiza. Drugie wyzwanie zdefiniował niedawno na łamach „Gazety Wyborczej" politolog Jarosław Flis. Wskazując przyczyny sondażowej zwyżki PiS, mówił co prawda, że PO ostatecznie traci swoich dawnych umiarkowanie konserwatywnych wyborców na rzecz partii Kaczyńskiego, ale też zastanawiał się, czy „rozpoczął się już proces konsumpcji Kukiza?".

PSL teoretycznie ma najmniej powodów do niepokoju. W wyborach lokalnych zawsze wypadało dużo lepiej niż w parlamentarnych. Jak od lat powtarza Jarosław Kaczyński: „PSL jest jak dinozaur: mała głowa (reprezentacja w Sejmie – przyp. P.G.), ale wielki tułów, czyli struktury w terenie". Jednak już w ostatnich wyborach parlamentarnych PSL było o włos od klęski, gdyby ludowcy zdobyli kilkadziesiąt tysięcy głosów mniej, nie znaleźliby się w Sejmie. Czy od tamtej pory wydarzyło się cokolwiek, co zwiększałoby szanse PSL na przyszłe sukcesy? Nie sądzę.

ZAISTNIEĆ, ZASKOCZYĆ, ZASZACHOWAĆ

Mamy wreszcie ugrupowania opozycji pozaparlamentarnej, dla których wybory samorządowe są zawsze egzaminem najtrudniejszym. Najmniejsze formacje już stały się przedmiotem rozbioru ze strony większych. Na konserwatywnych liberałów z partii Wolność (dawniej KORWiN) ochotę ma zarówno ugrupowanie Jarosława Gowina, jak i ruch Kukiza. Ten ostatni chce przejmować działaczy i elektorat, wykorzystując działające wewnątrz Kukiz'15 stowarzyszenie Endecja. Transferami z prawicowej drobnicy nie gardzi także PiS, czego dowodem ostatnie przejście dwóch posłanek z koła Republikanie do klubu parlamentarnego Zjednoczonej Prawicy.

Nie wiadomo, ile będziemy mieli list lewicowych i jaki przybiorą kształt. Obsesyjnie stawiający na samodzielność SLD Włodzimierz Czarzasty spróbuje zapewne dokonać rozpoznania bojem i sprawdzić w wyborach samorządowych, na ile prawdziwe są tezy, że żelazny elektorat postkomunistów wciąż istnieje i gwarantuje poparcie powyżej progu wyborczego. Partia Razem oraz rozmaite ruchy miejskie czy ugrupowania tworzące polską tęczową lewicę będą zapewne tworzyły lokalne koalicje o różnym kształcie. Tutaj dziś najwięcej jest chaosu i najtrudniej przewidywać.

Strategię maluchów z prawej i lewej strony sceny politycznej określiłbym jako „trzy razy Z" – zaistnieć, zaskoczyć, zaszachować. Zaistnieć, czyli dać się zobaczyć, nawet jeśli kampanie będą przegrane z kretesem. Zaskoczyć pojedynczymi kandydatami, którzy w niektórych miejscach mogą odnieść sukces i zyskać szerszy rozgłos – tak jak się to stało z Robertem Biedroniem, który w trzy lata przeszedł drogę od niespodziewanego zwycięzcy wyborów na prezydenta Słupska do potencjalnego kandydata lewicy w wyborach na prezydenta Polski. Zaszachować, bo PiS, PO i PSL będą toczyły ostrą walkę o wojewódzkie sejmiki, a tam przy braku jednoznacznie rozstrzygających wyników może się okazać, że głosy pojedynczych nawet radnych z list politycznej drobnicy zdecydują o kształcie rządzącej koalicji.

WIELKI TUMULT

Polska polityka już weszła w czas niespodziewanych transferów, nowych sojuszy, nowych partii i – być może – partyjnych puczów. Polityczną gorączkę wywołuje to, że nabierające rozpędu przygotowania do wyborów samorządowych są w istocie przygotowaniami do wyborczego trójskoku.

Rewolucyjną gorączkę w Platformie i szukanie nowego lidera wywołały nie tylko wątpliwości co do przywódczych talentów Grzegorza Schetyny, lecz także przekonanie, że jego ambicje są główną przeszkodą w porozumieniu z Nowoczesną i wystawieniu już teraz wspólnych list oraz kandydatów na prezydentów miast. Konszachty Ryszarda Petru z Barbarą Nowacką i zerkanie ku mniejszym ugrupowaniom z lewej strony to odpowiedź na ostrą zagrywkę szefa PO, który porozumienie wyobraża sobie tak: Platforma dyktuje warunki i wskazuje liderów, a reszta może się najwyżej grzecznie przyłączyć. Sam Petru z kolei coraz częściej postrzegany jest przez polityków Nowoczesnej jako obciążenie – stąd bliska próba wymiany przywódcy.

Jarosław Gowin powiększa swój stan posiadania wewnątrz Zjednoczonej Prawicy i szuka poza nią samorządowych sojuszników nie dlatego, że koniecznie chciałby mieć „swoich" prezydentów i burmistrzów miast, ale dlatego, że gra o jak najlepszą pozycję wyjściową przy budowaniu list w wyborach parlamentarnych. Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry z tego samego powodu pracuje po cichu nad zgromadzeniem jak największych funduszy na kampanię wyborczą – nie jest to trudne, gdy uzyskało się wpływ na obsadę dużych spółek Skarbu Państwa, więc tym samym zwiększyło zasobność portfeli swoich członków i sympatyków.

Ruch Kukiza musi zrobić wszystko, co tylko możliwe, by obronić wizerunek najważniejszego ugrupowania antysystemowego. Lewicowa drobnica szuka nie tylko „nowego Biedronia", lecz także odpowiedzi na pytanie: W jakiej formule może najskuteczniej przeciwstawić się dominacji prawicy? PSL musi podjąć decyzję – dalej walczyć samotnie czy sprzymierzyć się ze Zjednoczoną Prawicą. Przykład posłanki Możdżanowskiej, która z gwiazdy PSL właśnie stała się ważnym wiceministrem w resorcie Morawieckiego, daje do myślenia.

Wszystkie te procesy to coś więcej niż przygotowania się do walki o samorządy. Chodzi o to, jak scena polityczna będzie wyglądała w roku 2019, kiedy nie tylko zdecyduje się kształt parlamentu w kolejnej kadencji, lecz także nadejdzie początek nowej kampanii prezydenckiej przed wyborami głowy państwa w 2020 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

Łukasz Warzecha

Straszaki do kabur

Funkcjonujący obecnie system wydawania pozwoleń na broń to gwałt na logice. Trzeba zmienić prawo, zamiast straszyć ludzi naciąganymi argumentami

Broń dostaną do ręki psychopaci i alkoholicy. Będą do siebie strzelać wściekli kierowcy na ulicach i ludzie w domach. Dzieci będą się zabijać przypadkiem albo celowo. Zaleje nas fala przestępczości z użyciem broni. Kilka razy w roku będzie dochodzić do masakr porównywalnych z tą w Las Vegas. Polacy nie dorośli do posiadania broni, a nowa ustawa da im ją do ręki.

Taką histeryczną wizję, bazującą na irracjonalnych lękach, próbują sprzedawać ludziom przeciwnicy zmiany prawa dostępu do broni. Do tego grona zaliczają się politycy lewicy, tacy jak towarzysz Zandberg, politycy totalnej opozycji ze szczególnym wskazaniem na Nowoczesną i lewicowi dziennikarze w rodzaju Tomasza Lisa. Łączy ich jedno: mają niemal zerowe pojęcie o obowiązującym stanie prawnym, praktyce, proponowanych zmianach, a także o strzelectwie w ogóle. Większość z nich nie tylko w życiu nie przekroczyła progu strzelnicy, lecz także nie skalała się lekturą obecnie obowiązującej ustawy (mającej swoje korzenie jeszcze w latach 60.) ani projektu nowej regulacji.

FOT. FOTOLIA

JAKA AMERYKA?

Niestety, bujdy kolportowane przez hoplofobów (hoplofobia to irracjonalna niechęć do broni) trafiają w Polsce na podatny grunt. Polacy, przez wieki przyzwyczajeni do broni i traktujący ją jako naturalny element swojej kultury, zostali skutecznie rozbrojeni dopiero przez komunistów, a po 1989 r. pogrobowcy po resortach siłowych i Milicji Obywatelskiej dbali o to, żeby ten stan się nie zmienił. Ludziom wtłoczono do głów przekonanie, że broń to coś strasznego, a jeśli zwiększy się do niej dostęp, to dojdzie do tragedii.

Epatowano przy tym głównie przykładem USA, który nie przystaje kompletnie do naszych warunków. Po pierwsze, w Stanach Zjednoczonych każdy stan ma własne prawodawstwo, ale niemal wszędzie jest ono znacznie bardziej liberalne niż to, co ktokolwiek w Polsce proponuje. Po drugie, statystykami bardzo łatwo manipulować. Najprostsze, najczęściej pokazywane zestawienie – liczba broni i liczba przestępstw z jej użyciem rzekomo pokazujące, jak dramatyczna jest sytuacja w USA – jest skrajnie mylące. Nie uwzględnia bowiem ani tego, że broń używana do popełniania przestępstw jest z reguły nielegalna, ani tego, że przestępstwa takie są skupione w kilku dosłownie miejscach, i to tych, gdzie legalny dostęp do broni jest akurat najtrudniejszy, ani trendów (tam, gdzie wprowadza się ostrzejsze reguły, liczba przestępstw z bronią… rośnie). Warto zatem wiedzieć jedno: sytuacja w USA nijak się ma do sytuacji w Polsce – i tej obecnej, i po ewentualnym wejściu w życie nowej ustawy.

Polskie trendy też zresztą przeczą alarmistycznym tezom. W latach 1997–2016 nastąpił wzrost liczby sztuk broni w prywatnych rękach w Polsce o ponad 95 proc. W tym samym okresie

eprasa.pl 132a84d606

wzrost liczby pozwoleń wyniósł niemal 49 proc. Tymczasem w podobnym okresie (lata 1999–2016) liczba zabójstw spadła o ponad 56 proc., a zabójstw z użyciem broni – o ponad 71 proc. Jak widać, brak tu jakiejkolwiek korelacji. A jeśli już jakaś jest, to raczej działa na korzyść zwolenników nowej ustawy.

W ZGODZIE Z LOGIKĄ

Po co właściwie nowa ustawa? Zasadnicze powody są dwa.

Powód pierwszy: żeby zracjonalizować system pozwoleń. Obecny jest gwałtem na logice, pozwolenia wydaje się bowiem „do celu". Są więc pozwolenia do celów sportowych, myśliwskich, ochrony osobistej czy kolekcjonerskie. Oznacza to, że jeśli myśliwy przyjdzie ze swoją strzelbą, kupioną na pozwolenie do celów myśliwskich, na zawody strzeleckie w kategorii strzelba, to formalnie łamie warunki pozwolenia, bo używa broni niezgodnie z jej przeznaczeniem. Złośliwy policjant z Wydziału Postępowań Administracyjnych mógłby za to cofnąć pozwolenie.

Paradoksów jest więcej. Od 2011 r. proces wydawania pozwoleń do celów sportowych został względnie zobiektywizowany – skasowano tu uznaniowość policji. Pozostawiono ją natomiast w przypadku pozwoleń na broń do ochrony osobistej. Nic dziwnego, że tego rodzaju pozwoleń policja przyznaje śladową liczbę. Nie jest zaskoczeniem, że ze ścieżki sportowej korzysta coraz więcej ludzi, przy okazji angażując się w sport strzelecki.

Tyle że wielu „sportowcom" chodzi faktycznie o broń, którą będą mogli nosić przy sobie, a ponieważ ścieżka sportowa jest tu najłatwiejsza, z niej właśnie korzystają. Na noszenie broni w kaburze z podpiętym i naładowanym magazynkiem pozwala strzelcom sportowym obecne prawo. Mało tego – sportowiec może posiadać broń mniejszego kalibru (bocznego zapłonu), zatem takiej broni może użyć również w samoobronie, z potencjalnie mniej poważnymi skutkami dla ewentualnego napastnika. Tymczasem na pozwolenie na broń do ochrony osobistej możemy kupić jedynie broń większego kalibru, a więc wyrządzającą większe szkody. Absurd? Oczywiście. Niejedyny jednak.

Nowa ustawa kończy z nonsensem pozwoleń „do celu". Zamiast tego pozwolenia będą dotyczyć rodzaju broni. W pierwszej kolejności będzie można uzyskać Obywatelską kartę broni, uprawniającą do posiadania broni najtrudniejszej do ukrycia oraz najsłabszej, jeśli chodzi o siłę rażenia. Kolejnym etapem będzie pozwolenie podstawowe, uprawniające do posiadania broni groźniejszej, w tym centralnego zapłonu. Żadne z tych pozwoleń nie da prawa do noszenia broni – będzie ją można jedynie przenosić, np. w odpowiednich walizkach czy pokrowcach, rozładowaną.

Na końcu drogi będzie pozwolenie rozszerzone i dopiero ono będzie uprawniało do noszenia broni. Pod tym względem nowy system będzie nawet bardziej restrykcyjny od obecnego, bo aby uzyskać pozwolenie rozszerzone, trzeba będzie zdać egzamin praktyczny, zdecydowanie trudniejszy niż obecny. Dzisiaj to statyczne strzelanie do jednej tarczy, w którym liczy się skupienie przestrzelin. Nowy egzamin ma polegać na oddaniu 10 celnych strzałów do dwóch tarcz na dystansie 10 m, zza barykady, w ciągu 30 s, w dodatku ze zmianą magazynka i wymogiem zdobycia minimum 21 pkt na każdej tarczy. To naprawdę wysokie wymagania, ale oznacza to, że chodzić z bronią po ulicy będą mogły jedynie osoby mające sprawdzone umiejętności.

Powód drugi: nowa ustawa odwraca logikę dotychczasowych przepisów i z posiadania broni czyni prawo zdrowych, niekaranych obywateli, a nie przywilej dostępny dla elity. Pozwolenie dostanie każdy, kto nie podpada pod którąś z negatywnych przesłanek wymienionych w ustawie. Tych przesłanek jest jednak wiele. Poza karalnością to też szeroki katalog schorzeń. Nowością w przypadku obecnej ustawy – i znaczącym uszczelnieniem systemu – jest zobowiązanie lekarza, który ujawni u pacjenta chorobę stanowiącą przeciwwskazanie do posiadania broni, do powiadomienia o tym odpowiedniego organu. Dzisiaj lekarze takiego obowiązku nie mają. Teoretycznie można więc sobie wyobrazić, że osoba ze zdiagnozowaną schizofrenią nadal ma w domu arsenał.

Przeciwnicy ustawy wskazują, że rezygnuje ona z obowiązkowego badania psychologicznego, zaświadczenia o stanie zdrowia mają zaś wystawiać lekarze pierwszego kontaktu, a nie – tak jak dziś – licencjonowani przez policję orzecznicy. Jest to jednak rozwiązanie z gruntu logiczne. Psycholog nie jest lekarzem. Test psychologiczny może z grubsza zbadać stabilność emocjonalną kandydata, ale nie zdiagnozuje u niego schizofrenii ani paranoi. Lekarze orzecznicy, których w każdym województwie jest raptem po kilku, hurtowo obsługują zaś po kilkaset osób miesięcznie, każdej poświęcając najwyżej 15–20 min, a często znacznie mniej. A przecież spotykają tych ludzi pierwszy raz w życiu. Jaka jest wiarygodność robionego przez nich wywiadu?

Lekarz pierwszego kontaktu ma kartę swojego pacjenta, a wydanie zaświadczenia potrzebnego przy ubieganiu się o pozwolenie na broń jest dla niego sytuacją wyjątkową, więc na pewno przyłoży się do sprawy bardziej. Zgodnie z ustawą może też skonsultować się ze specjalistą (np. psychiatrą).

NIE TYLKO SAMOOBRONA

Czy po wejściu w życie ustawy wzrośnie liczba osób posiadających broń? Można mieć taką nadzieję. Dzisiaj w Polsce na 100 mieszkańców przypada 1,3 sztuki broni. W sąsiednich Czechach – 16 sztuk. Równie słabo wypadamy, jeśli chodzi o liczbę pozwoleń na 1 tys. mieszkańców (pamiętajmy, że jedna osoba może mieć kilka sztuk broni). W Finlandii pozwolenia ma 308 na 1 tys. osób, w Szwajcarii – 200, w Hiszpanii – 32, w Czechach – 30, w Polsce – zaledwie 5.

Do ponad 420 tys. sztuk broni palnej w Polsce w prywatnych rękach (stan na koniec 2016 r.) trzeba doliczyć prawdopodobnie nawet kilkaset tysięcy egzemplarzy niepodlegającej nawet rejestracji broni czarnoprochowej. To oryginalne egzemplarze i funkcjonalne repliki broni sprzed 1885 r., o sile rażenia często nawet większej niż broni współczesnej, choć trudniejsze w obsłudze. Tutaj rynek uwolniono całkowicie ponad dekadę temu, a przypadki niewłaściwego użycia takiej broni można liczyć na palcach jednej ręki – i jest to potężny argument przeciwko obawom hoplofobów.

Nowa, mądrzejsza, przemyślana, wewnętrznie spójna ustawa o broni i amunicji ma szansę przełamać absurdalne, hoplofobiczne nastroje. Zwłaszcza że coraz więcej osób rozumie, iż broń to nie tylko narzędzie samoobrony, lecz także ciekawe hobby i sposób spędzania czasu. Pod tym względem strzelectwo – niekoniecznie wyczynowe, ale po prostu rekreacyjne – ma ten sam status co wędkarstwo czy paralotniarstwo. Demonizowanie go nie ma racjonalnych podstaw.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

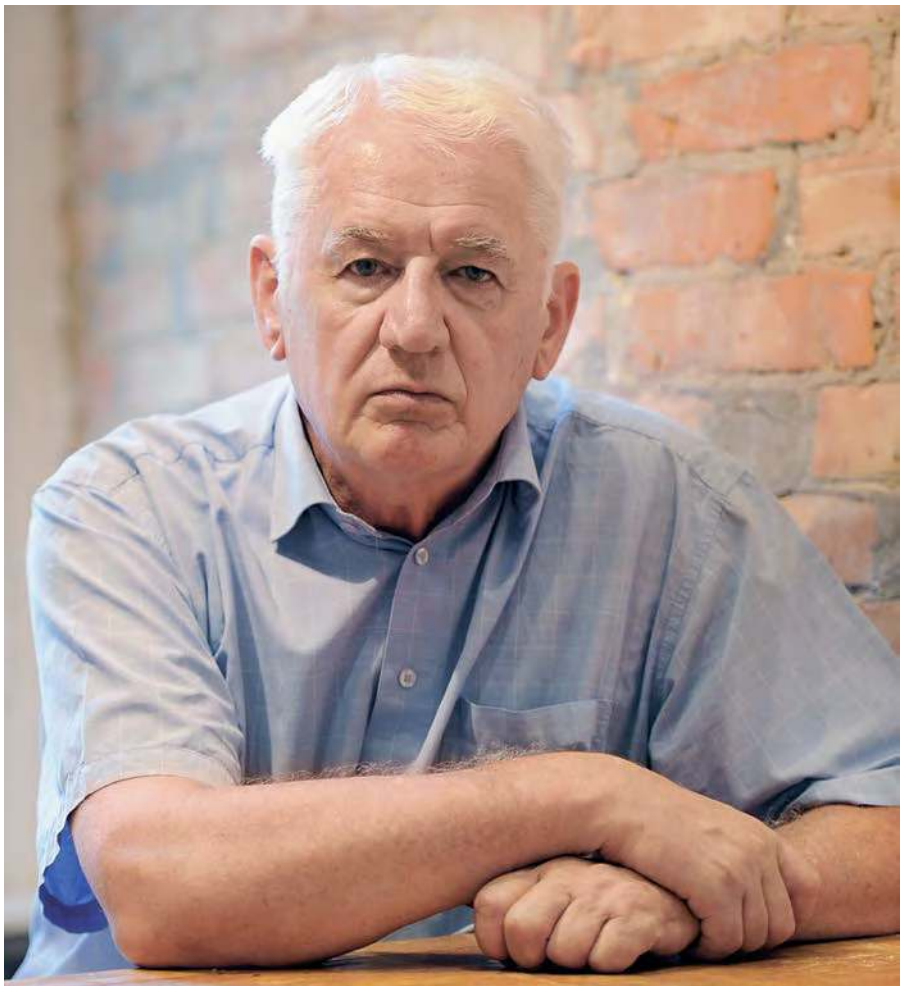

Prezydenckie błędy młodości

Z Krzysztofem Wyszkowskim, byłym opozycjonistą, członkiem Kolegium IPN
rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Przed nami półmetek rządów Zjednoczonej Prawicy. Gdyby miał się pan pokusić o ocenę, jaka by ona była?

KRZYSZTOF WYSZKOWSKI: Ta ocena byłaby nadspodziewanie dobra. Mniej więcej od 2005 r. mówiłem i pisałem, że w Polsce musi dojść do przełomu w kierunku patriotyzmu. Dokładnie taki wydarzył się 10 lat później. Wtedy jednak obawiałem się, że sukces polityczny może być okupiony zapaścią gospodarki, co ostatecznie zaprzepaści jego skutki. Tak się nie stało i to jest dla mnie największe pozytywne zaskoczenie tej kadencji.

Tymczasem opozycja, z Grzegorzem Schetyną na czele, studzi emocje: wzrost gospodarczy to efekt światowej koniunktury, a państwo rozwija się na kredyt, za który – tak jak za Gierka – przyjdzie zapłacić przyszłym pokoleniom.

A co ma mówić Grzegorz Schetyna? Nawet jeśli jest dobrze, to dla nich musi być źle. Zresztą co to za odkrycie, że nawet w czasach największej hossy jednocześnie trzeba się przygotowywać do ewentualnego kryzysu? Wiedzieli o tym już starożytni, metaforycznie okresowe wahania gospodarki przedstawiając jako siedem lat tłustych i siedem lat chudych. Moglibyśmy się martwić, gdyby rząd przepalał pieniądze na nietrafione inwestycje, tymczasem nawet pierwotnie krytykowany program „Rodzina 500+" nie jest tylko prostym rozdawnictwem. On realnie napędza popyt i podaż, za którymi podąża spadek bezrobocia. Żeby rozpędzić tę maszynę, na początku trzeba ją pchnąć.

Czyli żyjemy w najlepszym z możliwych światów, a zagrożenia wymyśla opozycja? Spięcia prezydenta Dudy z prezesem Kaczyńskim też?

Myślę, że jeśli przed Polską stoją dzisiaj jakieś poważne wyzwania, to mają one głównie charakter zewnętrzny. Mam na myśli sojusz przeciwników Polski, którzy aktywnie wspierali protesty uliczne wiosną oraz latem tego roku. W tej chwili świat skupił się na realnych kryzysach, np. związanych z Koreą Północną, i mam nadzieję, że te wszystkie szaleństwa Schulzów i Timmermansów już nie wrócą. Oczywiście wewnętrzne

FOT. ANDRZEJ HRECHOROWICZ/FORUM

eprasa.pl 132a84d606

napięcia istnieją, choćby to sytuacyjne zachowanie prezydenta…

Jarosław Kaczyński mówi o incydencie i błędzie dwóch wet, który trzeba naprawić.

Wie pan, ja też mówię o błędzie prezydenta, oczywiście z punktu widzenia zahamowania procesu koniecznych reform wymiaru sprawiedliwości. Rozumiem jednak, że przyczyną tego zachowania była chęć osłabienia presji naszych wrogów z zagranicy do czasu, aż sytuacja się uspokoi. Mam nadzieję, że na tym się skończy i Andrzej Duda nie ulegnie podszeptom ludzi, którzy sugerują wybór „trzeciej drogi", czyli zakładanie partii prezydenckiej. Dzisiaj w Polsce nie ma pola na quasi-BBWR. Musimy się skupić na zrobieniu porządku na własnym podwórku, a następnie zacząć poważnie patrzeć poza własne granice. Rosja się zbroi, Chiny chcą podważyć globalną dominację USA, cały czas istnieje ogromne zagrożenie terrorystyczne.

Tylko jak poważnie myśleć o obronności, jeśli nikt specjalnie nie ukrywa rozbieżności między prezydenckim BBN a resortem obrony Antoniego Macierewicza?

Akurat w tej kwestii muszę wyraźnie powiedzieć, że popieram stanowisko ministra obrony narodowej. Prezydent Duda jest nadal młodym politykiem i człowiekiem niedoświadczonym. Dotychczas w swojej karierze zajęty był zupełnie innymi sprawami niż obronność. To zrozumiałe, że po dwóch latach zaczyna się rozglądać po swoich kompetencjach, a wiele środowisk namawia go, aby „wziął, co swoje", co generuje widoczne tarcia. Trzeba je jednak odróżnić od zorganizowanego i inspirowanego przez Kreml ataku na ministra Macierewicza.

Ma pan na myśli jakieś konkretne nazwiska?

Wystarczy poświęcić chwilę na zbadanie, kto i z jakiej pozycji podważa kompetencje ministra, aby samodzielnie wyciągnąć wnioski. Oczywiście w tak długim politycznym życiu, jakie on prowadzi, zawsze da się znaleźć zaczepienie do rzucania kalumnii. Stałość i metodyczność frontu przeciwko szefowi MON nie są jednak przypadkowe. Różni ludzie mogą nieświadomie grać tutaj swoje role, być może nawet ze środowiska prezydenta. Podkreślam jednak, że samego Andrzeja Dudy nie winię. W jego sytuacji po ludzku rozumiem, że może się w tym gubić, gdy w grę wchodzą emocje.

I w tych emocjach prezydent Duda podejmuje niekorzystne dla bezpieczeństwa Polski wybory?

Nie chcę być źle zrozumiany. Ja oceniam tę prezydenturę ogólnie dobrze, ale wspomniana demonstracyjność niektórych konfliktów prowadzonych przez Pałac Prezydencki to są błędy młodości. Andrzej Duda musi się jeszcze wiele nauczyć, a jeśli się człowiek uczy, to normalne, że czasami wchodzi w niepotrzebne spory. Jest to szczególnie łatwe, gdy mowa o człowieku tak stanowczym jak Antoni Macierewicz. Musimy jednak bardzo uważać, aby nie zaogniać tej sprawy, ponieważ według mojej wiedzy nie doszło do niczego, co zagrażałoby fundamentalnie polskiej obronności. Sugerowanie, że mamy do czynienia z odwrotnym scenariuszem, to gra na rzecz Rosji. Opóźnienie nominacji generalskich to nie koniec świata.

Jarosław Kaczyński podczas październikowej miesięcznicy smoleńskiej wyznaczył termin ostatniego spotkania. Odbędzie się ono w ósmą rocznicę katastrofy i „wtedy poznamy prawdę,

REKLAMA

business lease
same cars, better care

Mobilność dla Twoich pracowników
Proste rozwiązania
Minimum formalności
Wsparcie w likwidacji szkód

Rozwiązania flotowe dla firm
Wynajem krótkoterminowy
Wynajem długoterminowy
Zarządzanie flotą

Skontaktuj się z nami:
T. +48 22 460 01 66 | info@businesslease.pl | www.businesslease.pl

eprasa.pl 132a84d606

jakakolwiek ona jest", a sam prawdy jeszcze nie zna. Czuje pan rozczarowanie tymi słowami?

Nie mam takiego poczucia. Musimy poczekać z oceną do upublicznienia wyników prac komisji badającej przyczyny katastrofy. Antoni Macierewicz wspomniał niedawno o tym, że jeden z rejestratorów lotu odnotował moment eksplozji, ale to oczywiście niczego w tej chwili nie przesądza. Moim zdaniem istniało wiele czynników, które przełożyły się na tragedię 10 kwietnia 2010 r. Od celowego doprowadzenia do katastrofy przez rosyjskich kontrolerów lotu do – być może – eksplozji ładunku wybuchowego. Nawet jeśli ostateczną konkluzją pracy zespołu Macierewicza będzie stwierdzenie, że jednoznacznie niczego nie da się ustalić, to trudno. Nie można forsować jakiejś tezy tylko dlatego, że jest korzystna politycznie. To musi rozstrzygnąć nauka. Myślę, że środowisko miesięcznicowe zniesie ewentualny brak ostatecznego wyjaśnienia przyczyn. Stanowią je w większości katolicy, którzy potrafią opanować uczucie zemsty za wszelką cenę. Oczywiście opozycja będzie sobie kpiła, ale tym nie należy się przejmować. Musimy to przecierpieć.

Zmieńmy nieco temat. Jest pan aktywny w mediach społecznościowych i na pewno obserwuje poczynania Lecha Wałęsy. Czy kiedy czyta pan jego tweety, rozpoznaje pan w nim człowieka, z którym ramię w ramię maszerował pan w Solidarności oraz którego wspierał pan w wyborach prezydenckich?

Niestety, nic już ze starego Lecha nie zostało. Dzisiaj widzę, jak straszliwie się co do niego myliłem i jak bardzo byłem naiwny. Lech Wałęsa okazał się w rzeczywistości dużo bardziej sprytny, niż można by sądzić po jego obecnej formie intelektualnej. Oczywiście dociera do mnie to, co wypisuje, i żal mi nie tyle jego, ile atmosfery życia publicznego, którą konsekwentnie obniża. To trochę tak jak z Kwaśniewskim na grobie ofiar komunizmu w Charkowie – coś obrzydliwego i kompromitacja samej godności tytułu prezydenckiego. Niestety, Lech Wałęsa nie kompromituje dzisiaj już tylko siebie, ale kompromituje polskość na arenie międzynarodowej. Trudno się później dziwić, że np. Niemcy mogą nas uważać za naród stojący niżej pod względem cywilizacyjnym i kulturowym. Wystarczy przecież spojrzeć i powiedzieć: „Takich sobie żeście prezydentów wybrali". W tym sensie jest mi za niego wstyd. Niedługo, bo 24 października, będę na kolejnym procesie, który wytoczył mi Lech Wałęsa. Może będzie okazja szczerze porozmawiać.

Czy pan się jeszcze w tych procesach orientuje?

Powoli przestaję się orientować. To jest niekończąca się seria procesów, apelacji, ponownego otwierania spraw i kolejnych pozwów, które rozmnażają się jak przez pączkowanie. A to słyszę, że Wałęsa mnie zniszczy personalnie, innym razem, że puści w samych skarpetkach. Ten upór tłumaczę efektem zawiedzionej miłości.

„Pokochałem ciebie i widziałem, jak pokochali ciebie inni zwykli ludzie, którym przewodziłeś" – pisał pan w 1982 r. do więzionego Lecha Wałęsy. O tę miłość chodzi? To chyba obopólny zawód.

Coś muszę sprostować i może czas, żeby się wreszcie do tego przyznać. W 1982 r. wysłałem do Wałęsy dwa listy. Pierwszy, osobisty, pisany odręcznie był bardzo ostry. Zapowiadałem wtedy, że go zniszczę za zaprzepaszczenie potencjału Solidarności. Dopiero później dowiedziałem się od znajomych, że po tym, jak dostarczono mu korespondencję, był całkowicie załamany. Wiemy dzisiaj ze stenogramów rozmów, które prowadził z bezpieką, że Wałęsa w 1982 r. myślał, iż już wszystko przegrane i komuniści nas zdusili w zarodku. Tymczasem ludzie gromadzili się pod jego domem, wśród nich młody Cenckiewicz, i krzyczeli: „Lech Wałęsa, Polska trwa!". Dlatego podjęliśmy w większym gronie decyzję, żeby podnieść go na duchu i napisać drugi list, właśnie ten przez pana cytowany. Nie były to jednak moje słowa, ale za takie Lech je uznał. On przecież wie, ile mi zawdzięcza. Opiekowałem się nim w WZZ, kiedy trzeba było interweniować, ratowałem strajk w sierpniu 1980 r. Człowiekiem, który wiedział bardzo wiele o przebiegu tamtych wydarzeń, był Tadeusz Mazowiecki i na końcu strajku powiedział mi: „Panie Krzysztofie, to wszystko dzięki panu". Jeszcze będzie czas, że dokładnie opowiem, co się wtedy działo, ale nie dzisiaj. Później, we wrześniu 1980 r., wybroniłem Lecha przed zarzutami pracy z SB. Mało kto pamięta, ale było blisko, aby Bogdan Borusewicz ze swoimi kolegami usunęli wtedy Wałęsę ze środowiska opozycyjnego. Nigdy nie chodziło jednak o samego Wałęsę, ale o ratowanie naszych idei i ruchu. Nie dziwię się, że on mnie tak dzisiaj atakuje. Niepotrzebnie dawałem mu zbyt wielkie nadzieje – najpierw żartując, że dostanie Nobla, którego przecież mu przyznano. Później pocieszając go, że nawet jeśli Jaruzelski został prezydentem, to on kiedyś zostanie prezydentem zjednoczonej Europy. Następnie faktycznie wygrał i nagle okazuje się, że nie chcę z nim pracować. Nie rozumiał dlaczego. Od tego momentu byłem numerem jeden na jego liście wrogów, czasem zamieniając się tylko miejscem z braćmi Kaczyńskimi.

Już w III RP, zupełnie otwarcie nazwał pan Wałęsę agentem SB, pseudonim Bolek. Wtedy właśnie zaczęła się seria ciągnących się do dziś procesów.

Przecież on wie, że nim był. Cała jego rodzina wie.

Co byłych opozycjonistów, takich jak np. Władysław Frasyniuk, ciągnie dzisiaj na ulicę? Dlaczego mówią o drugim stanie wojennym, skoro przeżyli pierwszy?

Oni tej różnicy nie chcą widzieć. Ja od upadku rządu Jana Olszewskiego – z przerwą na pierwsze rządy koalicji PiS, Samoobrona, LPR – byłem mniej lub bardziej represjonowany przez organy państwa. Nieustanne procesy, upadlanie, życie na marginesie. Tak to wszystko czułem, ale wychodziłem z założenia, że trzeba ten czas przeczekać i nie obrażać się na państwo. Też tak jak oni mogłem wyjść na ulicę, ale tego nie zrobiłem. Dlaczego dzisiaj Frasyniuk kładzie się przed miesięcznicą smoleńską i szarpie się z policją? Nie wiem. Może po prostu przyzwyczaił się do dostatniego życia? Jeśli ktoś przez ćwierć wieku czuje się właścicielem III Rzeczypospolitej, to później zrobi naprawdę wiele, aby status quo odzyskać. Polityka to najgroźniejszy narkotyk.

Dlaczego dzisiaj Frasyniuk kładzie się przed miesięcznicą smoleńską i szarpie się z policją? Nie wiem. Może po prostu przyzwyczaił się do dostatniego życia?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

Błysk w cieniu

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Agnieszka Niewińska

Raz nazywana jest jastrzębiem, innym razem paprotką. Po dwóch latach prezydenckiej kadencji Agata Kornhauser-Duda wciąż jest zagadką

Szokujące informacje, wstrząs dla Polaków – tak doniesienia o tym, że pierwsza dama Agata Kornhauser-Duda nie chce drugiej kadencji męża na stanowisku prezydenta i w 2020 r. zamierza wrócić do Krakowa, komentował plotkarski portal Pomponik.pl. „Agata Duda ma już dość" – krzyczały nagłówki Pudelka. Wp.pl poszła jeszcze dalej. Reporter portalu wybrał się z kamerą pod „zwykły, szary" krakowski blok, w którym mieszkała rodzina Dudów, by sprawdzić, czy prezydentowa ma do czego wracać. Odpytał sąsiadów, obsługę pobliskiego lokalu gastronomicznego serwującego pierogi, poszedł także do II LO im. Jana III Sobieskiego w Krakowie, gdzie przez 17 lat Agata Kornhauser-Duda uczyła młodzież języka niemieckiego. Dyrektor placówki Marek Stępski zapewnił, że jeśli pierwsza dama zechce wrócić do szkoły, to chętnie ją przyjmie. – Ciągle marzy o powrocie do szkoły. To się wyczuwa w każdym momencie. Dość często nas tutaj nieoficjalnie odwiedza, spotyka się z koleżankami i kolegami – zdradził dyrektor Stępski. Skuteczne nauczanie zachwalał reporterowi były uczeń pierwszej damy, a pani zajmująca się czystością przyznała, że Agata Kornhauser-Duda to jedyna osoba, która otwierała jej drzwi, kiedy szła z wiaderkami.

TRUDY ŚWIECZNIKA

Plotki o tym, że Agata Kornhauser-Duda nie pali się do kolejnej kadencji na stanowisku pierwszej damy, podsyciły doniesienia „Polski The Times". Gazeta napisała, że para prezydencka zawarła umowę: Agata Duda przez pięć lat będzie mieszkała w Warszawie, a potem oboje wracają do Krakowa, a gdyby Andrzej Duda zdecydował się walczyć o reelekcję, to prezydentowa wróci do

eprasa.pl 132a84d606

domu sama i nie będzie wspierać męża podczas drugiej kadencji.

O tym, że niechętnie zapatruje się na kolejne pięć lat w Pałacu Prezydenckim, Agata Kornhauser-Duda miała mówić od dłuższego czasu. Na jednej z publicznych uroczystości zebrało się wiele osób związanych z obozem rządzącym. – Kilkoro siedziało przy stole obok pierwszej damy. Rozmowa zeszła na to, że ma ogromny potencjał i mogłaby go lepiej wykorzystać, zrobić bardzo wiele dla kobiet. Zawód nauczycielki, który wykonywała, sprawia przecież, że wiele pań mogłoby się z nią utożsamiać – opowiada nasz rozmówca. I dodaje: – Agata Duda jasno powiedziała, że nie chciałaby, aby jej mąż ubiegał się o drugą kadencję. Tłumaczyła, że nie odnajduje się w roli osoby na świeczniku, przeszkadza jej brak prywatności, stała obecność BOR, fotoreporterów. Mówiła, że ma to zły wpływ na rodzinę. Słyszało to kilka, może nawet kilkanaście osób. Czy spakuje rzeczy i wróci do Krakowa, jeśli Andrzej Duda zostanie wybrany na drugą kadencję? Takich deklaracji nie składała.

Kancelaria Prezydenta oficjalnie nie komentuje doniesień medialnych na temat niechęci pierwszej damy do ubiegania się jej męża o reelekcję. Nieoficjalnie jednak słyszymy w pałacu, że choć Agata Kornhauser-Duda na początku kadencji w rozmowach z politykami sceptycznie odnosiła się do perspektywy pozostania w Warszawie przez 10 lat, to ostatnio coraz lepiej odnajduje się w roli pierwszej damy. – Nie bez powodu to teraz przytaczane są słowa pani prezydentowej z początku kadencji – mówi nasz rozmówca z kancelarii, sugerując, że ma to związek z wetami do ustaw sądowych i sporem w obozie Zjednoczonej Prawicy. – Nieprawdą jest, jakoby bywała częściej w Krakowie niż w Warszawie. Jeśli nie ma zaplanowanych spotkań i wyjazdów, to pracuje w Pałacu Prezydenckim – dodaje.

WERNISAŻE I SZKOŁY

Powściągliwość i dyskrecja – tak w skrócie można określić styl, w jakim Agata Kornhauser-Duda sprawuje funkcję pierwszej damy. Po tym, jak zaangażowała się w kampanię męża, spodziewano się, że jako pierwsza dama będzie zabierać głos w wielu sprawach i pokazywać się w mediach. Jednak po wygranych przez Dudę wyborach zrobiła krok w tył. Nawet jej biogram na oficjalnej stronie internetowej to zbiór ogólników.

Próżno szukać informacji o reportażach na temat pierwszej damy w czasopismach dla pań, zdjęć z sesji dla kolorowych magazynów czy wzmianek o wywiadach dla poważnej prasy czy stacji telewizyjnych. Pierwsza dama od początku kadencji z zasady ich nie udziela.

– Każda pierwsza dama ma swój własny pomysł na to, jak pełnić swoją funkcję. Niektóre decydują się na to, by zaistnieć w mediach, np. prowadząc działania charytatywne czy tworząc własne fundacje, a inne wolą dyskretną aktywność. W Polsce jedyną pierwsza damą, która działała ofensywnie i dzięki obecności w mediach budowała swoją osobistą popularność, była Jolanta Kwaśniewska. Pozostałe małżonki prezydentów nie starały się szczególnie zaistnieć w mediach, trzymały się raczej w cieniu mężów – mówi dr Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku publicznego. Zwraca uwagę, że Agata Kornhauser-Duda nie szuka rozgłosu, nie dąży do zaistnienia w mediach i publicznie nie próbuje wywierać wpływu na politykę. – Nie mogę oceniać tego, czy pozostając w cieniu, popełnia błąd, czy nie. Wszystko zależy od tego, jakie cele sobie stawia, co chce osiągnąć. W mojej ocenie jej zachowanie jest spójne. W swoim byciu stonowaną pierwszą damą, a jednocześnie elegancką kobietą jest konsekwentna. Nie ma tu żadnej sinusoidy. Postanowiła, że nie będzie promować się w kolorowych magazynach czy tabloidach, i się tego trzyma. Wybrała obszar edukacji jako pole swojego działania i prowadzi swoją aktywność bez medialnego rozgłosu.

Poza oficjalnymi wizytami zagranicznymi i przyjmowaniem głów obcych państw w Warszawie w jej kalendarzu dominują spotkania z młodzieżą, przedstawicielami organizacji pozarządowych, odwiedziny na wystawach i wernisażach. Najczęściej odwiedza jednak szkoły, bierze udział w lekcjach języka niemieckiego, zaprasza do pałacu młodzież czy uczestniczy w spotkaniach z nauczycielami i imprezach związanych z nauką języka obcego.

Pierwszej damie najwyraźniej trudno się rozstać z praktykowanym do niedawna zawodem. Uczniom Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Sochaczewie już zapowiedziała, że kiedy przestanie pełnić funkcję pierwszej damy, wróci do nauczania. „Dlaczego? Bo w życiu trzeba robić to, co się kocha najbardziej" – tak na szkolnej stronie internetowej relacjonowali słowa prezydentowej uczniowie.

Jednak nawet mieszkając już w Pałacu Prezydenckim, prezydentowej zdarzało się wymykać na lekcje. W poprzednich latach na zasadzie wolontariatu pomagała w przygotowaniach do matury z języka niemieckiego uczniom Polonijnego Liceum im. Stanisława Kostki w Warszawie. W szkole uczą się młodzi Polacy ze Wschodu, którym dyrekcja stworzyła szansę na powrót do ojczyzny przodków.

TOCZKI I SZPILKI

Pałacową tajemnicą polityczną jest to, że pierwszą damą nie da się sterować. Trudno namówić ją do czegoś, do czego nie jest przekonana, nie poddaje się sugestiom tych, którzy chcieliby ją widzieć w roli „królowej ludzkich serc". Wśród polityków prawicy panuje przekonanie, że mogłaby dać z siebie więcej. – Ma zadatki na wspaniałą pierwszą damę, ale woli stać w cieniu. Marnuje swój potencjał. Jest inteligentna, wykształcona, doskonale zna język niemiecki i kulturę Niemiec. Mogłaby intensywnie działać chociażby na tym polu, przyczyniając się do poprawy stosunków polsko-niemieckich, zacieśniania współpracy z naszym zachodnim sąsiadem – mówi nasz rozmówca. I dodaje, że w obozie rządzącym rozczarowanie pierwszą damą jest dość powszechne. – Sprawowanie tej funkcji nie może się sprowadzać do prezentowania się w kolejnych wspaniałych kreacjach, choć oczywiście pierwsza dama musi dobrze wyglądać – mówi.

Rzeczywiście najczęściej medialnej ocenie poddawane są stroje pierwszej damy. Styliści wydają opinie na temat toczków, szpilek, krojów

Jedyną ofensywną pierwszą damą była Jolanta Kwaśniewska. Pozostałe małżonki prezydentów trzymały się raczej w cieniu mężów

eprasa.pl 132a84d606

i jakości tkanin. W tej konkurencji Agata Kornhauser-Duda wypada dobrze. Sympatię wzbudza to, że z doborem kreacji radzi sobie sama i nosi ubrania polskich marek.

– Analizując działalność pierwszej damy, trzeba oddzielić obszary, w których występuje. Całkiem dobrze radzi sobie z wypełnianiem funkcji reprezentacyjnych. Zauważam jedynie drobne potknięcia. Dostrzegam jednak próżnię w dziedzinie własnej aktywności Agaty Kornhauser-Dudy – ocenia dr Janusz Sibora, znawca dyplomacji, autor książki „Protokół dyplomatyczny i ceremoniał państwowy II RP". – Pierwsza dama nie komunikuje się z Polakami poprzez media społecznościowe. Dopiero po kilku miesiącach wygospodarowano jej miejsce w serwisie internetowym prezydenta. Chociaż jej kalendarz jest wypełniony różnego rodzaju przedsięwzięciami, to odnoszę wrażenie, że rozmienia się na drobne, wspiera inicjatywy z bardzo różnych dziedzin – od zdrowia, przez promocję czytelnictwa, do problemów związanych z niepełnosprawnością. Oczywiście to, że odwiedza szkoły, by przeczytać dzieciom lekturę i w ten sposób zachęcić je do sięgania po książki, jest cenne, ale uważam, że pierwsza dama powinna była wybrać jeden główny temat. Najważniejszy problem społeczny, wokół którego skupiałoby się większość jej działań, byłby swego rodzaju stemplem pierwszej damy, jej znakiem firmowym. Tak działa wiele pierwszych dam na Zachodzie. Michelle Obama zasłynęła głośnym programem walki z otyłością wśród amerykańskich dzieci. Inne pierwsze damy jako pole działania wybierały np. promocję kultury wysokiej, sztuki – wylicza dr Sibora.

– Oczekiwalibyśmy pierwszej damy w stylu Eleanor Roosevelt, mającej własny program, inicjującej różne działania.

Po dwóch latach kadencji pierwsza dama wciąż jest zagadką dla mediów. Nawet w tych lewicowych bywa niezależną, silną kobietą, która nie waha się zadeklarować publicznie, że nie boi się Jarosława Kaczyńskiego. Czasem wychodzi wręcz na wyznawczynię feminizmu, która ignoruje wyciągniętą rękę Donalda Trumpa, by uścisnąć w pierwszej kolejności dłoń jego żony Melanii. „Po rządach spokojnych i nieco wycofanych – Marii Kaczyńskiej i Anny Komorowskiej – przyszła pierwsza dama wydaje się być jak jastrząb" – pisała na początku kadencji „Gazeta Wyborcza". Inny artykuł opublikowany na Gazeta. pl został okraszony tytułem, w którym pierwszą damę określono mianem paprotki.

ŻALE FEMINISTEK

Pretensje do pierwszej damy o zbyt małą aktywność i milczenie w kwestiach światopoglądowych mają zwłaszcza organizacje kobiece. W odróżnieniu od poprzednich pierwszych dam Agata Kornhauser-Duda nie przyjęła zaproszenia od Kongresu Kobiet. „Niemowa" – piszą o niej feministki. Krytykowały jej milczenie w czasie czarnych protestów. „Agata, chodź z nami, polskimi kobietami" – skandowały przed Pałacem Prezydenckim.

„Moja Żona robi to, co uważa za właściwe dla swojej roli, i ma do tego PRAWO" – napisał na Twitterze prezydent Duda, kiedy posłanki Nowoczesnej domagały się wypowiedzi prezydentowej na temat projektu zaostrzenia przepisów antyaborcyjnych. Czy podobnie zareaguje, kiedy żona postanowi wrócić do Krakowa? Znajomi prezydenckiej pary są zdania, że taki scenariusz jest mało prawdopodobny, bo – jak mówią – Dudowie to zgodne i kochające się małżeństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

HAMUJ RAKA! DAJ SZANSĘ PŁUCOM!

ORGANIZACJE PACJENCKIE APELUJĄ DO RZĄDU: POTRZEBNA SZANSA DLA CHORYCH NA RAKA PŁUCA

Szanowna Pani Premier,
Szanowny Panie Ministrze,

Rak płuca zabija w Polsce ponad 20 tysięcy osób rocznie. To aż 25% zgonów z powodu wszystkich nowotworów. Na nowoczesną farmakoterapię raka płuca przeznacza się tylko 3,7% (!) z puli wszystkich wydatków na nowoczesne leki przeciwnowotworowe.

Nowoczesne terapie w raku płuca są DRAMATYCZNIE niedofinansowane. Sukcesy gospodarcze rządu powinny tę sytuację zmienić.

Apelujemy więc do Pani Premier i do Pana Ministra Zdrowia o pilne sfinansowanie nowoczesnej farmakoterapii raka płuca z nadwyżki budżetowej.

Nie ma większej potrzeby niż ratowanie ludzkiego życia! Chorzy na raka płuca zasługują na szacunek i odpowiednią opiekę.

Z poważaniem,

Elżbieta Kozik
Ewelina Szmytke
Stowarzyszenie Walki z Rakiem Płuca
Anna Żyłowska
Bartosz Poliński
ALIVIA

eprasa.pl 132a84d606

Łukasz Zboralski

Zachodnie koncerny sprzedają nam gorsze produkty w tych samych opakowaniach co na własnych rynkach. Węgrzy, Słowacy, Czesi i Chorwaci powiedzieli: „Dość!". Polskie służby nawet nie chcą zbadać problemu

Kłamstwo na półkach

Chemia z Niemiec. Wydawać by się mogło, że w dzisiejszych czasach sprzedawanie Polakom produktów przywożonych z niemieckich sklepów nie powinno mieć ekonomicznego sensu. Takie sklepiki jednak nie znikają, a część rodaków wciąż woli wyprać brudne ubranie w zachodnim proszku i umyć naczynia w płynie przywiezionym z supermarketu zza Odry. Z raportu firmy PMR Consulting & Research wynika, że w ubiegłym roku co piąty Polak kupował produkty chemiczne z Niemiec. Co 10. zaopatruje się w nie regularnie.

LEPIEJ, CZYLI GORZEJ

To nie tylko intuicja i dawne przyzwyczajenie, że „zachodnie" jest lepsze. Od ponad dekady wiadomo, że na nasz rynek trafiają gorsze produkty. Dowiodły tego m.in. testy fundacji Warentest, jednej z największych organizacji konsumenckich na świecie. Wynikało z nich np., że ten sam proszek sprzedawany w Polsce, i to po wyższej cenie, był gorszy niż oferowany taniej w niemieckiej sieci dyskontów Aldi. Co więcej, przedstawiciele koncernów przyznali wówczas wprost, że tak właśnie jest, bo do polskich proszków trafia mniej środków piorących. – W Europie Zachodniej norma proszku na jedno pranie wynosi 109 g. W Polsce ustalono ją na kilkadziesiąt gramów więcej, dlatego u nas proszki są mniej skoncentrowane. Jeśli więc użyjemy do prania takiej samej ilości proszku zachodniego i polskiego, to jakość tego pierwszego będzie lepsza – tłumaczyła w 2005 r. „Gazecie Wyborczej" Dorota Strosznajder z koncernu Henkel.

Przedstawiciele koncernów niestety nie tłumaczyli jednocześnie, jak Polacy mają nasypać mniej proszku do pralki, skoro dostają produkt z mniejszą zawartością środków piorących.

Cztery lata temu, niejako potwierdzając podejrzenia konsumentów, przedstawiciel brytyjskiej sieci Tesco wypalił w rozmowie z BBC: – W wielu przypadkach produkty pierwszej klasy wysyłamy do sklepów w Wielkiej Brytanii, a produkty drugiej klasy na rynki Europy Centralnej i Wschodniej.

OSZCZĘDNOŚĆ W SŁOIKU

Być może to dziwne, ale z jakością środków chemicznych środkowoeuropejscy konsumenci jakoś się pogodzili. Nie wywołało to żadnej większej awantury. Do niej doszło dopiero teraz. Okazało się bowiem, że także jedzenie dostarczane na nasze rynki jest inne niż to oferowane krajom zachodnim. W tych samych opakowaniach konsumenci z naszego regionu dostają coś gorszego.

Na początku tego roku, prowadząc badania żywności oferowanej w sklepach, słowackie służby postanowiły porównać 22 produkty sprzedawane w supermarketach na terenie Bratysławy z takimi samymi sprzedawanymi w sklepach austriackich, położonych tuż przy granicy ze Słowacją. Testy laboratoryjne przeprowadził Urząd ds. Jakości Żywności. Wynikało z nich, że żywność oferowana Słowakom różniła się smakiem, składem i jakością produktów użytych do ich wytworzenia. Przykłady? Napój pomarańczowy dla Austriaków zawierał sok z pomarańczy, ale ten sam napój dla Słowaków nie miał w sobie ani kropli soku – udawały go sztuczne dodatki smakowe. Ciastka z austriackiego sklepu zawierały masło, a ze słowackiego – tani olej palmowy. Popularne napoje gazowane sprzedawane Słowakom słodzone były nie cukrem, ale syropem glukozowo-fruktozowym.

Czescy badacze z uczelni w Pradze już wcześniej doszli do podobnych wniosków, porównując te same produkty ze sklepów u nich w kraju i w Niemczech. W składzie paluszków rybnych przezna-

eprasa.pl 132a84d606

Słowacy, Węgrzy, Bułgarzy i Czesi udowodnili już, że te same produkty w niemieckich czy austriackich sklepach są lepszej jakości niż te sprzedawane w ich krajach FOT. FOTOLIA

czonych na czeski rynek odkryli o 7 proc. mniej ryb, w napojach gazowanych zamiast cukru tańsze słodziki, a w mrożonej herbacie prawie o połowę mniej ekstraktu herbacianego.

Podobne różnice wytykała bułgarska Agencja Bezpieczeństwa Żywności. Na 31 sprawdzonych produktów siedem z rynku bułgarskiego różniło się składem od oferowanych Niemcom i Austriakom (m.in. w deserach było mniej kakao i mleka).

O różnicach w jakości towarów poinformował także węgierski rząd. Tamtejszy urząd bezpieczeństwa żywności zbadał 24 produkty z supermarketów tych samych sieci na Węgrzech oraz w Austrii i wyłapał podobne różnice do tych w innych krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Z kolei chorwacka agencja ds. żywienia udowodniła, że nawet produkty spożywcze dla niemowląt mają w ich kraju inny skład niż te oferowane dzieciom niemieckich rodziców. Mali Chorwaci dostawali w słoiczkach mniej warzyw i kwasu omega-3, za to zjadali więcej ryżu. Producent tłumaczył się tym, że na zachodnich rynkach wprowadził nową recepturę, ale w Chorwacji ze względu na popularność produktu pozostawił starą... (Czy nie przypomina to tłumaczenia producentów proszków do prania?).

EUROPEJSKIE STARCIE

Pikanterii sprawie dodaje to, że wiadomo dziś – po ujawnieniu sprawy przez brytyjski „Guardian" – iż właściciele niemieckich sieci sklepów Lidl i Kaufland dostali prawie miliard dolarów pożyczki od Banku Światowego oraz Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju na ekspansję na rynki Europy Środkowo-Wschodniej. Bank Światowy tłumaczył, że te pieniądze miały posłużyć m.in. do dostarczania jakościowo dobrej żywności dla uboższej części społeczeństwa.

Trudno więc się dziwić oburzeniu mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej, że w tych samych opakowaniach dostają gorsze jedzenie.

Przedstawiciele Węgier i Słowacji zaczęli głośno domagać się od Komisji Europejskiej „wyeliminowania podwójnych standardów jakości". W marcu, po zakończeniu spotkania państw Grupy Wyszehradzkiej w Warszawie, taki apel do KE wygłosił premier Czech Bohuslav Sobotka.

Latem nie wytrzymał słowacki premier i zagroził wstrzymaniem importu produktów gorszej jakości. – Zaczyna się to rozrastać w wielki międzynarodowy skandal, wyczuwam taką samą atmosferę w okolicznych państwach. Nie możemy akceptować, by z obywateli Republiki Słowackiej robiono obywateli jakiejś drugiej kategorii – powiedział Robert Fico.

Polski rząd w tej sprawie zachowuje się zaskakująco delikatnie. Zaledwie kurtuazyjnie oficjalnie popiera postulaty innych krajów regionu w tej sprawie. Polskie instytucje odsuwają od siebie nawet postulaty sprawdzenia, czy oferowane u nas produkty spożywcze koncernów też różnią się od swoich odpowiedników sprzedawanych zachodnim konsumentom. Przedstawiciel resortu rolnictwa, Dariusz Mamiński, tłumaczył w mediach, że zasady unijne to zgodność produktu z normami zawartymi w prawie i informacją na opakowaniu. Innymi słowy – polskich urzędników niewiele obchodzi to, że ten sam sok dla Niemca jest inny niż dla Polaka.

UOKiK też problem woli od siebie odsuwać i podkreśla, że kontroluje tylko zgodność produktów z kryteriami zawartymi w przepisach lub z deklaracjami na opakowaniach. Cytowany przez TVP Info Dariusz Łomowski z tej instytucji sugerował, że sprawa różnicy jakości tych samych produktów na różnych rynkach to raczej zajęcie dla naukowców lub organizacji konsumenckich. Tylko czy instytucje badawcze lub organizacje konsumenckie będą chciały zmierzyć się z gigantami, którzy mają miliardy do wydania na prawników, skoro nie chcą tego zrobić instytucje państwowe?

Polska postawa wygląda na wręcz wymarzoną dla koncernów, które wolą, by sprawy różnic w produktach na rynki Europy Środkowo-Wschodniej raczej nie poruszać. Za pomocą swoich przedstawicieli zapewne będą o to ostro walczyć w Brukseli.

Do tej pory im się to udawało. Jeszcze niedawno Komisja Europejska oficjalnie deprecjonowała badania krajów domagających się zmian i utrzymywała, że koncerny mają prawo dostosowywać produkty do poszczególnych rynków (ta sama retoryka co przy proszkach do prania sprzedawanych w Polsce i jedzeniu w słoiczkach dla chorwackich dzieci).

Dopiero ostatnio unijna komisarz ds. sprawiedliwości, konsumentów i równości płci, Věra Jourová, przyznała, że oferowanie dwóch różnych produktów w takich samych opakowaniach jest nieuczciwe, i ujawniła, że może to dotyczyć setek produktów. A szef KE Jean-Claude Juncker stwierdził, że nie będzie akceptował stosowania podwójnych standardów żywności.

Tyle zapowiedzi. Realne działania Komisji Europejskiej zakończyły się na przedstawieniu wytycznych, które mają krajom członkowskim pomagać w ustalaniu, czy jakieś przedsiębiorstwo nie sprzedaje im produktów gorszej jakości. KE dała też milion euro dla Wspólnego Centrum Badawczego na przygotowanie metodologii badań pomocnych w ujawnianiu podwójnych standardów w oferowaniu produktów spożywczych.

Poczekamy zatem pewnie kilka lat, zanim opracowane zostaną narzędzia do badania tego, jak koncerny oszukują konsumentów w biedniejszych państwach. Nawet jednak gdy metodologia będzie gotowa – to jak to pomoże Polakom, w których kraju instytucje publiczne nawet nie chcą tego problemu sprawdzić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

Witajcie w lepszych czasach

Wiesław Chełminiak

Chociaż dla krytyków był najgorszym malarzem XIX w., to jego obrazy sprzedawały się jak świeże bułki, a królowa Wiktoria przyznała mu tytuł szlachecki

Po śmierci trafił do artystycznego czyśćca. Rząd dusz przejęła awangarda. Kolejne „izmy" coraz śmielej naruszały reguły, które poprzednim pokoleniom twórców jawiły się jako niezmienne. Upadła uświęcona tradycją hierarchia tematów. Zmienił się ideał piękna. Młodzi twierdzili, że więcej estetycznych wrażeń niż wizyta w Luwrze dostarcza im widok rozgrzanego silnika samochodowego.

Dla dawnych mistrzów zachowano jeszcze odrobinę szacunku, ale dla pompierów nowa epoka nie miała krzty miłosierdzia. Gdy w 1960 r. jedno z najsłynniejszych dzieł Lawrenca'e Almy-Tademy, „Odnalezienie Mojżesza", trafiło na aukcję, udało się sprzedać tylko ramy. Wypełniające je płótno nie wzbudziło żadnego zainteresowania. „Za dużo sacharyny" – komentowali znawcy. Dla krytyka sztuki Johna Ruskina, znanego z wygłaszania apodyktycznych sądów, Alma-Tadema był „najgorszym malarzem XIX wieku".

Już jednak w następnej dekadzie zaczęła się pełzająca rehabilitacja XIX-wiecznego akademizmu. Przełomem była nowojorska wystawa pod nieco prześmiewczym tytułem „Wiktorianie w togach". Skoro MoMA – galeria będąca wyrocznią dla milionów snobów – raczyła się pochylić nad sztuką schlebiającą mieszczańskim gustom, to może jest ona jednak coś warta? Wątpliwości wkrótce zamieniły się w pewność. A kolekcjonerzy sięgnęli po portfele.

W 2010 r. „Odnalezienie Mojżesza" sprzedano za 36 mln dol., ustanawiając niepobity do dziś rekord ceny za obraz wiktoriański. Rok później wylicytowano 29 mln za „Spotkanie Antoniusza i Kleopatry" – więcej niż za wystawione na tych samych aukcjach obrazy Moneta i Picassa. Co ważniejsze, pojawili się krytycy potrafiący spojrzeć bez uprzedzeń na twórczość artysty wyklętego przez modernistów. Alma-Tadema przynajmniej z jednego względu był prawdziwym fenomenem. Zrobił w Wielkiej Brytanii, generalnie niechętnej cudzoziemcom, karierę większą nawet od van Dycka. Chociaż w odróżnieniu od niego pochodził w głębokiej prowincji i terminował w pracowni malarza, któremu daleko było do klasy Rubensa.

MARMURY, CHŁOPCZE!

Przyszły ulubieniec londyńskich salonów urodził się w holenderskiej Fryzji. Jego ojciec, z zawodu notariusz, umarł, gdy Lawrence miał pięć lat. Gdyby nie to, ani chybi też zostałby prawnikiem. Matka zostawiła chłopakowi wolną rękę w wyborze zawodu, zwłaszcza że miał żyć krótko – zdiagnozowano u niego gruźlicę. Gdy postanowił zostać artystą, wydobrzał.

W Akademii Sztuk Pięknych w Antwerpii trafił pod skrzydła Henri Leysa. Mentor najwyżej cenił malarstwo historyczne, które sam uprawiał. Wierne odtwarzanie dawnych kostiumów i architektury było jego obsesją. Ujrzawszy debiutanckie płótno Tademy, orzekł, że faktura marmurowej posadzki jest całkowicie chybiona. Student wziął sobie krytykę mistrza do serca i od tego czasu jego marmurom niczego już nie można było zarzucić.

Krytykom i publiczności „Edukacja dzieci Chlodwiga" bardzo się spodobała. Obraz kupił król Belgii, Leopold I. Młody malarz popełnił jeszcze kilka dzieł przywołujących mroczną epokę Merowingów, po czym przerzucił się na faraonów. Przez Europę przetaczała się bowiem kolejna fala egiptomanii. W 1864 r. Tadema zaistniał w paryskim salonie. „Rozrywki w starożytnym Egipcie" nagrodzono medalem. Sukces odniesiony w artystycznej stolicy świata miał wymierne finansowe następstwa.

eprasa.pl 132a84d606

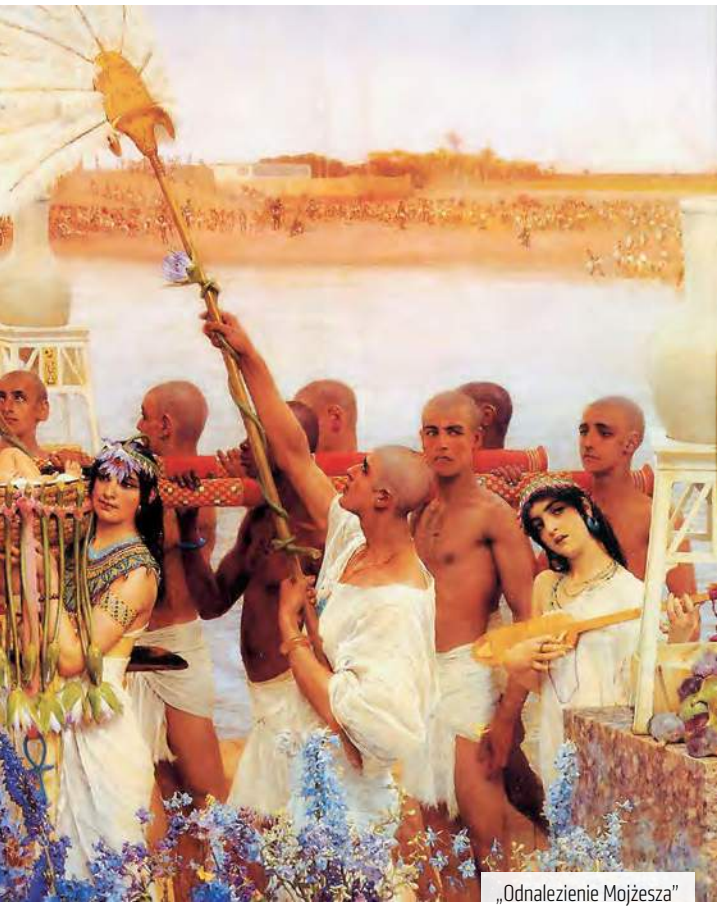

„Odnalezienie Mojżesza"

„Coign of vantage" FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2)

Holender podpisał kontrakt z marszandem Ernestem Gambartem, opiewający na 24 obrazy. Z kolei „Taniec pirryjski" stał się przepustką do hermetycznego rynku brytyjskiego. Według tradycji uczestnicy fety na cześć Ateny pląsali – nie licząc hełmów ani tarcz – na golasa. Tym razem malarz zrezygnował jednak z wierności historycznym przekazom.

Z Paryża wypłoszyła Tademę wojna francusko-pruska. Wyprawił się do Londynu, nie podejrzewając, że spędzi tam resztę życia. Na przyjęciu u prerafaelity Forda Madoksa Browna owdowiały Holender spotkał początkującą malarkę, 17-letnią Laurę Epps, córkę cenionego chirurga, i zakochał się po uszy. Zaproponował, że będzie ją uczyć. Korepetycje wkrótce zaowocowały ślubem, a pan młody, dwa razy starszy od swej wybranki, stał się bardziej angielski od rodowitych wyspiarzy. Podpisywał się odtąd: Lawrence Alma-Tadema.

BRUD, SMRÓD I UBÓSTWO

„Słońce nadaje kolor kwiatom, a sztuka życiu" – taki napis umieścił na ścianie swej londyńskiej pracowni. Propagował wyidealizowaną wizję antyku. Malował pięknych ludzi w pięknych wnętrzach: zrelaksowanych, rozmarzonych, pogrążonych w lekturze, innym razem świętujących i biesiadujących lub odpoczywających w cieniu monumentalnych, lśniących bielą świątyń i budowli publicznych. Elita? Skądże znowu! Każdy Rzymianin miał wolny wstęp do łaźni i term, mógł podziwiać walki gladiatorów i wyścigi rydwanów. Szczęśliwy, kto urodził się Grekiem: na co dzień obcował z wyrafinowaną kulturą i sztuką przez duże „SZ". Brał udział w igrzyskach, oglądał koncerty i przedstawienia teatralne, a jeśli przyszła mu taka chęć – to filozofował.

Rzecz jasna, była to wizja bałamutna. W prawdziwych Atenach uliczki były wąskie i kręte, domy nędzne. Problemy z zaopatrzeniem w wodę stały się powodem niejednej epidemii. Z pół miliona mieszkańców Attyki tylko 40 tys. miało prawa obywatelskie. Cudzoziemcy, niewolnicy zwani „ludzkim bydłem" i kobiety zamknięte w domach nie korzystali z uroków demokracji.

W Rzymie panowały chaos i ciasnota. Większość wegetowała w pozbawionych wygód, cuchnących kamienicach. Ci, których nie stać było na płacenie czynszu, zasilali szeregi bezdomnych. Stolica imperium bardziej przypominała Kalkutę niż Londyn. Stragany zajmowały chodniki, place wypełniał hałaśliwy tłum imigrantów. Nocą nikt rozsądny nie wychodził z domu, bo na pogrążonych w ciemnościach ulicach czyhali bandyci.

XIX-wieczni naukowcy mieli już o tym jakieś pojęcie, lecz opinia publiczna zbyt zagustowała w starożytnych sielankach, by odesłać je na śmietnik historii. Poza tym sztuka Siemiradzkiego, Tademy i im podobnych pełniła funkcje terapeutyczne. W belle époque życie coraz bardziej przyspieszało. Rewolucja przemysłowa, wynalazki, polityczne i obyczajowe ekscesy zwiastowały koniec starego ładu. Cóż mogło lepiej ukoić skołataną duszę Europejczyka niż powrót do antyku – cudownego, bezgrzesznego dzieciństwa ludzkości?

LUDZIE JAK POSĄGI

Zrozumienie języka, jakim autor „Audiencji u Agrypy" przemawiał do publiki, nie wymagało znajomości łaciny i greki ani pogłębionej wiedzy historycznej. Alma-Tadema celował w scenach rodzajowych. Czy skłonność do takiej konwencji odziedziczył po holenderskich malarzach złotego wieku, czy wynikała z oso-

eprasa.pl 132a84d606

„Taniec pirryjski"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

„Róże Heliogabala"

bistych upodobań lub tylko trzeźwej kalkulacji – trudno ocenić. W każdym razie postacie z jego obrazów nie okazują emocji. Jakby udzielił im się chłód marmurowych kolumn i posągów.

Lesbia, kochanka Katullusa, na której kolanach leżą martwe wróbelki, twarz ma smutną, lecz spokojną. Nie rozpacza też Agrypina starsza, trzymająca w rękach urnę z prochami ukochanego Germanika. „Róże Heliogabala" to chyba najbardziej wyzuta z dramatyzmu scena zbrodni w dziejach sztuki. Goście cesarza giną zasypani płatkami kwiatów, ale ani na ofiarach, ani na świadkach nie robi to większego wrażenia. Oto powściągliwość godna brytyjskiego dżentelmena.

Tadema nie zmieniał formuły przez 60 lat, bo tak długo trwała jego kariera. Ignorował nowe estetyczne prądy i paryskie rewolucje. Pieczołowicie numerował swe płótna. Jako modeli często wykorzystywał członków rodziny i przyjaciół. Mówi się, że biografia artysty musi odbijać się w dziełach, lecz sir Lawrence był – jak się zdaje – wyjątkiem od reguły. Na upartego można kojarzyć „Śmierć pierworodnych" z tym, że jedyny syn malarza zmarł na ospę w dzieciństwie. Na obrazach, które tworzył u schyłku życia, można zaś dopatrzyć się refleksji nad przemijaniem.

„Edukacja dzieci Chlodwiga"

BEZGRZESZNE GOLASY

Człowiek zawsze pozostanie zagadką, nie można więc wykluczyć, że Alma-Tadema rozmawiał o sztuce z duchem Fidiasza, a o filozofii z widmem Marka Aureliusza. Tego pierwszego sportretował zresztą w chwili najwyższego triumfu, gdy rzeźbiarz z dumą prezentuje ukończony Fryz Partenoński ateńskim notablom. Może „zangliczały" Holender w głębi duszy czuł się częścią minionego, lepszego świata, który mocą swego talentu próbował przywrócić do istnienia? Podczas podróży poślubnej zwiedził Rzym i Pompeje. Ruiny zafascynowały go do tego stopnia, że nazwano go „największym archeologiem wśród artystów". Dzisiaj użylibyśmy raczej określenia „rekonstruktor". Często widywano Tademę w British Museum, gdzie z nabożną czcią studiował starożytne artefakty.

Jak na perfekcjonistę przystało, wielokrotnie przerabiał swe dzieła, zanim uznał, że można pokazać je publicznie. Nad „Znalezieniem Mojżesza" pracował okrągłe dwa lata. Dlaczego tak długo? Sprowadzał świeże kwiaty znad Morza Śródziemnego, by nikt nie zarzucił mu, że czerpie natchnienie z własnego ogrodu. Prywatnie miał rubaszne poczucie humoru, lubił muzykę, wino i dobre towarzystwo. Bywało, że dla żartu przebierał się w rzymską togę albo występował w amatorskich przedstawieniach. Przyjaciół prosił, by dawali mu w prezencie mechaniczne zabawki. Podobno cieszył się nimi jak dziecko.

W XIX stuleciu nadal sądzono, że antyk stworzył ponadczasowy ideał piękna. Problemem był jednak swobodny stosunek starożytnych do cielesności. Co tu kryć, klasyczne tematy od wieków traktowano jako pretekst do uwieczniania golizny lub wręcz pornografii. Aby ukrócić artystyczne bachanalia, brytyjski parlament w 1857 r. wydał ustawę antyobsceniczną. Sir Lawrence nie miał z tym kłopotu, w jego twórczości erotyzm od początku był stonowany. W Holandii odebrał wychowanie w duchu purytańskim. Poza tym najczęściej sławił swym pędzlem Rzym cesarski, mający u moralistów opinię bardziej statecznego od dekadenckiej republiki. Jego obrazy mogły więc oglądać bez rumieńca wstydu nawet panny na wydaniu.

KTÓRĘDY DO RAJU?

Czasem Alma-Tadema odrywał się od antyku i malował portrety współczesnych. Polaków, zwiedzających londyńską wystawę, zaskakuje widok znajomej lwiej grzywy. To konterfekt Ignacego Paderewskiego wypożyczony z warszawskiego Muzeum Narodowego. Najstarsza córka malarza, pisarka i poetka, była przez wiele lat przyjaciółką pianisty. Laurence czynnie wspierała sprawę polską w czasie I wojny światowej i została odznaczona Orderem Polonia Restituta. Dla Brytyjczyków więk-

eprasa.pl 132a84d606

szą atrakcją jest „Portret Leopolda Löwenstama" przez sto lat uważany za zaginiony. Rok temu odnaleziono go w miasteczku Harrogate. Przyjaciel artysty, zajmujący się rytownictwem, otrzymał go jako prezent ślubny. Do dziś znajduje się w rękach spadkobierców Löwenstama.

Domy, w których Tadema mieszkał i przyjmował gości, były zarazem pracowniami. Razem z żoną wytrwale je dekorował, gromadził kostiumy i antyki. Osobiście zaprojektował wiele sprzętów, zamawiał też kopie artefaktów wypatrzonych w muzeach. Można je rozpoznać na obrazach. Pierwsza siedziba malarza, Townshend House w podmiejskim wówczas Kensington, została uszkodzona w 1874 r. przez eksplozję barki płynącej pobliskim kanałem Regenta. Gospodarze akurat byli poza Londynem. Płótna nie ucierpiały, lecz diabli wzięli kolekcję chińskiej porcelany.

Dom odbudowano w stylu eklektycznym. Oprócz „japońskiej" pracowni i „gotyckiej" biblioteki były tam pokoje utrzymane w estetyce holenderskiej oraz bizantyjskiej. W nowej rezydencji przy Grove End Road (rzut beretem od słynnego studia Beatlesów przy Abbey Road) w ogrodzie stała rzymska kolumnada. Pracownia tym razem przypominała wnętrze wczesnochrześcijańskiej bazyliki, gości zaś witał wielki napis „Salve" nad drzwiami.

Wystawa dzieł Tademy, zanim trafiła nad Tamizę, gościła w muzeum Fryzji w Leeuwarden i w wiedeńskim Belwederze. Austriaccy kuratorzy podkreślali pokrewieństwo sztuki autora „Ziemskiego raju" z wczesną twórczością Klimta. Byłby więc sir Lawrence jednym z ojców chrzestnych secesji? W Londynie punktem odniesienia jest współczesny mu Frederic Leighton, również eksplorujący tematy biblijne i antyczne, lecz bardziej czuły na pokusy orientalizmu od młodszego kolegi. Dochrapał się godności prezesa Królewskiej Akademii i – dzień przed śmiercią – tytułu para (co nie udało się żadnemu innemu malarzowi).

Panowie dobrze się znali. Korzystali nawet z usług tego samego architekta. Sir Frederic namalował jeden z paneli zdobiących salon domu przy Grove End Road. Obaj – w uznaniu zasług – zostali pochowani w krypcie katedry św. Pawła. Wille, w których mieszkał Tadema, nie są dostępne dla zwiedzających. Wystawa gości więc w niedawno odnowionej, ekstrawaganckiej pracowni – rezydencji Leightona w Kensington.

Siemiradzki natchnął Sienkiewicza. Autor „Drogi do świątyni" inspiruje przede wszystkim filmowców. Gdy umierał, we Włoszech rodziło się nieme „kino sandałowe". Wyobraźnię jego twórców ukształtowało akademickie malarstwo. Ludzie wchodzący i schodzący po stromych, marmurowych schodach – jeden z ulubionych motywów naszego bohatera – często pojawiali się na ekranach. Sceny przez niego skomponowane cytowali Griffith, DeMille i Ridley Scott.

Moda na antyczny design wraca cyklicznie. Podobnie jak na śródziemnomorską wersję slow life. Alma-Tadema poradziłby sobie w dzisiejszym świecie. W XIX w. był jednym z najbardziej znanych i najwyżej opłacanych malarzy. W XXI w. odnalazłby się jako hollywoodzki scenograf. Albo projektant mody w stylu vintage.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Lawrence Alma-Tadema: At Home in Antiquity" w londyńskim Leighton House Museum jest otwarta do 29 października.

REKLAMA

#dziedzictwo
heritage

Katalog największej wystawy polskiego dziedzictwa. Ponad 200 opisanych i skatalogowanych zabytków kultury polskiej

Do kupienia na:
www.mnk.pl/sklep

cena 59 zł

MNK
MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

eprasa.pl 132a84d606

Zbłąkany nadwrażliwiec

Agata Kulesza nie dostała w filmie Jakimowskiego żadnego sensownego zadania aktorskiego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Andrzej Horubała

Andrzej Jakimowski, autor kapitalnych „Zmruż oczy" i „Sztuczek" oraz świetnego, dojrzałego „Imagine", postanowił spróbować kina zaangażowanego

Skręcił oto w ramach jakiejś fuchy dokumentalne zdjęcia z zajść 11 listopada 2013 r., kiedy to – w czasie Marszu Niepodległości – przy kompletnej bezczynności policji grupa zamaskowanych chuliganów zaatakowała w Śródmieściu Warszawy squot Przychodnia przy ul. Skorupki. Potem dokleił do tego łzawą opowieść o eksmitowanej kobiecie, która błąka się wraz z przygarniętym bezdomnym psem po różnego rodzaju przytuliskach, noclegowniach, by wreszcie wylądować w rzeczonym squocie i przeżyć jego oblężenie przez nazioli.

Zabrał się więc Jakimowski za film polityczny, ale jako że wziął się do rzeczy od ogona strony (najpierw miał puentę, a potem nie do końca spójną z nią opowieść), to i film wyszedł mu pokraczny.

Oczywiście antyfaszystowska wymowa tego obrazu – straszni naziole z kamieniami i brzydkimi wyrazami na ustach atakują bezbronnych anarchistów – dała mu poklask w lewicowych mediach: stąd też entuzjastyczne omówienia i wywiady, jakich udzielił „Polityce" i „Gazecie Wyborczej".

Tadeusz Sobolewski, etatowy krytyk „Wyborczej", zachłystując się z zachwytu nad tym filmem, może oczywiście opowiadać o „wyciszonej, ale pełnej wyrazu" grze Agaty Kuleszy, ale przecież ten eufemizm nie przykryje tego, że ta wspaniała aktorka nie ma tam po prostu niczego do grania.

Jakimowski, a za nim widzowie, kompletnie nie ma pojęcia, kim jest jego bohaterka. Owszem, serwuje jakieś informacje, że była nauczycielką, ale przecież Kulesza, poza robieniem zbolałej miny i targaniem kraciastych toreb, nie otrzymuje żadnego sensownego zadania aktorskiego. Dość zestawić jej rolę z „Jestem mordercą" Pieprzycy, gdzie w ciągu kilku minut zbudowała niesamowitą, wbijającą się w pamięć postać, ze smędzeniem, jakim nas częstuje u Jaki-

eprasa.pl 132a84d606

mowskiego, szwendając się to tu, to tam, by zrozumieć, że mamy do czynienia z kompletną artystyczną porażką.

Reżyser i scenarzysta w jednej osobie każe nam współczuć Kuleszy, ale pozbawiając ją indywidualnych rysów, nudzi widza i katuje tym obrazem uciemiężonej cnoty. Oj, przepraszam, czasami, jakby przypominał sobie, że Kulesza winna wykonywać jakieś indywidualne gesty, więc np. by pokazać, że jest społecznie zaangażowana, każe jej nazbierać śmieci z trawnika i wrzucać do kosza, tak, panie, taka społecznica!

SĄ HOT DOGI, BRAK MIĘSA

Matka i jej pełnoletni syn tułający się po Warszawie razem z psem przybłędą, który nagle stanie się dla nich ważniejszy od miejsca w noclegowni, robią zresztą różne dziwne rzeczy, niekorespondujące z ich rzekomą biedą. Syn, student (Grzegorz Palkowski), równie bezbarwny jak matka, na widok poszukiwanego psa rzuca na chodnik, jak panisko, ledwie nadgryzionego hot doga. Bo co tam oszczędzanie? Co tam szacunek dla jedzenia? Ważny jest czworonóg…

W innej absurdalnej scenie widzimy matkę z synem oraz psem w taksówce na stacji benzynowej. I znów zjawia się hot dog.

(Te hot dogi to jakiś product placement?! Rzeczywiście człowiek nabiera ochoty na prefabrykowane jedzonko, no tak, przypomina się też cytat z Masłowskiej „Jak zostałam wiedźmą" o nocnej pustce i hot dogach obracających się na statoilach. Więcej poezji w tym krótkim cytacie niż w całym filmie Jakimowskiego).

Wreszcie rozwiązaniem sprawy mieszkaniowej okazuje się wynajęcie pokoju w podwarszawskiej miejscowości, czyli jakoś dziwnie na biednych nie trafiło. Najpierw nocują, włamując się do domków na ogródkach działkowych, a potem sobie wynajmują całkiem przyzwoite lokum? Stać ich na taksówki? Kupy się to nie trzyma, ale też Jakimowski kompletnie nie jest zainteresowany swoimi bohaterami i ich światem. Raz widzimy, jak zziębnięty chłopak w czasie wykładów przytula się do kaloryfera, by się ogrzać, innym razem, gdy syn odwiedza matkę w pakamerze, mimo listopadowego chłodu nie zamyka za sobą drzwi.

Bezdomni bohaterowie Jakimowskiego nie pokazują nam swego życia. Brak tu mięsa, realizmu: matka łyka przeterminowane lekarstwa dostarczane przez syna i to ma wystarczyć za obraz pogrążania się w biedzie. Wszystko to jakoś mało wiarygodne, bo też o procesie życiowego wykluczania, degradacji, niewidocznych barierach, ale i o sposobach radzenia sobie w tych trudnych sytuacjach reżyser najwyraźniej nie ma bladego pojęcia.

NIEFORTUNNY DRUGI PLAN

Jeśli chodzi o role drugoplanowe, to trzeba powiedzieć, że casting przeprowadzono dość ekstrawagancko. W roli wrażliwego społecznie uniwersyteckiego wykładowcy obsadzono narcystycznie noszącego się Marka Probosza, strzaskanego śródziemnomorskim słońcem zbyt silnie jak na rolę zaangażowanego intelektualisty zatroskanego o los najuboższych. Słowa o społecznym wykluczeniu i współczesnym niewolnictwie brzmią mało wiarygodnie w ustach gościa o wyglądzie klasycznego bubka w pełni korzystającego z dobrodziejstw transformacji. „Niewolnictwo jest już wprowadzone – mówi Probosz. – Zapewnia to

REKLAMA

Prestige MJM · REGENT WARSAW HOTEL · RMF Classic · Dziennik Bałtycki · wprost · Rzeczy · PANI · Twój STYL · LAVIE · T3 · WP · trojmiasto.pl · cgm.pl · DlaWas.info · Multikino · VIXON

eprasa.pl 132a84d606

Jakimowski zupełnie nie rozumie świata, o którym opowiada FOT. MATERIAŁY PRASOWE

m.in. prawo bankowe z instrumentami typu bankowy tytuł egzekucyjny". Uśmiecha się do studentów, a widz patrząc na jego samozadowolenie, zastanawia się, gdzie oddawał się słonecznym kąpielom: w Hurghadzie czy na Krecie. No, ale ciągnie Probosz swój słuszny ze wszech miar wykład o tym, że bezdomni mają mniej praw niż pies rodowodowy. Dłużnik nie ma już nawet adresu. Praktycznie więc traci podmiotowość.

Do tego dochodzi kolejna, nie ostatnia groteskowa postać. Jacek Borusiński z Mumio jako gość o ksywce „Klucznik", strażnik squota. Z ponurą zarośniętą gębą, w bluzie z kapturem, łypiący z ukosa, przypominający czasem Martina Feldmana z „Młodego Frankensteina". Wprowadzony w grono naturszczyków swoją twarzą sugeruje, że zaraz będzie coś do śmiechu, ale okazuje się to fałszywym zwiastunem.

W ogóle tych zmyłkowych zapowiedzi w filmie jest mnóstwo. I to od samego początku. Na starcie napis, że w filmie wykorzystano autentyczne zdjęcia dokumentalne z 11 listopada, brzmi, jakby Jakimowski dysponował jakimś unikatowym materiałem. A przecież dzięki Internetowi obrazki z Warszawy były ogólnie dostępne, a te, które zmiksował reżyser z późniejszymi dokrętkami, nie budzą jakichś szczególnych emocji.

Do tego dochodzi muzyka Tomasza Gąssowskiego, który z takim powodzeniem współtworzył i poprzednie, ujmujące subtelną urodą filmy. Tutaj budują nastrój jakiejś grozy, zwiastując nadciągającą katastrofę. Ilustrujące groteskową w gruncie rzeczy pogoń syna za niesfornym pieskiem zabłąkanym wśród demonstrantów dźwięki Gąssowskiego zdają się jednak mocno na wyrost.

Niezdarne prowadzenie krajowych aktorów to i tak nic w porównaniu z rolą, jaką przeznaczył Jakimowski sprowadzonemu z Anglii Edwardowi Hoggowi, magnetycznemu bohaterowi filmu „Imagine". Ściągnięty z zagranicy aktor w trakcie szturmu na squot gra atak paniki. Niestety, nie ma to nic wspólnego z filmem pod tym tytułem w reżyserii Pawła Maślony, który był ozdobą ostatniego gdyńskiego festiwalu. Tutaj mamy do czynienia z jakąś ocierającą się o kabaret żenadą.

Jakimowski zupełnie nie rozumie świata, o którym opowiada. Eksmisje związane z przemocą państwa kreowanego przez Platformę Obywatelską wiążą mu się z faszystowskim zagrożeniem.

Bójki ekstremistów przesłaniają to, że Marsz Niepodległości był właśnie w dużej mierze protestem przeciw modelowi modernizacji w wydaniu ekipy Tuska i Gronkiewicz-Waltz. Przeciw polityce liberałów, opartej na społecznych wykluczeniach promujących turbokapitalizm, wspierających przekręty i lekceważących tradycję.

Walki dwóch agresywnych subkultur – anarchistów z naziolami – wystarczają mu za obraz świata. Owszem, czasem przemyci Jakimowski do filmu nieco prawdy, gdy wskaże na – mającą znamiona prowokacji – bezczynność policji w ochranianiu najbardziej newralgicznych obiektów w czasie marszu.

NIEZAPOMNIANY 2013

Przecież ów marsz był wyjątkowy. Pamiętam stylizowaną na plakat filmowy okładkę naszego tygodnika z relacją z tamtego listopadowego święta. Jarosław Kaczyński w garniturze, w biegu, niczym bohater kina akcji pozostawiający za sobą kłęby dymu i ognia oraz napis: „Pułapka na PiS". Pułapka, która zakończyła się fiaskiem. Kaczyński przeniósł niespodzianie obchody Święta Niepodległości do Krakowa, więc całe zamieszanie z udziałem prowokatorów: atak na squot, spalenie „Tęczy" na pl. Zbawiciela czy budki przed rosyjską ambasadą – wszystkich tych spraw rozgrywanych przy zastanawiającej bierności policji nie dało się zapisać na konto PiS.

Jakimowski zupełnie lekceważy to, że ekstremiści z obu stron mają swoich bandytów. Pomija milczeniem udział niemieckiej Antify w rozwalaniu Marszu Niepodległości w roku 2010. Tak samo łzawy i fałszywy film mógłby nakręcić, czyniąc z synka np. członka grupy rekonstrukcyjnej, który w ułańskim czaku powalany jest przez Germańców na warszawski bruk.

Tutaj, owszem, zostawia ślad agresji anarcholi: gdzie tam napis „Antifa", plakacik z napisem „Warszawa nadal pierdoli nazioli"...

Jednak to trochę za mało, by zgodzić się z Sobolewskim, gdy pisze: „Film Jakimowskiego nadaje polskiemu kinu nowy ton. Nie jest to ton bezsilnej skargi ani przerażonego zdumienia światem. On pokazuje: taki jest świat, który nadchodzi i w którym będziemy musieli żyć, jeśli nie chcemy dać się zepchnąć do roli biernych ofiar". Trudno się zgodzić nie tylko dlatego, że ten passus o biernych ofiarach jest niezrozumiałym patetycznym bełkotem (czemu w trybie warunkowym?), ale też z prostego powodu, że najnowszy obraz twórcy „Sztuczek" jest artystyczną klapą. Nie ratują go koślawe wstawki o miłości dwojga młodych przyglądających się bezsilnie przemarszowi patriotów przez Warszawę. Jakimowski nie jest w stanie wiarygodnie przedstawić nawet ich uczucia, każąc wypowiadać drętwe kwestie i czyniąc z nich jakąś autystyczną parkę, kompletnie odklejoną od rzeczywistości.

„Pewnego razu..." to smutny dowód zabłąkania wrażliwego artysty, który najwyraźniej nie ma słuchu na sprawy społeczne. Wzruszenie się losami pokrzywdzonych nie wystarczy do stworzenia dobrego filmu. Kino zaangażowane lepiej więc może zostawić innym i wrócić do tego, w czym się sprawdziło. Do gry na półtonach, subtelnych opowieści, celebrowania piękna i odkrywania nieoczywistego. Rzucić politykę, wrócić do metafizyki.

REŻ. ANDRZEJ JAKIMOWSKI „PEWNEGO RAZU W LISTOPADZIE" POLSKA 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

NOMINACJE DO NAGRODY STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TWÓRCA:

TOMASZ BAGIŃSKI I TWÓRCY FILMU „NIEZWYCIĘŻENI"
ALINA CZERNIAKOWSKA
PROF. MIKOŁAJ IWANOW
JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ
JAN SADKIEWICZ

INSTYTUCJA:

KANCELARIA PRAWNA LECHA OBARY
STOWARZYSZENIE OFIAR OBŁAWY AUGUSTOWSKIEJ
STOWARZYSZENIE RODZINA PONARSKA
ORGANIZATORZY AKCJI „RÓŻANIEC DO GRANIC"
FUNDACJA ŁĄCZKA I TADEUSZ PŁUŻAŃSKI

MECENAS:

FUNDACJA PGNiG
MACIEJ RADZIWIŁŁ

PATRONAT HONOROWY

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PARTNERZY STRATEGICZNI

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

LOTTO

PARTNERZY WYDARZENIA

FUNDACJA KSIĄŻĄT LUBOMIRSKICH

Poczta Polska

MECENAS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

PATRON MEDIALNY

TVP

eprasa.pl 132a84d606

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Fibak się nie załapał

★★★☆☆☆
REŻ. JANUS METZ PEDERSEN „BORG, MCENROE. MIĘDZY ODWAGĄ A SZALEŃSTWEM"
DANIA/ FINLANDIA/ SZWECJA 2017

wyst. Sverrir Gudnason, Shia LaBeouf, Stellan Skarsgård

Świat, jak wiadomo, schodzi na psy. A sport już najbardziej. Coraz trudniej wykrzesać z siebie entuzjazm dla poczynań nafaszerowanych chemikaliami zawodników, otoczonych kordonem pazernych menedżerów, skorumpowanych działaczy, samozwańczych ekspertów oraz ziejących bezinteresowną nienawiścią kibiców. Może stąd wziął się wysyp filmów z tęsknotą wspominających czasy, gdy emocje sportowe liczyły się bardziej niż pieniądze, piłkarze z wyglądu nie przypominali atletów, a tenis wciąż jeszcze uchodził za grę dżentelmenów.

Zaczęło się to zmieniać, gdy na korty wraz z wyjątkowo utalentowanym pokoleniem wtargnęła idea gwiazdorstwa. Homeryckie zmagania Björna Borga, Johna McEnroe, Jimmy'ego Connorsa i Vitasa Gerulaitisa transmitowały największe stacje telewizyjne. Do elity wdarło się kilku gierojów zza żelaznej kurtyny: honoru Rumunów bronił Ilie Năstase, Czechów – Ivan Lendl, my mieliśmy Wojtka Fibaka, który w 1980 r. doszedł do ćwierćfinału Wimbledonu.

Nie bez kozery właśnie ten turniej upatrzyli sobie skandynawscy filmowcy. Życie napisało im wzorcowy, pulsujący od emocji scenariusz. Król tenisa, Borg, mierzył wtedy w kolejny, piąty triumf. Widać było jednak, że stracił dawną pewność siebie. Ciężko gra się ze świadomością, że wszyscy czekają na twój upadek, lecz mistrzostwo zobowiązuje. Szwed da radę doczłapać do finału. Tam jednak czeka nietypowy przeciwnik.

McEnroe – najgorsza wizytówka USA od czasów Ala Capone – klnie, pluje, obraża sędziów i publiczność. Nie radzi sobie z emocjami, lecz przeciwników zmiata z kortu w imponującym stylu. O takiej batalii wszyscy marzyli. Defensywa kontra ofensywa, młot versus sztylet, siła spokoju przeciw wulkanowi energii. McEnroe jest jak Mozart, Borg przypomina Bacha.

Z filmu wynika, że w gruncie rzeczy są pokrewnymi duszami, tyle że Szwed swoje demony trzyma na uwięzi. Pozornie pozbawiony emocji, balansuje na krawędzi załamania. On jest tu bohaterem, Amerykanin tylko przyczepką. Fibak nie załapał się nawet na statystę.

Dziwna rzecz: bez przerwy mówi się tu o morderczym wysiłku, a po twarzach aktorów nie spływa nawet jedna kropla potu. Reszta to banał: zawsze zwycięża ten, kto ma silniejszą psychikę, sport – zwłaszcza wyczynowy – źle wpływa na życie prywatne. Dzisiaj tenis porusza tłumy bardziej niż rywalizacja na torach Formuły 1. Tymczasem „Borg/McEnroe" jest o klasę gorszy od „Wyścigu". Pojedynek Nikiego Laudy i Jamesa Hunta trzymał w napięciu, u Pedersena temperatura od początku do końca jest letnia. Porządna, skandynawska robota, lecz nic więcej. ©℗

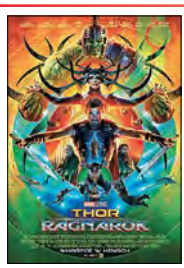

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „THOR: RAGNAROK"

Im dalej od Ziemi, tym lepiej – jak dotąd najlepszą rozrywkę spośród kinowych wersji przygód bohaterów Marvela przynieśli „Strażnicy Galaktyki" i drugi z filmów o Thorze: „Mroczny świat". To dobrze wróży kolejnej superprodukcji, która opowiada o wojnie wypowiedzianej Asgardowi przez boginię śmierci (Cate Blanchett w zaskakującej czarnowłosej wersji) oraz o przygodach Thora i Hulka na odległej planecie Sakaar, słynącej z krwawych igrzysk.

- ***reż. Taika Waititi „Thor: Ragnarok", USA 2017, wyst. Chris Hemsworth, Tom Hiddleston, Cate Blanchett***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***reż. David Lowery „A Ghost Story", USA 2017***
- ***reż. Michael Spierig „Piła: Dziedzictwo" („Jigsaw"), USA 2017***
- ***reż. Ric Roman Waugh „Shot Caller", USA 2017***

eprasa.pl 132a84d606

Buszujący w kukurydzy

Cóż za rozczarowanie! Niemcy stały się celem kolejnej wędrówki ludów, a Fatih Akin – największy w europejskiej branży filmowej spec od multi-kulti – ekranizuje lekturę szkolną. Wydany również u nas „Czik" to powieść o zbuntowanych 14-latkach, trochę w stylu Marka Twaina.

Zaczynają się wakacje, co wcale nie cieszy głównego bohatera. Matka alkoholiczka musi iść na odwyk, ojciec z kochanką wybiera się w „podróż służbową", a klasowa piękność (sądząc z nazwiska, pochodząca z byłej Jugosławii) ani myśli zaprosić go na swoją urodzinową imprezę. Na szczęście zanim Maik popadnie w totalną depresję, pod jego dom z piskiem opon podjeżdża Andrej Cziczaczow zwany Czikiem i proponuje wspólną wyprawę na Wołoszczyznę. Głupi by nie skorzystał!

Chłopaki suną „pożyczoną" ładą po autostradach i bezdrożach, przedzierają się przez mokradła i pola kukurydzy. Od celu ważniejsza jest przygoda. Zgodnie z zasadami rządzącymi kinem drogi nasi berlińczycy zawrą nowe interesujące znajomości, dowiedzą się sporo o życiu i jeszcze więcej o sobie samych. Wiadomo, podróże kształcą. A kto za młodu nie był anarchistą, ten na starość może zostać obleśnym producentem w Hollywood. Do „Goodbye Berlin" pasuje dowcip o myszach, które po zjedzeniu płyty DVD mówią: „Książka była lepsza!". ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

FATIH AKIN
„GOODBYE BERLIN" („TSCHICK")
NIEMCY 2016

wyst. Tristan Göbel, Anand Batbileg, Mercedes Müller

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PANI PREZYDENT, PAN PREZYDENT

W czwartym sezonie „House of Cards" zostawiliśmy Franka Underwooda i jego żonę Claire w chwili, gdy po ostrym kryzysie znów współdziałają: on ubiega się o prezydenturę, ona jest kandydatką na wiceprezydenta. Jednym z najważniejszych elementów kampanii było odpowiednie (domyślacie się, co to znaczy w przypadku Underwoodów) rozegranie kwestii walki z islamskim terroryzmem. W sezonie piątym pojedynek między młodym senatorem Conwayem (kandydat demokratów) a Underwoodami przybierze nieoczekiwany obrót. Jednocześnie ciekawe rzeczy dzieją się wśród najbliższych sojuszników Underwoodów – ktoś będzie musiał zapłacić za błędy, ale żaden z kozłów ofiarnych nie będzie zamierzał odchodzić po cichu. W drugiej części sezonu padnie też kilka trupów, Underwood błyśnie śmiałym planem, a widz odkryje, że prawdziwa władza niekoniecznie znajduje się w Białym Domu. Sztandarowy serial Netflixa to wciąż świetna robota. I nadal ze świeżymi pomysłami. ©℗

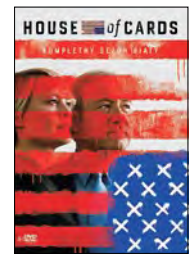

★★★★★☆

„HOUSE OF CARDS", SEZON 5
USA 2017

wyst. Kevin Spacey, Robin Wright, Michael Kelly, dystr. Imperial

DZIEWCZYNA I JEJ BICZ

Jeden z lepszych filmów o bohaterach komiksów Marvela, strawny nawet dla publiki stroniącej od takich propozycji. Schemat podobny do pierwszego filmu o Kapitanie Ameryka – tam oglądaliśmy, jak młody bohater zdobywa doświadczenie, walcząc z nazistowskimi Niemcami, tutaj pierwszym wyzwaniem dla księżniczki Amazonek okażą się Niemcy próbujący nową bronią odwrócić losy I wojny światowej. Strona wizualna jest bardzo staranna, wiarygodności niewiarygodnej historii dodają nieźli aktorzy (choć Gal Gadot w tytułowej roli ma hm... mniej bujne kształty od komiksowego pierwowzoru). Wątki feministyczne wybrzmiewają nienachalnie, a sceny rozgrywające się w Londynie, który jest pierwszym miastem ludzi, jakie ujrzy Wonder Woman, są zabawne. Film przechodzi do historii także jako pierwszy obraz o superbohaterach reżyserowany przez kobietę – Patty Jenkins. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★★★☆☆

REŻ. PATTY JENKINS
„WONDER WOMAN"
USA 2017

wyst. Gal Gadot, Chris Pine, Robin Wright, David Thewlis, dystr. Galapagos

GRA TYGODNIA: „FIFA 18"

★★★★★☆

Kolejne odsłony serii „FIFA" przyzwyczaiły nas do tego, że gra od pewnego czasu zamiast stawiać na rewolucyjne zmiany, stopniowo i konsekwentnie ewoluuje w kierunku zwiększenia realizmu oraz rozbudowania warstwy fabularnej. Właśnie te dwa aspekty stanowią najmocniejsze strony najnowszej edycji. EA Sports wsłuchała się w głosy fanów, poprawiając system dryblingu, zmian zawodników w trakcie meczu oraz dośrodkowań. Z kolei fabularnie możemy pokierować kontynuacją piłkarskiej kariery Alexa Huntera, który zawita na najważniejsze stadiony świata. Nie zdradzając zbyt wiele – jest ciekawie. Fani serii będą zadowoleni. ***Marcin Makowski***

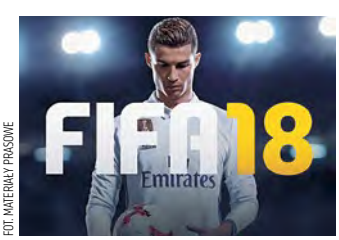

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Sportowa*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *EA Sports/Electronic Arts*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *3+*

eprasa.pl 132a84d606

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ach, Arbat, mój Arbat

Nieżyjący Michał Radgowski, dziennikarz „Polityki", mawiał, że nic go tak nie śmieszy jak: „trabant-limuzyna", „wodogrzmoty Mickiewicza" i „dyplomacja radziecka". Pasuje do tego towarzystwa „Dżentelmen w Moskwie". A o nim właśnie traktuje tak zatytułowana powieść amerykańskiego autora Amora Towlesa, znanego z wcześniejszego „Dobrego wychowania".

Hrabia Aleksander Iljicz Rostow, tytułowy „dżentelmen", jest oczywiście rosyjskim arystokratą, ale i patriotą, który z zagranicy, gdzie spędził dramatyczne lata I wojny światowej, na ojczyzny łono powrócił w roku 1918. Powodowany był – jak tłumaczy się przed Komisją Nadzwyczajną Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych (prokuratorem w jego sprawie jest, a jakże, sam sławny z procesów „wielkiej czystki" Andriej Wyszynski) – „tęsknotą za klimatem". Hrabia w ogóle opowiada przed komisją niesłychane herezje w rodzaju: „Trudzenie się nie leży w naturze dżentelmena", co stwierdza zapytany o pracę, jaką wykonuje. W efekcie ukarany zostaje w ten sposób, że w hotelu Metropol, gdzie mieszka, zamienić musi przestronny apartament na przydzieloną mu klitkę, przy czym pouczony zostaje, że jeśli kiedykolwiek wychyli nos z Metropolu, to zostanie zastrzelony. Ta niesłychana łaskawość przedstawicieli bolszewickiej praworządności bierze się z tego, że Rostowowi przypisywane jest napisanie w czasach przedrewolucyjnych poematu uważanego za antyreżimowy, antycarski. Kto chce, ten niech wierzy, moskiewską rzeczywistość tamtych czasów lepiej jednak oddają słowa piosenki brzmiącej mniej więcej tak: „Jesli worował, znaczit cieł, znaczit cieł, a jesli mnoga znał – pod rozstrieł, pod rozstrieł".

FOT. DAVID JACOBS

W Metropolu hrabia pomieszkuje sobie do roku 1954, wśród personelu znajduje oddanych przyjaciół, znajomość savoir-vivre'u i doświadczenia wyniesione ze światowego życia, jakie prowadził, wykorzystuje w hotelowej restauracji, gdzie zresztą jada wykwintne, choć z upływem lat pogarszają się posiłki, zachodzi też w miarę regularnie do nocnego baru Szalapin, pewnego razu włączając się w rozmowę dwóch cudzoziemców. Młody Brytyjczyk z entuzjazmem opowiada właśnie o wrażeniu, jakie wywarły na nim w Rosji „nietypowa architektura kościołów [czytaj: cerkwi – przyp. K.M.] i żywiołowe brzmienie języka". Jego ponury niemiecki interlokutor jest jednak zdania, że jedyne, co Rosja dała Zachodowi, to wódka. I oto represjonowany – jak mamy rozumieć – hr. Rostow z dumą wymienia trzy jeszcze rzeczy będące chlubą jego narodu: Czechowa i Tołstoja, akt pierwszy, scenę pierwszą „Dziadka do orzechów" Piotra Czajkowskiego oraz kawior.

Powiedziałbym, że to znów nie tak wiele i zamiast zastanawiać się, czy rzeczywiście – jak utrzymuje hrabia – nie istnieje dzieło, które tak dogłębnie jak „Wojna i pokój" „analizuje sposób, w jaki historia kształtuje jednostkę, a jednostka historię", przypomniałem sobie pytanie postawione przez Astolphe'a de Custine'a: „Co uczynił człowiek Bogu, iż ten skazał sześćdziesiąt milionów jego bliźnich na życie w Rosji?".

W „Dżentelmenie w Moskwie" Amor Towles podąża niestety tą samą, znaną nam aż za dobrze głównie z literatury francuskiej, a także niemieckiej, i – jak widać – anglosaskiej także, rusofilską ścieżką. Na której zawsze, ale to zawsze spotkamy przechadzającego się Aleksandra Siergiejewicza Puszkina, kogoś podczytującego „Annę Kareninę", pędzącą w śnieżnej dali trojkę, niedźwiedzia na łańcuchu, tańczącego Kozaka, pijanego w siny dym chłopa i przejmującego się dolą ludu światłego ziemianina. W skrócie: Rosję widzianą przez szyby paryskiego Rasputina.

Czyta się to wszystko znakomicie – co dotyczy również „Dżentelmena w Moskwie" – ale sensu w tym za grosz. Przepraszam, za kopiejkę. ©℗

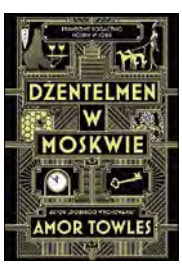

★★★★☆

AMOR TOWLES „DŻENTELMEN W MOSKWIE" ZNAK 2017

eprasa.pl 132a84d606

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nazywam się Philip Marlowe

Philip Marlowe powrócił – nową powieść o prywatnym detektywie stworzonym przez Raymonda Chandlera napisał Irlandczyk John Banville, autor uznany i nagradzany, a pod pseudonimem Benjamin Black pisujący także kryminały. Wcześniej Marlowe'a wskrzeszał Robert B. Parker, który dokończył ostatnią powieść Chandlera „Tajemnice Poodle Springs", a także dopisał ciąg dalszy jego debiutanckiej książki „Głęboki sen" („Wielkie marzenie").

W „Tajemnicach Poodle Springs" (kto chce zaznajomić się z oryginalnymi rozdziałami napisanymi przez Chandlera, ten niech sięgnie po tom „Mówi Chandler") Marlowe ożenił się z Lindą Loring, w „Czarnookiej blondynce" opowiada, że ten związek to już przeszłość. Odniesień do poprzednich powieści jest więcej: Marlowe z sympatią wspomina kilka razy Terry'ego Lennoxa (pamiętamy go z „Długiego pożegnania"), a kiedy jest w tarapatach, prosi o pomoc gburowatego policjanta Berniego Ohlsa.

Najważniejszą postacią jest jednak piękna i uwodzicielska Clare Cavendish, dziedziczka fortuny znanych producentów kosmetyków. Wynajmuje Marlowe'a, by odnalazł jej byłego kochanka Nico Petersona. Ów niewzbudzający zaufania bawidamek o szemranej przeszłości oficjalnie nie żyje – zginął w wypadku samochodowym. Dlaczego więc pani Cavendish ujrzała go pewnego dnia na ulicach San Francisco? Niedowiarków jest więcej: martwego Petersona wciąż szukają meksykańscy gangsterzy oraz pewien król hazardu z Los Angeles i Las Vegas. Jeśli śmierć Petersona była tylko przedstawieniem, to ktoś musiał pomóc ją ukartować. Kto? Pytań przybywa równie szybko jak wychylonych przez Marlowe'a szklaneczek burbona.

Banville chwalony jest za swoje mainstreamowe powieści jako najlepszy stylista języka angielskiego od czasów Nabokova. Jako „Black" podrabia styl Chandlera znakomicie. „Lato w tej okolicy nie daje się we znaki tak jak w mieście – opisuje nadmorskie rezydencje bogaczy – tutejsi mieszkańcy mają własną porę roku". Jego powieść nie jest jednak tylko kopią. Dużo więcej w niej dialogów, a fabuła skonstruowana jest z wielką precyzją. To znakomita kontynuacja tradycji klasycznego czarnego kryminału, chwilami brzmiąca jak pastisz, częściej jak hołd, świetna robota świadomego swych możliwości pisarza. A Banville dołącza do bardzo wąskiego grona wybitnych autorów, którzy nie boją się mierzenia z legendami popkultury – poprzednim był np. Kingsley Amis piszący własną powieść o Jamesie Bondzie. ©℗

★★★★★★

BENJAMIN BLACK „CZARNOOKA BLONDYNKA" ALBATROS 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Portrety adwokatów, którzy bronili oskarżonych w procesach politycznych PRL. A także opowieść o ich słynnych klientach. Wśród bohaterów m.in. Piotr Andrzejewski, Wiesław Johann, Zofia Romaszewska, Jan Krzysztof Kelus.

MARIA DŁUŻEWSKA „OBROŃCY" TRZECIA STRONA

Wznowienie powieści wydanej wcześniej jako „Epopeja wołyńska 1913–1945". Epicka opowieść o kresach. Saga rodziny Korzeniowskich, od ostatniego Bożego Narodzenia przed I wojną światową do ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu.

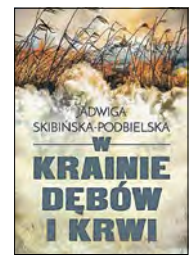

JADWIGA SKIBIŃSKA-PODBIELSKA „W KRAINIE DĘBÓW I KRWI" ZYSK I S-KA

Córka wspomina jednego z najpopularniejszych polskich aktorów, znanego z kina, telewizji i ze świetnych kreacji radiowych. Własne anegdoty o Glińskim opowiadają także koleżanki i koledzy po fachu zmarłego w 2008 r. artysty.

KATARZYNA WASILEWSKA „WIEŃCZYSŁAW GLIŃSKI. AKTOR, AMANT, TATA" SKARPA WARSZAWSKA

Autor bestsellerowej serii „Achaja" powraca do wykreowanego przez siebie uniwersum, tym razem by opowiedzieć historię znamienitego szermierza Cesarstwa – tytułowego Viriona.

poleca Piotr Gociek

ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI „VIRION. WYROCZNIA" FABRYKA SŁÓW

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. *Magdalena Gałęzia „Kalendarz Kota Jaśniepana 2018" (Dwie Kropki) – zbiór komiksów autorki profilu facebookowego „Przygody Kota Jaśniepana".*
2. *Dan Brown „Początek" (Sonia Draga) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda Da Vinci".*
3. *Grzegorz Kubicki, Maciej Drzewicki „Ania. Biografia Anny Przybylskiej" (Agora) – opowieść o przedwcześnie zmarłej aktorce znanej m.in. ze „Złotopolskich".*
4. *Remigiusz Mróz „Oskarżenie" (Czwarta Strona) – szósty tom cyklu kryminalnego o prokurator Joannie Chyłce.*
5. *David Lagercrantz „Mężczyzna, który gonił swój cień" (Czarna Owca) – piąty tom cyklu „Millennium", drugi, którego autorem nie jest Stieg Larsson.*

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Merlin.pl)

eprasa.pl 132a84d606

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Warsaw--Seoul Bridge

Do Korei wyruszyła silna ekipa polskich muzyków spod znaku jazzu i hip-hopu FOT. SYLWIA KOWALSKA/FUNDACJA PLANET/FACEBOOK

Muzyczne kontakty na linii Korea – Polska mają już swoją historię. Przykładami są ogromne zainteresowanie w Korei Chopinem i sukces Cho Seong-jin podczas ostatniej edycji konkursu chopinowskiego. Z kolei nasi artyści często są obecni na scenach Seulu przy okazji międzynarodowych festiwali jazzowych i folkowych. I nie ogranicza się to tylko do występów ani prezentacji naszych zespołów. Najciekawsze są te wydarzenia, w których możliwe są współpraca i przeprowadzenie łączonych, wspólnotowych działań.

Takie pomysły od lat realizuje niezmordowanie Maria Pomianowska. W 2010 r. przygotowała i zagrała trasę koncertową zespołu złożonego z polskich i koreańskich muzyków ludowych. Teraz do Korei wyruszyła silna ekipa spod znaku jazzu i hip-hopu. Przygotowane staraniem fundacji Planet artystyczne przedsięwzięcie współfinansowane przez MKiDN nazwane zostało Warsaw-Seoul Bridge. Projekt przewiduje wspólne koncerty połączonych sił muzyków koreańskich i trio Wojtka Konikiewicza wzmocnionego o trąbkę Cypriana Baszyńskiego oraz rymowaną energię rapera Marcina Matuszewskiego „Duże Pe". Stronę koreańską reprezentuje zespół Namu, łączący jazz i tradycyjną muzykę Korei z wykorzystaniem oryginalnego koreańskiego instrumentarium.

Polsko-koreańska załoga pojawi się na Jarasum International Jazz Festival, a potem wyruszy we wspólną trasę po Korei Południowej. Pomysł projektu nie wziął się z księżyca. Pianista i kompozytor, Wojciech Konikiewicz, spędził już wcześniej w Republice Korei sześć miesięcy, grając koncerty, uczestnicząc w warsztatach i poznając kulturę tego kraju.

Szaleństwo Koreańczyków na punkcie jazzu, i to w najróżniejszych wydaniach, potwierdza choćby tegoroczny program festiwalu Jarasum, gdzie nasza polsko-koreańska załoga wystąpi obok światowych gwiazd, takich jak m.in. Mike Stern, Randy Brecker, Lee Ritenour, Joshua Redman Trio, Reuben Rogers i Kendrick Scott, a także rewelacyjny izraelski kontrabasista Avishai Cohen. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Wizyta Błękitnego Anioła

W dniu 27 lutego 1966 r. Marlene Dietrich po raz drugi wystąpiła w Sali Kongresowej w Warszawie. W końcu nagrania z koncertu zostały wydobyte z archiwów Polskiego Radia i wydane na kompakcie.

65-letnia niemiecka gwiazda Hollywood wykonała przeboje z filmów: „Błękitny Anioł", „Siedmiu grzeszników", „Destry znowu w siodle", „Trema" i „Pieśń nad pieśniami". Repertuar koncertu wypełniały również piosenki musicalowe i słynne szlagiery, takie jak „La Vie En Rose", „Marie, Marie" i „My Blue Heaven". Ikona kina śpiewała po angielsku, niemiecku, francusku, a nawet hebrajsku. Zabrakło jednak „Mutter hast du mir vergeben?" („Czy mnie jeszcze pamiętasz?") Czesława Niemena, którą to piosenkę Dietrich pokochała podczas pierwszego koncertu w Warszawie w 1964 r. i zarejestrowała z własnym tekstem na jednej z płyt.

Każdy z utworów gwiazda poprzedziła komentarzem dotyczącym jej kariery czy anegdotami o przyjaciołach artystach. Dietrich była w świetnym nastroju, a jej głos brzmiał czarująco. Towarzyszyła jej wyborna orkiestra pod dyrekcją Williama Biazarda. Koncert został bardzo dobrze zarejestrowany, a nagrania po obróbce cyfrowej są doskonałej jakości. Dodatkowym atutem wydawnictwa jest tekst Janusza Frankego opisujący karierę artystki i to jedno z najwspanialszych wydarzeń, do jakich doszło w przybytku Stalina. ©℗

★★★★★☆

MARLENE DIETRICH „MARLENE DIETRICH W WARSZAWIE" POLSKIE RADIO

★★★★☆☆

MAREK NAPIÓRKOWSKI „WAW NYC" AGORA

Przyjazny jazz w warszawsko--nowojorskiej obsadzie. Dominuje elektryczna gitara lidera, z którą rozmawia kubański fortepian, a całość unosi żarliwa sekcja rytmiczna. W „The Way" przepiękne solo zagrał słynny saksofonista Chris Potter. ©℗

★★★★☆☆

DAVID GILMOUR „LIVE AT POMPEII" SONY

Po 45 latach gitarzysta powrócił do amfiteatru, w którym Pink Floyd zarejestrował fenomenalny koncert. Dwie i pół godziny muzyki, w ciągu których floydowskie klasyki przeplatają się z utworami z solowych albumów Gilmoura. Dla fanów. ©℗

eprasa.pl 132a84d606

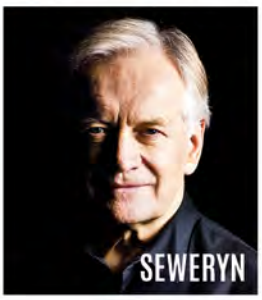

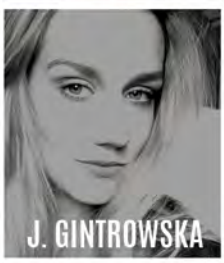

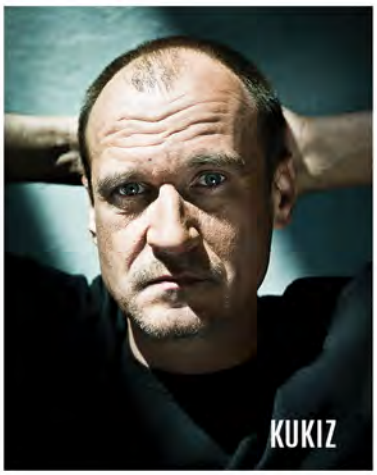

11 GRUDNIA
GODZINA 20.00
TEATR POLSKI W WARSZAWIE

WYJĄTKOWY KONCERT
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

ORAZ 30 - OSOBOWA ORKIERSTRA
POD BATUTĄ JANKA STOKŁOSY

ZAPRASZAMY:
PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00
SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

BILETY DO NABYCIA:
KASA GŁÓWNA TEATRU
UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

WSPÓŁORGANIZATOR: FINA

MECENAT KONCERTU: PGNiG, LOTOS, Enea, LOTTO

PARTNERZY WYDARZENIA: Fundacja XX. Czartoryskich, centrum historii zajezdnia, Ośrodek Pamięć i Przyszłość, Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI: wprost, DO RZECZY, TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA: Classic

eprasa.pl 132a84d606

Kronika zapowiadanego zamachu stanu

Grzegorz Małecki

Nacjonalizm katalońskich elit i chęć oderwania Katalonii od Hiszpanii mogą mieć bardzo prozaiczne podłoże – korupcyjną zgniliznę i próbę uniknięcia kary przez najbardziej wpływowych polityków i biznesmenów tamtego regionu

Przekaz na temat kryzysu w Hiszpanii w kwestii próby ogłoszenia niepodległości Katalonii, docierający do polskiego odbiorcy, zakłócony jest przez wiele czynników, zarówno krajowych, jak i międzynarodowych, z których najważniejsza jest oczywiście narracja celowo budowana przez obecne władze Katalonii i wspierający je obóz zwolenników separacji od Hiszpanii. Zrozumienie istoty tych wydarzeń, ich genezy, motywów głównych aktorów oraz próba prognozy rozwoju sytuacji wymagają przede wszystkim uświadomienia sobie, że mają one specyficzne podłoże wynikające z bardzo złożonych uwarunkowań politycznych, społecznych, gospodarczych, kulturowych Hiszpanii jako całości oraz jej integralnej części, jaką jest Katalonia. Próba interpretacji wydarzeń z perspektywy uniwersalnych zjawisk społeczno-politycznych, a zwłaszcza wewnątrzpolskich procesów politycznych, mija się z celem, albowiem dostarcza fałszywych wniosków i uniemożliwia zrozumienie mechanizmów obserwowanych wydarzeń, ich wagi i znaczenia, a co za tym idzie – wyciągnięcia właściwych wniosków na przyszłość nie tylko dla samej Hiszpanii, lecz także innych państw europejskich, w tym również Polski.

DEZINFORMACJA NA MASOWĄ SKALĘ

Wydarzenia w Katalonii, których punkt kulminacyjny przypadł na pierwsze dni października, jest realizacją drobiazgowo zaplanowanego i konsekwentnie realizowanego planu w postaci sekwencji działań o charakterze rozłożonej w czasie rebelii, będącej w istocie zamachem stanu. Uruchomiony w wyniku wyborów do regionalnego parlamentu w Katalonii 27 września 2015 r. projekt polityczny pod nazwą „proces niepodległościowy" od samego początku jawnie i oficjalnie miał na celu, wbrew obowiązującemu w Hiszpanii porządkowi prawnemu, doprowadzić do wywołania narodowej rewolucji na terenie Katalonii, która miała zalegitymizować przejęcie władzy na terytorium hiszpańskiej wspólnoty autonomicznej Katalonii, oderwanie jej de facto od reszty terytorium i utworzenie na nim nowego suwerennego państwa.

Operacja ta obliczona początkowo na 18 miesięcy ostatecznie miała potrwać dwa lata. Jej specyfiką od początku były: otwarta konfrontacja z państwem hiszpańskim w formie wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi centralnemu oraz ciąg zabiegów o charakterze socjotechnicznym i propagandowym, przy wykorzystaniu najnowszych zdobyczy techniki w dziedzinie dezinformacji i manipulacji. Jej twórcy oraz wykonawcy nie ukrywali swoich zamiarów, głosząc je wszem wobec i licząc na paraliż władzy centralnej unikającej stanowczej reakcji w obawie przed podgrzewaniem napięcia w społeczeństwie katalońskim sprzyjającego rebeliantom oraz potępienia międzynarodowej opinii publicznej. Odpowiedniemu spozycjonowaniu obu stron kryzysu w przekazie medialnym miała służyć celowo przygotowana narracja, metodycznie budowana i kolportowana za pośrednictwem mass mediów oraz mediów społecznościowych i innych narzędzi masowej propagandy.

Głównym narzędziem organizatorów procesu niepodległościowego stały się dezinformacja i manipulacja, których adresatami byli sami Katalończycy oraz międzynarodowa opinia publiczna. Przekaz kierowany do społeczeństwa

eprasa.pl 132a84d606

katalońskiego opierał się na zabiegach służących odwoływaniu się do resentymentów jeszcze z czasów Franco, budowaniu antynomii między tożsamością katalońską i hiszpańską, wzbudzaniu wrogości wobec Hiszpanii. Zmasowana propaganda przy użyciu tych narzędzi miała spolaryzować społeczeństwo katalońskie wokół jednego hasła: „»Tak« dla referendum oznacza »tak« dla niepodległości" i wywołać silne emocje wokół nie tyle prawa do niepodległości, ile prawa do głosowania, do referendum, które jest solą demokracji. Odmawianie tego prawa oznacza dyktaturę, czyli powrót do czasów Franco, kiedy język i kultura katalońska były zakazane i zwalczane jako wymierzone w jedność państwa hiszpańskiego. Uderzanie w te struny ma przywołać traumatyczne przeżycia z czasów reżimu, wrogość wobec państwa hiszpańskiego jako „opresora".

Inną metodą przyjętą przez nacjonalistów było tworzenie faktów dokonanych przy jednoczesnym ignorowaniu systemu prawnego obowiązującego w Katalonii i całej Hiszpanii. Te działania miały na celu przede wszystkim budowanie struktur nowego państwa oraz podstaw prawnych do jego utworzenia i funkcjonowania. Przez dłuższy czas rząd w Madrycie, zwłaszcza w latach kryzysu gospodarczego (2010–2014), a następnie parlamentarnego (brak rządu przez niemal cały 2016 r.), tolerował działania polegające na tworzeniu zrębów instytucji parapaństwowych lub zawłaszczaniu przez żywioł nacjonalistyczny istniejących regionalnych struktur państwowych.

Praktycznie do września 2017 r. tolerował wybryki władz katalońskich, publicznie i otwarcie rzucających mu wyzwanie poprzez realizowanie zapowiedzianego już pod koniec 2015 r. procesu zmierzającego do przeprowadzenia referendum, którego efektem będzie powstanie republiki Katalonii. Jedynym bardziej stanowczym działaniem hiszpańskiego rządu – poza ciągłym zapewnianiem, że nie odbędzie się żadne referendum – było postawienie w stan oskarżenia, a następnie skazanie na dwa lata zakazu sprawowania urzędów publicznych byłego premiera Katalonii (2010–2015) Artura Masa i jego współpracowników. Odpowiedzialni oni byli za organizację w listopadzie 2014 r. również nieuznawanego przez Madryt niewiążącego referendum w Katalonii.

FOT. FOTOLIA

Tymczasem rządząca we wspólnocie od września 2015 r. nacjonalistyczna koalicja Junts pel Sí realizowała zapowiadany plan niepodległościowy, uchwalając ostatecznie we wrześniu tego roku w parlamencie Katalonii ustawy mające sankcjonować referendum 1 października oraz powstanie w jego następstwie niepodległego państwa. Pomimo uchylenia na wniosek rządu przez Trybunał Konstytucyjny tych aktów prawnych władze Katalonii, ignorując ten fakt, przystąpiły do realizacji plebiscytu w formie niespełniającej minimalnych standardów pozwalających uznać jego wynik. Pomimo środków zapobiegawczych podjętych zarówno przez państwowe organy ścigania, jak i służby policyjne spektakl pod nazwą „referendum niepodległościowe" odbył się przy ogromnym zainteresowaniu światowych mediów. Według organizatorów wzięło w nim udział 2,3 mln osób (ze względu na formę jego wykonania danych tych nie można zweryfikować), co pozwoliło władzom ogłosić, że Katalończycy masowo poparli ideę utworzenia republiki katalońskiej. Działając zgodnie z uchyloną przez TK ustawą o okresie przejściowym, 10 października premier rządu Katalonii Carles Puigdemont, podczas wystąpienia w Parlamencie Katalonii, ogłosił deklarację o niepodległości Katalonii, a następnie natychmiast bezterminowo zawiesił jej wykonanie (czego jednak już nie przewidywała wspomniana ustawa).

Celem całego procesu, realizowanego w swej ostatniej fazie od wyborów w 2015 r., poza zbudowaniem sytuacji rewolucyjnej w samej Katalonii było zdobycie poparcia dla projektu niepodległościowego poza granicami Hiszpanii. Umiędzynarodowienie problemu katalońskiego od początku było jednym z priorytetów. Z jednej strony miało to służyć zbudowaniu sympatii dla narodu katalońskiego, rzekomo gnębionego przez opresyjny reżim w Madrycie, z drugiej – wniesieniu sprawy na forum UE oraz innych struktur międzynarodowych w celu sprowokowania ich do wywarcia presji na rząd Hiszpanii.

W zamyśle przywódców rewolty Europa i świat miały otrzymać przekaz, że naród kataloński jest gnębiony przez Hiszpanię, należy mu się suwerenne państwo, którego Madryt mu odmawia. Tymczasem Katalonia de facto już jest

eprasa.pl 132a84d606

w pełni gotowa do niepodległości, co miała m.in. udowodnić sprawność przy rozbiciu siatki terrorystycznej odpowiedzialnej za zamachy w Barcelonie i Cambrils. Przez wiele lat przekaz ten był podbudowywany obrazami z licznych i masowych manifestacji, demonstrujących odrębność katalońską. Do uzyskania pełni efektu sympatii i poparcia dążeń niepodległościowych przez światową opinię publiczną brakowało współczucia dla ofiary rzekomych represji. Taki efekt został osiągnięty dzięki „referendum". Rząd w Madrycie prowokowany całymi miesiącami do stanowczej i widowiskowej reakcji, dostarczającej drastycznych obrazów, które poruszą świat, w końcu musiał przystąpić do działania w celu wymuszenia stosowania obowiązującego prawa.

Zgodnie z wyrokami Trybunału Konstytucyjnego referendum było nielegalne i nie miało prawa się odbyć. Sądy śledcze wydały zatem organom ścigania nakazy mające uniemożliwić jego organizację. Z chwilą rozpoczęcia operacji przez państwowe służby policyjne (w związku z sabotażem regionalnej policji autonomicznej) ruszyła sterowana przez władze katalońskie zmasowana kampania medialna, epatująca doniesieniami o rzekomych masowych przeszukaniach i aresztowaniach osób zaangażowanych w referendum (w rzeczywistości zatrzymano na jeden dzień jedynie 14 osób odpowiedzialnych za logistykę referendum oraz zabezpieczono materiały referendalne).

Do kulminacji operacji wizerunkowej doszło w niedzielę 1 października, kiedy wybuchły zamieszki przed 92 lokalami wyborczymi (na 2315) oraz wewnątrz nich. Oddziały policji hiszpańskiej, usiłując zablokować działanie tych lokali, użyły siły, w wyniku czego obrażenia odniosło ok. 900 osób cywilnych (media światowe milczą natomiast o 431 rannych policjantach). Świat zalała powódź zdjęć i nagrań filmowych obrazujących brutalną interwencję oddziałów policyjnych, mających stanowić dowód na dyktatorskie metody Madrytu siłą dławiącego pokojowo wyrażających swoją wolę Katalończyków.

CHODZI O BRUDNE PIENIĄDZE?

Zrozumienie istoty tych wydarzeń wymaga m.in. odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie teraz do nich doszło. Wszakże polityczny nacjonalizm katalański istnieje od końca XIX w., a katalońscy nacjonaliści w różnych konstelacjach rządzą wspólnotą autonomiczną Katalonii bez przerwy od 1978 r., kiedy to weszła w życie obowiązująca do dziś konstytucja Królestwa Hiszpanii. Konstytucja tworząca model autonomii terytorialnej, dający tworzącym państwo wspólnotom ogromną władzę na swoim terytorium. Dlaczego więc po niemal 40 latach sprawnie funkcjonującego mechanizmu, zapewniającego Katalończykom dobrobyt, gospodarcze i materialne powodzenie w ramach Hiszpanii, część elity tego społeczeństwa postanowiła doprowadzić do kryzysu politycznego, społecznego i gospodarczego dla osiągnięcia utopijnego celu?

Nie ma jednej odpowiedzi, albowiem powodów stojących za radykalnym wzrostem nastrojów separatystycznych w Katalonii w ciągu ostatnich 10 lat jest dużo i nie wszystkie są bezpośrednio związane z Katalonią (jest to temat na osobny artykuł).

Jest jednak jeden czynnik, mało eksponowany poza Hiszpanią, który miał kluczowe znaczenie dla nagłego przyspieszenia procesów, które z różną dynamiką rozwijały się od powstania wspólnoty autonomicznej Katalonii. Czynnik, który sprawił, że zwalczające się zaciekle od samego początku różne odłamy nacjonalistyczne porzuciły dzielące je dotychczas polityczne oraz ideologiczne spory i przystąpiły (każdy oczywiście kierując się innymi motywami) do realizacji planu, zakładającego powołanie niepodległego państwa za wszelką cenę w 2017 r.

Otóż zdaniem niektórych hiszpańskich komentatorów powodem tego nagłego przyspieszenia jest mające nastąpić 1 stycznia 2018 r. wejście w życie nowych przepisów bankowych w sąsiadującym z Katalonią malutkim państwie w środku Pirenejów – Andorze (właściwie Księstwie Andory). Bezpośrednim skutkiem nowych regulacji dotyczących tajemnicy bankowej będzie przekazanie władzom skarbowym wszystkich państw UE informacji o depozytach ich obywateli. A tak się składa, że większość depozytariuszy lokat w Andorze, do niedawna raju podatkowym, stanowią obywatele Hiszpanii pochodzący z Katalonii. Tajemnicą poliszynela jest, że banki w Andorze były miejscem lokowania niezadeklarowanych hiszpańskiemu fiskusowi ogromnych dochodów dużej grupy katalońskich przedsiębiorców. Podstawowym powodem takich praktyk miała być ucieczka przed wysokimi podatkami hiszpańskimi, jednak w bardzo wielu przypadkach chęć ukrycia posiadanych fortun miała zupełnie inną przyczynę.

Co najmniej od 2005 r. wiadomo, że rządząca Katalonią od 1978 r. po dziś dzień (z sześcioletnią przerwą) partia katalońskiej klasy średniej i wyższej CDC – Convergència i Unió (od 2016 r. pod zmienioną nazwą PDeCat) – przez całe lata finansowana była nielegalnie przez miejscowych przedsiębiorców, przekazujących łapówki w wysokości 3 proc. od każdego otrzymanego publicznego zamówienia. „Afera 3 proc." ujrzała światło dzienne właśnie w 2005 r., kiedy ówczesny premier Katalonii Pasqual Maragall z katalońskiej partii socjalistycznej PSC oskarżył opozycyjną wtedy CDC o korupcyjne praktyki. Na okres kilku lat sprawa przyschła, ponieważ PSC potrzebowało poparcia CDC w parlamencie Katalonii, rządząca zaś w Madrycie PSOE (ogólnohiszpańska partia „matka" socjalistyczna) w Kortezach. W aktywnym zainteresowaniu organów ścigania znalazła się w 2012 r., kiedy władzę w Hiszpanii przejęła PP.

W 2015 r. przeprowadzono w tej sprawie liczne aresztowania wśród przedsiębiorców katalońskich (np. wiceprezes FC Barcelona) oraz polityków CDC. Szczególnej dynamiki sprawie nadał ściśle powiązany z nią skandal korupcyjny dotyczący fundatora CDC, legendy ruchu nacjonalistycznego oraz długolet-

Postępowanie organów ścigania ujawniło, że Jordi Pujol, długoletni premier Katalonii, wraz z żoną oraz siedmiorgiem dzieci przez ponad 30 lat zgromadził nielegalnie ponad 70 mln euro. Środki te, przewożone w gotówce w walizkach do Andory, pochodziły najprawdopodobniej z łapówek

eprasa.pl 132a84d606

niego premiera Katalonii (1978–2004) Jordiego Pujola. Afera, która wybuchła w 2014 r., pogrążyła nie tylko symboliczną dla wszystkich Katalończyków postać, wręcz ojca współczesnej Katalonii, lecz także całe środowisko polityczne i gospodarcze odpowiedzialne za rozkwit tej wspólnoty autonomicznej na przełomie XX i XXI w. Postępowanie organów ścigania ujawniło, że Jordi Pujol, wraz z żoną oraz siedmiorgiem dzieci, przez ponad 30 lat zgromadził nielegalnie ponad 70 mln euro.

Środki te, przewożone w gotówce w walizkach do Andory, pochodziły najprawdopodobniej z łapówek uzyskiwanych od katalońskich przedsiębiorców w zamian za otrzymywane zamówienia od władz. Sprawa jest rozwojowa i z całą pewnością dostarczy jeszcze wielu zaskakujących informacji. Sam Jordi Pujol pozostaje na wolności, ale pozbawiony został wszelkich przywilejów przewidzianych dla byłego premiera Katalonii, podejrzanymi w sprawie są zaś jego dzieci. Dwaj z pięciu synów (Jordi junior i Oriol) zostali aresztowani.

Zdaniem niektórych komentatorów hiszpańskich afera Pujola i dotychczasowe ustalenia śledcze w „aferze 3 proc." są tylko wierzchołkiem góry lodowej. Przekazanie przez banki w Andorze hiszpańskiemu fiskusowi danych o posiadaczach tajnych kont oraz ulokowanych tam środkach ma ukazać w pełni skalę patologii, nazwiska zamieszanych w nią osób z elit katalońskiego biznesu i polityki oraz rozmiar nielegalnych fortun, z których duża część pochodzi prawdopodobnie z łapówek.

Dla zrozumienia związków między radykalnym przyspieszeniem procesu niepodległościowego a aferami korupcyjnym CDC niezbędne jest przytoczenie kilku dodatkowych faktów. Od 2010 r., po sześciu latach przerwy, w Katalonii znowu rządzi liberalna i narodowa CDC, na czele z następcą Jordiego Pujola, Arturem Masem. Jej głównym rywalem jest, rządząca przez poprzednie sześć lat razem z PSC, republikańsko-lewicowo-narodowa ERC, otwarcie oskarżająca CDC o uwikłanie w afery korupcyjne. W 2012 r. rozpędu, po kilku latach zastoju, nabiera postępowanie prokuratorskie w sprawie „3 proc.", uderzające przede wszystkim w CDC i jej zaplecze biznesowe. Dotychczas umiarkowana narodowa CDC, realizująca przede wszystkim program katalońskiej klasy średniej, bierze na sztandary hasła narodowe. We wrześniu 2012 r. organizuje przyspieszone wybory do parlamentu regionalnego, nadając im charakter plebiscytu narodowego. W 2014 r. Jordi Pujol, pragnąc skorzystać z dobrodziejstwa ogłoszonej przez rząd hiszpański abolicji podatkowej, ujawnia fakt posiadania w Andorze niezadeklarowanych, rzekomo odziedziczonych po ojcu znacznych środków finansowych.

W listopadzie 2014 r. Artur Mas organizuje nieuznawane przez Madryt niewiążące jeszcze referendum niepodległościowe, skupiając przez wiele miesięcy poprzedzających je uwagę opinii publicznej na tematach narodowych i rozniecając uśpione antagonizmy katalońsko-hiszpańskie. Podejmuje ideę niepodległej Katalonii, polaryzując wokół niej społeczeństwo katalońskie.

W 2015 r. następują pierwsze aresztowania polityków i przedsiębiorców zamieszanych w „aferę 3 proc.", rozkręca się skandal z Jordim Pujolem i jego rodziną, ukazując gigantyczną skalę korupcji z ich udziałem. Andora rozpoczyna prace nad zmianami prawa bankowego. We wrześniu 2015 r. Artur Mas organizuje kolejne przyspieszone wybory regionalne. Wygrywa je koalicja na czele z CDC oraz ERC pod znamienną nazwą Junts pel Sí (Razem na Tak), której jedynym celem jest utworzenie w połowie 2017 r. republiki Katalonii. Narzędziem do tego celu ma być wiążące referendum niepodległościowe. Wygrana koalicja zawiera porozumienie parlamentarne z radykalną, lewacką i antysystemową partią CUP, dzięki czemu zapewnia sobie większość w parlamencie. Warunkiem poparcia jest wykluczenie z rządu Artura Masa, będącego dla zwolenników CUP symbolem korupcji CDC. Mas rezygnuje z mandatu deputowanego i usuwa się w cień. Na czele rządu staje lokalny działacz CDC z Girony, znany jednak z radykalnych poglądów nacjonalistycznych i związków ze środowiskiem wspierającym CUP, Carles Puigdemont. Pod jego kierunkiem rusza plan zamachu stanu.

TRUDNA MISJA

Zbieżność opisanych wydarzeń prowadzi obserwatorów do nieodpartych wniosków, że groźba ujawnienia skali nadużyć, jakich przez trzy dekady dopuszczali się wpływowi politycy i przedsiębiorcy katalońscy, skłoniła wszystkie odłamy katalońskiego nacjonalizmu do zawarcia kuriozalnego porozumienia na rzecz błyskawicznego oderwania się od Hiszpanii i utworzenia niepodległej Katalonii. Tylko bowiem taki zabieg daje gwarancję uniknięcia odpowiedzialności w Hiszpanii za przestępstwa ujawnione po przekazaniu informacji bankowych przez banki w Andorze.

Zdaniem niektórych hiszpańskich ekspertów taki jest właśnie cel jednego z zapisów ustawy o okresie przejściowym uchwalonej 8 września przez parlament Katalonii. Mówi on wprawdzie o abolicji dla uczestników procesu niepodległościowego, oskarżonych przez władze Hiszpanii, jednak zdaniem wspomnianych ekspertów będzie on dotyczył osób objętych postępowaniami karnymi w związku z aferami korupcyjnymi. Stroniący przez prawie trzy dekady od radykalizmów umiarkowani nacjonaliści z CDC w obawie przed wymiarem sprawiedliwości stali się zakładnikami najbardziej ekstremistycznego i nieprzewidywalnego, antysystemowego żywiołu nacjonalistycznego, uosabianego przez CUP. Radykałowie natomiast wykorzystali słabość swojego najbardziej znienawidzonego na scenie katalońskiej wroga do przejęcia kontroli nad zrewoltowanymi masami i skierowania ich ku realizacji utopijnej idei, co w innych warunkach nigdy by im się nie udało.

Czas pokaże, czy państwo hiszpańskie znajdzie sposób na opanowanie sytuacji w Katalonii i powstrzymanie procesów, które mogą zdestabilizować całą Hiszpanię. Jest to ważne nie tylko z punktu widzenia mieszkańców tego iberyjskiego państwa. Efekty działań władz w Madrycie będą miały także skutki dla innych krajów europejskich. Nowoczesny model zamachu stanu przećwiczony przez separatystów katalońskich może zainspirować naśladowców w innych krajach UE. Trzy hiszpańskie stowarzyszenia prokuratorów kilka dni temu wydały komunikat, w którym uznały deklarację Puigdemonta za czyn spełniający znamiona przestępstwa zamachu stanu. Zlekceważenie tej opinii przez rząd hiszpański, jakkolwiek zrozumiałe w kontekście wewnętrznej sytuacji politycznej, mogłoby stać się precedensem, który mógłby zostać wykorzystany w najmniej spodziewanych okolicznościach. Dlatego właśnie powodzenie działań premiera Rajoya jest w żywotnym interesie całej Europy, która powinna zapewnić mu wszelkie wsparcie w tej niezwykle trudnej misji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ekspertem w dziedzinie bezpieczeństwa państwa, byłym szefem Agencji Wywiadu i byłym dyplomatą RP w Madrycie.

eprasa.pl 132a84d606

Najczęściej w mediach pojawiały się nazwiska: Donalda Tuska – 1648 razy, Jarosława Kaczyńskiego – 1454 razy i prezydenta Andrzeja Dudy – 1184 razy

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK, MACIEJ ŁUCZNIEWSKI, ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

Medialny obraz polityków

Krzysztof Rybiński

Analiza tekstów polskich portali przy użyciu komputerowego algorytmu przynosi zaskakujące wnioski

Sztuczną inteligencję coraz powszechniej wykorzystuje się do badania opinii klientów o produktach firm. Boty przeglądają sieć i analizują opinie na temat produktów – rozszyfrowują nacechowanie słów pojawiających się w odniesieniu do haseł kluczowych (np. nazwy produktu czy marki).

Metody sztucznej inteligencji i Big Data są też wykorzystywane w polityce, czego najbardziej znanym przykładem są wybory prezydenta w USA. Przygotowałem program komputerowy, który pozwolił na analizę emocjonalnego wizerunku medialnego polskich polityków. Skorzystałem m.in. z danych zgromadzonych przez naukowców z Politechniki Wrocławskiej, którzy opracowali największy na świecie słownik semantyczny – zawiera 178 tys. słów oraz opisuje relacje między nimi, w tym prawie 30 tys. wyrazów, których zabarwienie emocjonalne oznaczono w pięciu kategoriach: silnie negatywne, umiarkowanie negatywne, neutralne, umiarkowanie pozytywne i silnie pozytywne.

Ponieważ jest to projekt pilotażowy, do analizy wybrałem 11 osób. Z grona polityków związanych z PiS są to: przewodniczący Jarosław Kaczyński, prezydent Andrzej Duda, premier Beata Szydło, wicepremierzy Mateusz Morawiecki i Jarosław Gowin oraz najbardziej rozpoznawalni i wyraziści ministrowie związani z głębokimi zmianami ustrojowymi: Antoni Macierewicz i Zbigniew Ziobro. Z grona polityków opozycji wybrałem lidera największej partii opozycyjnej Grzegorza Schetynę oraz osoby, które wymienia się jako możliwych przyszłych potencjalnych liderów opozycji: Donalda Tuska, Ryszarda Petru i Roberta Biedronia.

METODA ANALIZY

Jak przebiegała analiza? W skrócie: w okresie od 22 czerwca do 22 sierpnia program zaglądał na strony trzech opiniotwórczych portali internetowych, których właściciele jednocześnie wydają tradycyjne media: dzienniki lub tygodniki, co powoduje, że ich siła oddziaływania jest znacznie większa niż portali o tematyce polityczno-ekonomiczno-społecznej, które są obecne tylko w Internecie.

Napisany przeze mnie pająk internetowy co jeden dzień lub dwa zaglądał na

eprasa.pl 132a84d606

główne strony tych trzech portali i pobierał artykuły o tematyce politycznej, ekonomicznej lub społecznej z głównej strony portalu. W sumie w ciągu trzech miesięcy pobrał i przeanalizował 8258 tekstów. Ze względu na konstrukcję portalu podczas jednego wejścia pająk internetowy pobierał ok. 200 tekstów z wPolityce.pl i ok. 50 tekstów z Gazeta.pl i Rp.pl (wPolityce.pl jest zatem nadreprezentowane w danej próbce tekstów, dlatego poniżej przedstawione są także wyniki dla każdego portalu oddzielnie).

Analiza tekstu polegała na zidentyfikowaniu nazwiska polityka (odmienianego przez przypadki) oraz wybraniu pewnej liczby słów poprzedzających nazwisko i występujących zaraz po nim. Dla zakresu słów od 5 do 25 wyniki są praktycznie takie same z punktu widzenia rankingu polityków, w artykule prezentuję rezultaty dla wariantu 15 słów, przed nazwiskiem i po nim. Tych 30 słów po wstępnej obróbce (opisanej na końcu tekstu) zostało następnie poddanych analizie za pomocą wspomnianej wyżej listy słów pozytywnych i negatywnych. Dla każdego zestawu 30 słów program policzył, ile jest słów pozytywnych i negatywnych, wynikową różnicę, a także określił średnią z tych wyników dla wszystkich zestawów (średnia opinia). Program policzył także procent zestawów, w których przewagę mają pozytywne i negatywne słowa oraz wartość netto. Dla polityków o wysokiej wartości średniej opinii i przewadze słów o zabarwieniu pozytywnym nad negatywnymi oznacza to, że ich nazwiska są otaczane w mediach głównie przez pozytywne słowa, czyli autorzy tekstów mają pozytywne zdanie o tych politykach i kreują ich pozytywny emocjonalny wizerunek.

Na liście opracowanej przez Politechnikę Wrocławską więcej jest słów negatywnych, co wskazuje na możliwość skrzywienia analizy w kierunku negatywnych emocji. Jak się okaże, czeka nas tutaj spora niespodzianka.

Wyniki są zaprezentowane w tabelach 1–4. W tabeli 1 dla wszystkich trzech portali łącznie, a następnie dla każdego portalu oddzielnie. Tabele 2–4 są interesujące, bo pozwalają określić, jaki emocjonalny wizerunek polityków kreślą media konserwatywno-prawicowe powiązane z PiS (wPolityce.pl), media liberalno-lewicowe wspierające obecną opozycję (Gazeta.pl) oraz medium

WIZERUNEK POLITYKÓW – REZULTATY, ANALIZY PORTALI

1. Trzy portale łącznie

Polityk	Liczba wzmianek	Opinia	Pozytywne (%)	Negatywne (%)	Różnica (p.p.)
Kaczyński	1454	0,2	38,9	33,8	5,1
Duda	1184	1,1	51,5	19,1	32,4
Szydło	540	0,5	40,1	29,1	11,0
Morawiecki	384	1,3	53,9	20,6	33,3
Gowin	133	0,8	46,6	26,3	20,3
Macierewicz	474	0,8	49,6	25,1	24,5
Ziobro	294	0,5	50,0	29,3	20,7
Tusk	1648	0,1	36,4	31,3	5,1
Schetyna	615	–0,2	35,3	41,3	–6,0
Petru	239	0,6	51,5	30,1	21,4
Biedroń	104	1,1	54,8	20,2	34,6

2. wPolityce.pl

Polityk	Liczba wzmianek	Opinia	Pozytywne (%)	Negatywne (%)	Różnica (p.p.)
Kaczyński	1237	0,0	37,3	34,4	2,9
Duda	1014	1,1	51,6	18,6	33,0
Szydło	455	0,6	41,5	27,7	13,8
Morawiecki	304	1,2	51,6	21,1	30,5
Gowin	121	0,7	45,5	27,3	18,2
Macierewicz	375	0,9	52,3	23,5	28,8
Ziobro	229	0,6	50,2	29,7	20,5
Tusk	1475	0,0	36,2	31,5	4,7
Schetyna	577	–0,2	35,2	41,4	–6,2
Petru	224	0,6	50,4	31,3	19,1
Biedroń	62	1,0	50,0	22,6	27,4

3. Gazeta.pl

Polityk	Liczba wzmianek	Opinia	Pozytywne (%)	Negatywne (%)	Różnica (p.p.)
Kaczyński	130	0,8	46,9	27,7	19,2
Duda	90	1,1	50,0	18,9	31,1
Szydło	52	0,0	38,5	36,5	2,0
Morawiecki	44	1,3	54,4	22,7	31,7
Gowin	3	0,7	33,3	33,3	0,0
Macierewicz	59	0,6	39,0	30,1	8,9
Ziobro	16	1,0	43,7	31,3	12,4
Tusk	115	0,2	37,4	28,7	8,7
Schetyna	18	–0,6	33,3	44,4	–11,1
Petru	11	1,4	72,8	18,2	54,6
Biedroń	35	1,3	62,9	20,0	42,9

4. Rp.pl

Polityk	Liczba wzmianek	Opinia	Pozytywne (%)	Negatywne (%)	Różnica (p.p.)
Kaczyński	93	0,8	48,4	35,5	12,9
Duda	90	0,8	51,1	26,7	24,4
Szydło	48	0,0	37,5	41,7	–4,2
Morawiecki	45	2,0	73,3	15,6	57,7
Gowin	9	2,6	66,7	11,1	55,6
Macierewicz	45	0,3	40,0	33,3	6,7
Ziobro	66	0,0	42,4	28,8	13,6
Tusk	65	0,6	41,5	27,7	13,8
Schetyna	20	0,3	40,0	35,0	5,0
Petru	4	1,0	50,0	0,0	50,0
Biedroń	7	1,6	57,1	0,0	57,1

eprasa.pl 132a84d606

postrzegane jako bardziej neutralne (Rp.pl) i czy występują tutaj jakieś istotne różnice.

SUPERPOZYTYWNY I DOŁUJĄCY

Pod względem częstotliwości pojawiania się w mediach liderów jest trzech. Nazwisko Tusk pojawiło się 1648 razy, Kaczyński – 1454 razy i Duda – 1184 razy (wszystkie odmieniane przez przypadki). Dla porządku dodam, że pewien niewielki odsetek wystąpień słowa „Tusk" odnosi się do syna Donalda Tuska, ale z punktu widzenia wizerunku emocjonalnego tego polityka nie ma to większego znaczenia, syn Tuska pracuje na wizerunek medialny ojca. Najmniej pisze się o Biedroniu, Gowinie i Petru.

Wśród polityków związanych z PiS są dwaj liderzy pod względem pozytywnego emocjonalnego wizerunku (tabela 1). To wicepremier Morawiecki (wartość średniej opinii +1,3 i przewaga pozytywnych tekstów nad negatywnymi o 33 punkty procentowe) oraz prezydent Andrzej Duda (+1.1 i 32,4). O ile wizerunek emocjonalny Morawieckiego to wyłącznie efekt jego działań, o tyle w przypadku Dudy działa również powaga urzędu. Po prostu niektórych negatywnych czy obraźliwych słów nie wypada używać w zdaniu, które opisuje prezydenta Polski. Dotyczy to także mediów jawnie wrogich Dudzie, takich jak „Gazeta Wyborcza". Wicepremier Gowin oraz ministrowie Macierewicz i Ziobro mają zbliżone do siebie rezultaty, znacząco gorsze od Morawieckiego, ale lepsze od premier Szydło. Zatem ta analiza może potwierdzać zasadność spekulacji medialnych o wymianie premiera. Najgorzej spośród polityków PiS jest oceniany sam prezes Kaczyński, który ma podobne rezultaty co Tusk.

Wśród polityków opozycyjnych najlepiej oceniany jest Biedroń, a fatalne oceny zbiera Schetyna. Jest jedynym politykiem w tej analizie, u którego negatywne oceny dominują nad pozytywnymi. Lider PO jest obciążeniem dla swojej partii i negatywnie wpływa na jej wizerunek medialny. Jeżeli PO myśli o odbudowie popularności, to powinna poważnie rozważyć wymianę lidera. Może na Biedronia?

Powyższa analiza zaskakuje pod jednym względem – okazuje się, że pomimo przewagi słów negatywnych w stosowanym w analizie słowniku, poza Schetyną, w tekstach dotyczących pozostałych polityków używane są raczej słowa o pozytywnym zabarwieniu emocjonalnym.

PROMOWANIE „SWOICH"?

W tabelach 2–4 przedstawiono wyniki analizy dla każdego portalu oddzielnie. Jest kilka zaskakujących wyników. Po pierwsze wPolityce.pl kreuje bardziej negatywny emocjonalny wizerunek prezesa Kaczyńskiego niż „Gazeta Wyborcza" i „Rzeczpospolita". Najbardziej pozytywny wizerunek Kaczyńskiego według tej metodologii kreuje „Gazeta". Z kolei odwrotnie jest w przypadku premier Szydło, która ma lepsze opinie w medium prawicowym niż w pozostałych. Szczególnie negatywnie o Szydło wyraża się „Rzeczpospolita", gdzie negatywne teksty o premier przeważają nad pozytywnymi. Ta sama gazeta jest miejscem, gdzie najwięcej pozytywnie pisze się o Morawieckim i Gowinie. Macierewicz ma najlepsze oceny w wPolityce.pl, a Ziobro w „Gazecie Wyborczej". To interesujące, że dziennikarze, którzy krytykują Ziobrę i jego reformy, jednocześnie bardzo często używają w tekstach w sąsiedztwie nazwiska ministra słów o pozytywnym zabarwieniu emocjonalnym.

Wśród polityków opozycynych najlepiej oceniany jest Biedroń, a fatalne oceny zbiera Schetyna

Spośród polityków opozycji sytuacja jest bardziej przewidywalna. „Swoim" kreuje się lepszy emocjonalny wizerunek medialny niż „politycznym wrogom". Tusk, Petru i Biedroń mają w „GW" lepsze oceny niż na wPolityce.pl, wyjątkiem jest Schetyna, który ma na Gazeta.pl najgorsze oceny ze wszystkich trzech portali.

WNIOSKI?

Ta pilotażowa analiza pozwala na wyciągnięcie wielu ciekawych, czasami zaskakujących wniosków. Ponadto może wspierać partie polityczne w podejmowaniu decyzji personalnych, np. czy i na kogo wymienić premiera lub lidera PO. Może też skutkować zmianą strategii medialnych i dać politykom dodatkowe narzędzie monitorowania ich wizerunku emocjonalnego kreowanego w mediach. To także dowód na to, że sztuczna inteligencja i algorytmy komputerowe są bardzo pożyteczne w walce politycznej i z pewnością będą coraz częściej wykorzystywane przez polityków.

Analiza pokazuje też, że czasami intencje mediów mijają się z faktycznym rezultatem, co widać na przykładzie lepszych ocen emocjonalnych ministra Ziobry na Gazeta.pl niż w wPolityce.pl, mimo że tytuły i tezy artykułów tam zamieszczanych wskazywałyby, że powinno być odwrotnie.

W końcu ta analiza może też wpływać na programy kształcenia dla dziennikarzy, które być może powinny zawierać opis technik i słów stosowanych do kreowania pozytywnego lub negatywnego wizerunku emocjonalnego polityka czy produktu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

Krótka notka metodologiczna

Program został napisany w języku R, główną biblioteką w R zastosowaną do analizy opinii (sentymentu) była quanteda. Duplikaty tekstów zostały usunięte, czasami dany tekst wisiał na głównej stronie portalu przez kilka dni i został pobrany przez pająka internetowego więcej niż raz. Teksty zostały oczyszczone z liczb, znaków interpunkcyjnych, słów powszechnych bez znaczenia (tzw. stop-words), słów rzadkich oraz poddane lematyzacji, czyli np. słowo „domu" zostało zamienione na „dom". Wykorzystano lematyzator zwierający 3,3 mln słów ze strony www.lexiconista.com/datasets/lemmatization. Następnie z tekstów wybrano słowa otaczające nazwiska polityków, według metody Key-Word-In-Context (KWIC). Kwiki poddano analizie sentymentu za pomocą słownika PLWORDNET opracowanego przez naukowców z Politechniki Wrocławskiej, po drodze poddając słownik pewnym modyfikacjom, które uwzględniały możliwie wiele znaczeń danego słowa, co pociąga za sobą różny ładunek emocjonalny tego samego słowa, w zależności od jego znaczenia. Wiarygodność analizy potwierdzono przez jej powtórzenie dla różnej długości kwików, od 5 do 25 słów. Wyniki były bardzo zbliżone (ranking pozytywnych i negatywnych wizerunków emocjonalnych polityków pozostał bez zmian).

eprasa.pl 132a84d606

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Tam, gdzie nie ma ormowców

Mój przyjaciel Robert Mazurek zdemaskował mnie ostatnio w jednym ze swoich tekstów jako autora określenia „internetowi ormowcy". Dotyczy ono sympatyków dobrej zmiany, którzy w wirtualnym świecie niczym piranie rzucają się na każdą inaczej myślącą istotę i zostawiają z niej krwawe strzępy.

Młodszym czytelnikom trzeba wyjaśnić, co to było ORMO. To były Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej, które pałowały tam, gdzie nie było akurat mundurowego funkcjonariusza. Albo gdzie władza nie chciała się pojawiać z otwartą przyłbicą.

Nie przepadam za dzisiejszymi ormowcami. Są brutalni, działają stadnie, nie biorą jeńców. Są uosobieniem tego, co najgorsze w Internecie. Jednak są mi dziś potrzebni tylko jako punkt wyjścia. Sam niedawno sformułowałem tezę, że Internet i media społecznościowe to swego rodzaju ściek, który odprowadza nieczystości z realnego życia do rzeczywistości wirtualnej. W prawdziwym życiu wciąż bowiem spotykam ludzi uśmiechniętych i życzliwych, w Internecie zaś, z daleka, bo z daleka, ale obserwuję nieustanną kąsaninę pozbawionych wszelkich hamulców dzikusów (nie ma takiego słowa jak „kąsanina", ale wymyśliłem je na użytek tego tekstu). Wygląda to tak, jakby Internet wessał większość obrzydliwości z realnego świata.

Sęk w tym, że ta teza nie jest do końca prawdziwa. Jako poszukiwacz pozytywnych zjawisk w dzisiejszej Polsce znalazłem je także w Internecie. Tylko trzeba zejść do niego nieco głębiej. Dalej niż komentarze pod jakimś tekstem o Kaczyńskim na Onecie czy dyskusje wokół mema z „Soku z buraka" (bo tzw. druga strona ma też oczywiście swoich ormowców). Zasadniczo chodzi o ten obszar Internetu, który służy nie do wymiany – pożal się Boże – opinii, tylko do pracy.

Ludzie mojego pokolenia z lekkim sceptycyzmem podchodzą do sformułowania „biznes on-line". Dla nas to rodzaj kamuflażu, który ma skrywać ignorancję i lenistwo młodych, oraz pretekst, dzięki któremu ci młodzi mogą całe dnie siedzieć przed laptopem. Jednak to nieprawda. Oni naprawdę coś tworzą, kombinują, a niektórzy zarabiają na „biznesie on-line" całkiem niezłe pieniądze. Jednak najfajniejsze jest to, że ta część Internetu jest kompletnie pozbawiona żółci i nienawiści. Na wszelakiego rodzaju grupach dyskusyjnych o tym, jak zarabiać w sieci, ludzie bezinteresownie sobie pomagają. Doradzają (ale nie w stylu: „Ty idioto, przecież to oczywiste, że trzeba było zrobić tak i tak"). Z ogromną życzliwością podchodzą do swoich problemów. Wspierają się.

Od jakiegoś czasu to obserwuję (tak, też coś chciałbym zarobić w Internecie) i serce mi rośnie. Zachęcam, żebyście się odkleili od rozmaitych szczujni i zawędrowali w tamte rejony Internetu, gdzie nie docierają ormowcy. Bardzo ożywcze doświadczenie. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Krzywe zwierciadło

Zafundowałem sobie telewizję internetową i doświadczam ambiwalentnych uczuć, oglądając serial „Designated Survivor". Z jednej strony żywa akcja, świetni aktorzy i wysokość stawki, o którą toczy się gra, powodują, że nie można się oderwać od monitora aż do białego rana, z drugiej absurdalność intrygi (poza pomysłem początkowym – przypadkowy człowiek zostaje prezydentem USA) i naiwność politycznego przesłania powodują, że polityczny thriller wypada oglądać jak sensacyjną bajkę rozgrywającą się w Nibylandii.

Dlaczego wysadza w tym celu Kapitol, włącznie z całą klasą polityczną, zamiast po prostu – tak jak Trump – wygrać wybory?

O co bowiem chodzi w serialu? Grupa ultrakonserwatystów pod przywództwem multimiliardera (coś jak Trump) stwierdza, skądinąd słusznie, że sprawy świata idą w złym kierunku, i postanawia temu przeciwdziałać. Dlaczego jednak wysadza w tym celu Kapitol, włącznie z całą klasą polityczną, zamiast po prostu – tak jak Trump – wygrać wybory? Tego, dalibóg, nie wiem. Przy okazji zostaje rzucone krzywdzące podejrzenie na ekstremistów islamskich, którzy, oczywiście, są niewinni.

Tymczasem przypadkowy prezydent, który objął urząd – krzyżówka Clintona z Obamą – okazuje się mniejszym fajtłapą, niż sądzono, i deklamując politpoprawne dyrdymały, zażegnuje poważne kryzysy (w przypadku konfliktu Rosji z Ukrainą wystarczy męska rozmowa z ambasadorami), popiera jednostronne rozbrojenie nuklearne oraz opowiada się za wszelkimi lewackimi reformami – od ograniczania dostępu do broni do ubezpieczenia zdrowotnego.

Jego szczere wypowiedzi, gdy chodzi o jednanie zwolenników politycznych czy przekonywanie prasy, zakrawają na groteskę, ale nie zaburza to emocji przy oglądaniu. Co najwyżej pozostaje żal, że nikogo nie korci, by zrobić opowieść z pozycji bardziej realistycznych (atak na Kapitol i zagładę kierownictwa proroczo przewidział Tom Clancy w swym „Dekrecie", tyle że Clancy to konserwatysta).

Można by też zrobić polityczny film sensacyjny rozgrywający się w mniejszym kraju, gdzie w jednym samolocie ginie elita przywódcza, a prezydentem zostaje jeden z niższych urzędników poległego prezydenta. Setki odcinków, zwrotów akcji, mnóstwo hipotez, od wewnętrznego spisku do zbrodni wyspecjalizowanego w takich akcjach supermocarstwa… Tyle że kto wyłożyłby na to pieniądze, mimo że serial oglądałby się lepiej niż komiks znad Potomacu? Przynajmniej tu, nad Wisłą! ©℗

eprasa.pl 132a84d606

Rzezi Jerozolimy

Bartłomiej Dźwigała

Pierwsza krucjata, a w szczególności zdobycie Jerozolimy 15 lipca 1099 r., jest jednym z najczęściej zakłamywanych wydarzeń z historii chrześcijaństwa

Wokół tego wydarzenia stworzono cały kompleks mitów i przekłamań, z którymi niemal nikt nie polemizuje. Do wmawianej i fałszywie przedstawianej rzezi Jerozolimy nigdy nie doszło, co jest oczywiste, jeśli weźmie się pod uwagę garść podstawowych faktów oraz okoliczności.

MIT RZEZI

Pierwsza krucjata wraz z masakrą mieszkańców Jerozolimy, jakiej mieli dopuścić się rycerze wiedzeni religijnym fanatyzmem, jest od czasów oświecenia głównym argumentem antykatolickiego dyskursu. Rzekoma rzeź 15 lipca 1099 r., której ofiarą padła ludność Świętego Miasta bez względu na wiek, płeć i wyznawaną religię, jest uznawana powszechnie za najczarniejszą z czarnych kart historii Kościoła – za najbardziej wstrząsające wydarzenie ciemnego średniowiecza i najlepszy dowód na zakodowany w chrześcijaństwie antysemityzm, rasizm oraz pogardę dla odmienności. Pobożni rycerze pielgrzymi, którzy po osiągnięciu celu wędrówki przystąpili do mordowania z zimną krwią muzułmańskich i żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci, w swoim fanatycznym zaślepieniu nieoszczędzający również chrześcijan wschodnich chroniących się w kościołach, nie tylko potwierdzają zepsucie i fałsz Kościoła katolickiego, nie tylko obnażają kłamstwo chrześcijaństwa, lecz także stanowią uosobienie wszystkiego, co złe, w chrześcijańskiej średniowiecznej cywilizacji europejskiej. Dzikie, wykrzywione żądzą mordu twarze krzyżowców to twarze Europy katolickiej, zacofanej, tkwiącej w religijnej ciemnocie – twarze tego, co

eprasa.pl 132a84d606

nie było

„Pierwsza krucjata: zdobycie Jeruzalem przez krzyżowców", Emile Signol, 1847 r.

FOT. PHOTO JOSSE/LEEMAGE/GETTY IMAGES

zostało nazwane przez rewolucję „starym ładem", który trzeba było zniszczyć, aby mogła narodzić się nowa oświecona, racjonalna, nowoczesna Europa.

HISTORYCZNE OKOLICZNOŚCI

Marcin Luter uważał rzeź Jerozolimy w 1099 r. za największy grzech w dziejach papiestwa – bo to biskup Rzymu, papież Urban II, w 1095 r. na synodzie w Clermont wezwał do walki o Święte Miasto. Wolter, oświeceniowy piewca tolerancji i racjonalizmu, poświęcił dziejom wypraw krzyżowych całe tomy, pokazując na ich przykładzie, że owocami wiary w Chrystusa są głównie przemoc i nienawiść. Żeby zobaczyć, jak bardzo mit rzezi Jerozolimy oddziałuje na dzisiejsze myślenie, wystarczy obejrzeć w Internecie relacje z manifestacji feministycznych – temat wypraw krzyżowych pojawia się z zadziwiającą regularnością w wypowiedziach aktywistek proaborcyjnych oraz działaczy gejowskich.

Wojska pierwszej krucjaty dotarły pod mury Świętego Miasta na początku czerwca 1099 r. – po ponad trzyletniej wędrówce przez nieznane ziemie i w stałym niebezpieczeństwie czyhającym ze strony wrogo nastawionych lokalnych władców Azji Mniejszej i Syrii. Największym i najpotężniejszym ośrodkiem władzy na Bliskim Wschodzie był egipski kalifat Fatymidów, który stanowił najpoważniejsze zagrożenie dla chrześcijańskiego panowania w Jerozolimie. Fatymidzi dysponowali gigantycznymi zasobami bogatego Egiptu – byli w stanie wystawić ogromne armie, nieporównanie większe od stale kurczących się sił wyprawy krzyżowej. Oblegana przez rycerstwo europejskie Jerozolima była broniona przez silny fatymidzki garnizon, który miał za zadanie wytrzymać aż do momentu nadejścia znad delty Nilu wielkiej odsieczy, która miała zgnieść krzyżowców pod murami Świętego Miasta. Wodzowie krucjaty mieli świadomość, w jak trudnej znaleźli się sytuacji – widzieli przed sobą wielkie i dobrze zaopatrzone miasto, mające 15-metrowe mury i silne oddziały wojskowe przysłane niedługo wcześniej z Egiptu. Za plecami wojsk krzyżowych koncentrowała się ogromna muzułmańska armia, która lada dzień miała wymaszerować z niedalekiego Askalonu na odsiecz Jerozolimie. Gdyby Fatymidzi zaatakowali krzyżowców w czasie, gdy ci prowadzili oblężenie, żaden z rycerzy nie uszedłby z życiem, a fatymidzki wezyr Al-Afdal zostałby opromieniony glorią wielkiego zwycięstwa.

Dlatego wodzowie krucjaty dążyli do jak najszybszego zdobycia obleganego miasta. Już 13 czerwca, kilka dni po dotarciu do celu, krzyżowcy szturmowali mury Jerozolimy – atak był nieudany i pochłonął wiele ofiar. Armia chrześcijańska była w sytuacji beznadziejnej: muzułmanie zatruli pobliskie źródła wody, co w warunkach upalnego palestyńskiego lata skazywało oblegających na powolną śmierć z wycieńczenia. Nie dysponowano machinami oblężniczymi, bez których zdobycie silnie ufortyfikowanego miasta było po prostu niemożliwe. Brakowało żywności i wody – w celach aprowizacyjnych musiano prowadzić dalekie ekspedycje, kosztujące wiele sił i strat, a nie zawsze z takiej wyprawy udało się przywieźć jakiś prowiant.

OSTATECZNY SZTURM

17 czerwca do Jaffy, pobliskiego portu, zawinęła mała flotylla statków

eprasa.pl 132a84d606

genueńskich. Muzułmański garnizon Jaffy uciekł, dzięki czemu krzyżowcy mieli możliwość skorzystania ze wsparcia zewnętrznego, które przybyło w samą porę. Dzięki genueńczykom wojska chrześcijańskie przystąpiły do konstrukcji machin oblężniczych – wysokich drewnianych wież, które podprowadzone w obręb murów miały pozwolić rycerzom wbiec na fortyfikacje, gdzie będą mogli siłą swych mieczy opanowywać odcinki linii obronnych.

Po długich przygotowaniach krzyżowcy 15 lipca 1099 r. przystąpili do głównego szturmu, angażując całość swych sił. Postawili wszystko na jedną kartę – niepowodzenie tego ataku oznaczałoby zagładę krucjaty. Oddziałom dowodzonym przez księcia Gotfryda Lotaryńskiego udało się za pomocą wieży oblężniczej opanować wąski odcinek murów obronnych – to wystarczyło, żeby do wnętrza miasta przeniknęły kolejne grupy krzyżowców. Gdy po krótkim czasie doprowadzono do otwarcia jednej z bram, obrona została przełamana, a rycerstwo wdarło się do miasta. Co działo się dalej?

W większości opracowań i artykułów można przeczytać, że po złamaniu oporu obrońców rycerze rozpoczęli rzeź całego miasta, mordując każdego, kogo napotkali na swojej drodze, że pobożni rycerze z papieskim błogosławieństwem dopuścili się ludobójstwa w Świętym Mieście – i to ludobójstwo było ukoronowaniem ich pielgrzymki, ludobójstwo ludzi różnych religii, różnych kolorów skóry, różnych języków, było chrześcijańskim aktem kultu Boga. Według szerzonej wizji wydarzeń to katolickie, papieskie ludobójstwo w Jerozolimie było szokiem dla całego świata i na wieki będzie obciążać sumienie Kościoła oraz pokazywać jego pogardę dla wszelkiej odmienności.

PRAWDA

Wystarczy przywołać kilka podstawowych faktów, aby stwierdzić, że rzeź Jerozolimy w formie, w jakiej jest najczęściej opisywana, nigdy się nie odbyła.

Po pierwsze, w nauce panuje zgoda, że muzułmański dowódca obrony, Iftikhar ad-Daula, oczyścił Jerozolimę z ludności chrześcijańskiej na krótko przed przybyciem krzyżowców – w ramach przygotowania do oblężenia wygnał on chrześcijan syryjskich, ormiańskich i greckich zamieszkujących dzielnice Świętego Miasta, aby zapewnić sobie spokój na tyłach obrony. Istnieją świadectwa, że krótko po 1099 r. w Jerozolimie istniały całe dzielnice zamieszkiwane przez Ormian, Syryjczyków i Żydów – gdyby doszło do rzekomej całkowitej masakry miasta, odtworzenie zaludnienia w ówczesnych warunkach byłoby niemożliwe w ciągu wielu dekad.

Po drugie, krzyżowcy byli zbyt nieliczni, aby zamknąć Jerozolimę w oblężeniu, długość murów miejskich wynosiła mniej więcej 4 km. Taktyka armii chrześcijańskiej przewidywała atak na wybrane odcinki fortyfikacji, a nie blokadę miasta. Dlatego też wielkie rzesze mieszkańców mogły w każdej chwili opuścić miasto. W ciągu trwającego w sumie ponad 30 dni oblężenia wiele osób zdecydowało się uciec, o czym najlepiej świadczy potwierdzone w źródłach poważne przeludnienie najbliższego dużego fatymidzkiego miasta – Askalonu, w którym ludność szukała schronienia pod opieką koncentrujących się sił zbrojnych kalifatu.

Po trzecie, okrucieństwo i stanowczość, z jaką krzyżowcy zdobyli Wzgórze Świątynne, gdzie w reakcji na przełamanie fortyfikacji zgrupowała się wielka liczba mieszkańców i żołnierzy, wynikały z racji taktycznych oraz militarnych. Kopuła na Skale oraz meczet Al-Aksa były ostatnimi punktami obrony miasta – wojska krucjaty przejęły kontrolę nad tym rejonem na drodze bezpardonowego ataku, a następnie zabicia wszystkich zgromadzonych tam ludzi. Nie mogli oni jednak zrezygnować ze szturmowania Wzgórza Świątynnego oraz pozwolić sobie na branie jeńców, gdyż wszystkie posunięcia wojsk chrześcijańskich uwarunkowane były zagrożeniem ze strony armii fatymidzkiej, która w każdej chwili mogła zamknąć krzyżowców w oblężeniu – wówczas mając sporą część miasta poza własną kontrolą, obrona byłaby niemożliwa. Niewątpliwe okrucieństwo wojsk krucjatowych wynikało z sytuacji taktyczno-militarnej, a nie z nienawiści religijnej lub rasowej, jak się to najczęściej przedstawia.

Po czwarte wreszcie, na opisy kronikarskie opowiadające o zdobyciu Jerozolimy należy patrzeć krytycznie i z uwzględnieniem wiedzy o literaturze średniowiecznej. Hiperbolizacja to typowe zjawisko obecne w piśmiennictwie wieków średnich. Ówcześni autorzy musieli opisać zdobycie Jerozolimy, podkreślając wielkie rozmiary tego zwycięstwa – aby to zrobić, w średniowieczu wyolbrzymiano straty przeciwnika, pomniejszano straty własne, pokazywano ogromne łupy wojenne. W przypadku przejęcia w chrześcijańskie władanie Świętego Miasta dochodzi silny element teologiczny – kronikarze nakładali na to wydarzenie kalki narracyjne przejęte ze Starego Testamentu i z Nowego Testamentu. Nawiązywali do wielkich zwycięstw wojsk Izraela oraz do Apokalipsy św. Jana, gdzie zapisano, że w dniu Sądu Ostatecznego Bóg krwawo ukarze grzeszników i pogan. Kronikarze opierali się na motywie „oczyszczenia miejsc świętych" – ten starożytny motyw literacki prowadził do pokazywania krwi nieprzyjaciół jako przelewanej, aby zrównoważyć obrazę Boga, do jakiej doszło, gdy innowierczy kult był sprawowany w świętym miejscu. Podsumowując – opisy kronikarskie, przepełnione opisami okrucieństw, masowych mordów i wielkich strat zadanych obrońcom, należy postrzegać w kategoriach fikcji literackiej, a nie dziennikarskiej relacji, którą można dosłownie interpretować i na jej podstawie odtwarzać bieg wydarzeń.

ODKŁAMAĆ MIT

15 lipca 1099 r. wojska pierwszej krucjaty w Jerozolimie nie dopuściły się ludobójstwa, nie wymordowały ludności miasta, nie dały upustu swojej barbarzyńskiej żądzy mordu – a tak pokazuje się to wydarzenie w większości tekstów historycznych i publicystycznych. Prowadzili oni typowe dla średniowiecznej sztuki wojennej działania militarne. Ofiary poniesione przez ludność cywilną nie były większe niż przy innych podobnych wydarzeniach w Europie oraz na Bliskim Wschodzie i były podyktowane racjami taktycznymi, koniecznością zabezpieczenia tyłów na potrzeby zbliżającej się konfrontacji z wielką fatymidzką armią, do której rzeczywiście doszło niecały miesiąc później w bitwie pod Askalonem. Nasycone okrucieństwem i krwią opisy kronikarskie są fikcją literacką, a dosłowne ich odczytywanie prowadzi do ideologicznego zafałszowania historii, z czym niestety bardzo często mamy do czynienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem, pracownikiem Instytutu Nauk Historycznych UKSW.

eprasa.pl 132a84d606

SUPER HISTORIA.pl

TYGODNIK LISKIEGO DO RZECZY

NOWY CYKL
PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

24 PAŹDZIERNIKA

CZĘŚĆ II Z CYKLU „POWSTAŃCY WARSZAWSCY”

„JAK POWSTAŃCY OŚMIESZYLI NIEMCÓW”

60 POWSTAŃCÓW PO CIĘŻKICH WALKACH PRZESZŁO MASZERUJĄC PRZED NIEMCAMI JAKO ODDZIAŁ NIEMIECKI. TO JEDNA Z NAJBARDZIEJ BRAWUROWYCH AKCJI POWSTANIA.

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 132a84d606

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

82 dni grozy w Karolewie

Wielokrotnie na tych łamach pisałem o selektywnej pamięci historycznej narodu polskiego. Część zbrodni przeciwko naszym rodakom przebiła się do powszechnej świadomości, ale część pozostaje niemal zupełnie zapomniana. Do tej drugiej kategorii zaliczyć należy bestialstwa dokonane na Pomorzu w pierwszych miesiącach II wojny przez Selbstschutz.

Cóż to była za organizacja? To stworzona przez niemieckie władze samoobrona złożona z Niemców mających przed wojną polskie obywatelstwo. W teorii formacja została powołana po to, by chronić pomorskich Niemców przed agresją ze strony Polaków (niestety, w pierwszych dniach wojny odnotowano sporo takich napaści). W praktyce działalność Selbstschutzu wyglądała zupełnie inaczej.

Jego członkowie poczuli się panami życia oraz śmierci. I przystąpili do krwawego odwetu za prawdziwe oraz urojone krzywdy, jakich zaznali od swoich polskich sąsiadów. Odwet ten przerodził się zaś w metodyczną kampanię eksterminacyjną. Ofiary masowych rozstrzeliwań dokonanych przez członków Selbstschutzu poszły w tysiące.

Mimo wielkiej skali tych zbrodni nie wywołują one specjalnego zainteresowania opinii publicznej. Dość powiedzieć, że jedyna istniejąca monografia Selbstschutzu do dziś nie została przetłumaczona z niemieckiego na polski! Na szczęście ostatnio pojawiła się grupa badaczy, która zabrała się do solidnego badania „dokonań" niemieckiej samoobrony.

Jedną z nich jest Izabela Mazanowska z IPN, autorka znakomitej książki „Karolewo 1939". To historia obozu, w którym członkowie Selbstschutzu w ciągu 82 dni zgładzili co najmniej 1781 Polaków i Żydów. Tego zbrodniczego dzieła dokonało zaledwie… 20 Niemców.

Najmocniejszą częścią książki jest właśnie ta poświęcona katom – znalazły się w niej m.in. obszerne fragmenty ich powojennych zeznań. „Karolewo 1939" należy również traktować jako upamiętnienie gehenny ofiar obozu. Pani Mazanowska wykonała fantastyczną pracę. ©℗

★★★★★★

IZABELA MAZANOWSKA
„KAROLEWO 1939. ZBRODNIE W OBOZIE SELBSTSCHUTZ WESTPREUSSEN"
IPN 2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nałkowska i wydawcy

Stosunki na linii autor – wydawca z reguły należą do delikatnych, a obie strony często czują się wykorzystywane. Czytając pośmiertne wspomnienia Jana Gebethnera o Zofii Nałkowskiej, można było odnieść wrażenie, że jego firma dbała głównie o autorkę, własne interesy stawiając na dalszym planie. Pisarka miała jednak na ten temat inne zdanie, twierdząc, że wydawcy „biorą rękopis z miną ofiary", bo właściwie to „jest wszystko, o nic więcej nie chodzi". A tak w ogóle to „w domach wydawniczych" pisarz bywa „tym najmniej potrzebnym, tym natrętnym, którego żądanie pieniędzy budzi zakłopotane zdziwienie". Wreszcie autorka stanęła na skraju bankructwa, na szczęście sytuację uratował jej ówczesny partner życiowy, Bogusław Kuczyński, który doskonale sprawdził się w roli agenta literackiego.

Pisarkę do pasji doprowadzały ciągłe opóźnienia w płatnościach

„[…] byliśmy we dwoje – notowała Nałkowska w październiku 1935 r. – u Gebethnera na walnej rozmowie […]. Zatrzymane bez mej wiedzy 493 zł za złożone u Gebethnera w komis »Tajemnice krwi«, z których od 10 lat nie zdawano mi rachunków, zostaną – o dziwo! – wypłacone".

Nawet wówczas w kontaktach z Gebethnerem nie było sielanki, pisarkę do pasji doprowadzały ciągłe opóźnienia w płatnościach. Nieprzestrzeganie terminów regulowania zobowiązań wobec autorów do dziś jest częstą praktyką, ale warszawska firma przewyższała innych.

„Ten Gebethner! – piekliła się Nałkowska. – Ma robić trzecie wydanie »Granicy«, a pieniędzy nie płaci. Całe najcenniejsze przedpołudnia obraca się na te denerwujące telefony, układy, oczekiwania".

Trzy wydania „Granicy" przyniosły jednak autorce 7,6 tys. zł, był to odpowiednik ponad 25 miesięcznych pensji urzędnika średniego szczebla. Inna sprawa, że Kuczyński nie dopuszczał do odrzucania innych zleceń, Zofia pisywała nowele dla dzieci (za 300 zł od sztuki), oceniała utwory na konkurs „Płomyka" (300 zł za 10 utworów), a jego skuteczność była zadziwiająca.

„366 zł za czeski przekład »Granicy« – notowała pani Zofia w styczniu 1937 r., 200 za przedmowę do Orzeszkowej, 46 zł z obrachunku za »Tajemnice krwi«. Straszna praca nad [adaptacją sceniczną] »Pani Bovary«, za którą dostałam tylko 700 zł […], ale może coś jeszcze przynieść na przyszłość".

Ogromnym sukcesem Kuczyńskiego była umowa na ekranizację „Granicy" za 5 tys. zł (premiera 29 października 1938 r.), co na dłuższy czas zapewniło pisarce bezpieczeństwo finansowe. Natomiast sprawa jego intymnego związku z Nałkowską to już zupełnie inna historia, podobnie dramatyczna jak poprzednie związki pani Zofii z mężczyznami. ©℗

eprasa.pl 132a84d606

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER
OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

DODATEK SPECJANY

Władysław Studnicki
w 150. rocznicę urodzin

Maciej Rosalak – **Krucjaty, samoobrona Zachodu**
Michael Haag – **Tajemnice templariuszy**
Jakub Ostromęcki – **Polacy na wyprawach krzyżowych**
Sławomir Cenckiewicz – **SB chciała podtruć Annę Walentynowicz**
Marcin Bartnicki – **Szaleństwo dowódcy ORP „Orzeł"**
Stanisław Rusek – **Walczyłem u „Zapory"**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Tuwim do Berezy Kartuskiej**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 132a84d606

„Propolska” twarz Bandery

Maciej Pieczyński z Kijowa

Na ołtarzu współpracy z polską prawicą ukraińscy nacjonaliści nie zamierzają składać kultu OUN/UPA. Dla nich Bandera i Szuchewycz to symbole walki z Moskwą, nie zaś rzezi Polaków

Musimy być jak jedna pięść” – stwierdził Ołeh Tiahnybok, występując gościnnie na drugim zjeździe Korpusu Narodowego, ukraińskiej nacjonalistycznej partii. Lider partii Swoboda miał na myśli jednolity front ukraińskiego nacjonalizmu, który wspólnie z jego ugrupowaniem tworzą właśnie KN i Prawy Sektor. Wnioskując z wypowiedzi liderów nacjonalistycznych ugrupowań, celem ciosów tej „jednej pięści” są zarówno rosyjski imperializm, jak i ukraińska władza. I to niekoniecznie w takiej kolejności.

Zdaniem Andrija Bileckiego, lidera KN, obecna ukraińska władza na forum międzynarodowym „zachowuje się jak uliczna dziwka, która sprzedaje nie tylko ciało, lecz także narodowe interesy”, proponując „pokój za wszelką cenę”. Bilecki skrytykował Kijów za ugodową postawę i brak reakcji na słowa Miloša Zemana, który na forum Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy zaproponował przehandlowanie Rosji Krymu. Zdaniem lidera KN taka polityka powoduje, że każdy sąsiad, widząc bezkarność Kremla, może skorzystać ze słabości Ukrainy i założyć na jej terenie własną republikę ludową. W tym kontekście podczas zjazdu wymieniano „roszczących prawa” do Zakarpacia Węgrów. O żadnym potencjalnym zagrożeniu ze strony Polski mowy nie było, była natomiast mowa o sojuszu państw od Bałtyku do Morza Czarnego.

KOZACY Z CHARKOWA

Korpus Narodowy powstał na podstawie walczącego z separatystami ochotniczego pułku (wcześniej batalionu) „Azow”. O ile Swoboda dominuje na ukraińskojęzycznym, banderowskim zachodzie kraju, o tyle partia pochodzącego z Charkowa Andrija Bileckiego, opiera się nie tylko na kulcie OUN/UPA, lecz także przede wszystkim na tradycji kozactwa. Ruch azowców narodził się na rosyjskojęzycznym wschodzie, stąd też, rywalizując z silnymi tam promoskiewskimi nastrojami, od początku posługiwał się bardzo radykalnymi metodami. Bilecki nazywany był białym wodzem, jeszcze na długo przed rewolucją Euromajdanu brał udział w strzelaninach, regularnych walkach ulicznych. Pod adresem azowców wielokrotnie padały oskarżenia o neonazistowskie sympatie. Ludzie Bileckiego odpierali zarzuty, wskazując, że w ich szeregach walczą z Rosją ochotnicy różnych narodowości. Często w dyskusji o banderowcach nad Dnieprem pojawia się argument o antyrosyjskim ostrzu kultu OUN/UPA. To twierdzenie trafne jest szczególnie w odniesieniu właśnie do azowców. Galicyjski resentyment Swobody wobec „polskich okupantów” dla zajętych walką na wschodzie ludzi Bileckiego jest raczej obcy. Chociaż są zwolennikami kulturowej ukrainizacji, to jednak czystość etniczna nie jest dla nich sprawą najważniejszą.

Drugi zjazd Korpusu Narodowego odbył się w pierwszą rocznicę powstania partii. Tego samego dnia nacjonaliści z KN, PS i Swobody przeszli ulicami Kijowa w Marszu Sławy Bohaterów. Z Banderą i Szuchewyczem na sztandarach. Z okrzykami: „Sława Ukrainie, bohaterom sława, sława nacji, śmierć wrogom”. Data 14 października jest nieprzypadkowa. W Polsce

eprasa.pl 132a84d606

Ukraińscy nacjonaliści na pochodzie 14 października, w rocznicę powstania Ukraińskiej Powstańczej Armii FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

budzi jak najgorsze skojarzenia – to dzień powstania Ukraińskiej Powstańczej Armii. Jednak – o czym już nad Wisłą rzadziej się wspomina – to także Pokrowa, czyli prawosławne Święto Opieki Matki Bożej, oraz święto kozactwa. Działacze Korpusu Narodowego podczas oficjalnych przemówień jednym tchem wymieniali wszystkie trzy okazje do świętowania. Tak czy inaczej, Bandera i Szuchewycz w panteonie bohaterów ukraińskiego nacjonalizmu zajmują poczesne i niezagrożone miejsce.

NACJONALIZM JAK RELIGIA?

Podczas zjazdu KN hymn ukraińskich nacjonalistów zaśpiewała uroczyście Zoriana Konowalec. Jeśli nad Wisłą ktoś o niej słyszał, to z pewnością nic pozytywnego. Zasłynęła bowiem wypowiedzią, która kładzie się cieniem na deklarowanych przez ruch azowców propolskich sympatiach. Dwa lata temu na swoim profilu na portalu społecznościowym opublikowała wpis o treści: „Jeszcze Polska nie zginęła, ale zginąć musi, jeszcze Polak Ukraińcowi buty czyścić musi". – Napisałam tak pod wpływem impulsu. Zostałam zaatakowana przez kiboli Legii, którzy przyjechali akurat na mecz do Kijowa. Zaczęli mnie szarpać i pluć w moją stronę, bo miałam na sobie koszulkę z wizerunkiem Romana Szuchewycza – tłumaczy się ze swojej antypolskiej wypowiedzi w rozmowie z „Do Rzeczy". Co ciekawe, Zoriana Konowalec nie potrafi zrozumieć, skąd agresja Polaków. – Może wam się nie podobać Szuchewycz, ale to nasz bohater, nie wasz. To straszne, że zostałam zaatakowana w stolicy mojego państwa, w mieście, które spłynęło krwią moich rodaków walczących o godność narodu. W Polsce nigdy bym się nie pokazała z wizerunkiem Szuchewycza, bo wiem, kim on dla was jest, ale byłam u siebie, miałam prawo uczcić mojego bohatera. Nie chciałam swoją wypowiedzią obrazić wszystkich Polaków, tylko tych bydlaków, którzy mnie zaatakowali. Szybko usunęłam te słowa i przeprosiłam – mówi Zoriana Konowalec. Ta wypowiedź bardzo dobrze oddaje stosunek ukraińskich nacjonalistów do historii.

Czy można połączyć kult UPA z szacunkiem dla polskich ofiar tej organizacji? Twierdzącej odpowiedzi na to pytanie udziela Władysław Kowalczuk, działacz KN, który obecnie studiuje w Warszawie. 2 lipca wziął udział w odbywającym się w zachodnioukraińskich Tyszkowcach marszu z okazji 110. rocznicy urodzin Romana Szuchewycza. 11 lipca, w rocznicę krwawej niedzieli, złożył kwiaty pod warszawskim pomnikiem ofiar rzezi wołyńskiej. Brak konsekwencji, hipokryzja czy polityczna kalkulacja? Raczej typowe dla azowców myślenie: niech każdy u siebie czci własne ofiary i własnych bohaterów. „Polacy NIE mają wobec narodu ukraińskiego żadnego obowiązku szanować, gloryfikować czy akceptować Stepana Bandery lub Romana Szuchewycza w swoim kraju. Nikt nie zmusza ich do tego, chodzi jedynie o szanowanie prawa Ukrainy do decydowania, kto jest dla niej ważną postacią historyczną, a kto nie" – pisze Kowalczuk na swoim blogu. Ruch Azowski zaangażował się też w obronę cmentarza Orląt Lwowskich. Andrij Bilecki podpisał wspólny apel polskich i ukraińskich nacjonalistów do radnych Lwowa o „zaprzestanie działalności mogącej prowokować konflikty i rozpoczęcie działalności na rzecz dialogu i współpracy naszych narodów". – To nie było takie oczywiste, bo wielu lwowiaków uważa Polaków za okupantów – mówi Kowalczuk. – Jako partia Korpus Narodowy chcemy patrzeć w przyszłość. Jesteśmy nowym pokoleniem i nie chcemy popełniać błędów przodków.

Chciałoby się, żeby nasi południowo-wschodni sąsiedzi, w imię prawdy historycznej i dobrych stosunków

eprasa.pl 132a84d606

z ważnym sojusznikiem, architektów rzezi wołyńskiej zastąpili na sztandarach np. Symonem Petlurą, który przecież ramię w ramię z Piłsudskim walczył z bolszewikami. To jednak pobożne życzenia. Petlura nie wzbudza nad Dnieprem ani kontrowersji, ani wielkiego entuzjazmu. Socjalista, który „wszystko przegrał", nie może być symbolem ruchu nacjonalistów. Może więc możliwy jest jakiś „zgniły kompromis" w kwestii „bohaterów" OUN/UPA? – Nacjonalizm to w pewnym sensie religia. Dlatego rezygnacja z którejkolwiek postaci ruchu narodowego jest nie do przyjęcia – uważa Roman Korszuk, ukraiński politolog. Jego zdaniem nietykalny jest nawet dowódca wołyńskiej UPA, bezpośrednio odpowiedzialny za rzeź Polaków. – „Kłym Sawur", oprócz tego, czego dokonał na Wołyniu, ma też poważne zasługi na polu walki z sowieckim okupantem – broni „bohatera" Ihor Bihun, historyk i publicysta portalu Historyczna Prawda, współpracownik Centrum Badań Ruchu Wyzwoleńczego, naukowej społecznej organizacji zajmującej się historią najnowszą Ukrainy.

Trzeba dodać, że ten badacz dziejów UPA nie jest zaciekłym przeciwnikiem Polaków. A to wcale nie takie oczywiste dla sympatyków ukraińskiego nacjonalizmu. Co znamienne, w przededniu banderowskiego Marszu Sławy Bohaterów w Kozackim Domu, miejscu spotkań azowców, Bihun poprowadził wykład pt. „Antykomunistyczna współpraca ukraińskich i polskich nacjonalistów". Temat mało znany zarówno nad Dnieprem, jak i nad Wisłą. W 1946 r. połączone siły UPA i WiN przeprowadziły atak na siły UB i NKWD w Hrubieszowie. Co ciekawe, ze strony polskiej operacją dowodził płk Marian Gołębiewski, który wcześniej prowadził antyukraińską akcję, tzw. rewolucję hrubieszowską. Pod koniec lat 80. Gołębiewski szczycił się, że to on zapoczątkował polsko-ukraińskie pojednanie „w sytuacji, którą dziś z trudem wielu będzie mogło zrozumieć". Nic dziwnego, że neobanderowcy chętnie odwołują się do tej postaci. Ich zdaniem Gołębiewski, jako bezpośredni uczestnik tamtych wydarzeń, ma większy autorytet moralny do ich oceny niż współcześni komentatorzy. Zdanie oficera, który podjął antykomunistyczną współpracę z UPA, bardziej się nad Dnieprem liczy niż trauma rodzin ofiar. Tym bardziej że na Ukrainie – i to nie tylko w kręgach nacjonalistów – dominuje „symetria win", zgodnie z którą na Kresach Wschodnich doszło do konfliktu zbrojnego AK i UPA, w najgorszym razie do „wzajemnej czystki etnicznej", nie zaś do ludobójstwa.

Ukraińscy nacjonaliści szukają współpracy z polskimi organizacjami prawicowymi. Na razie niezbyt skutecznie – gloryfikacja UPA odstrasza potencjalnych sojuszników. Azowcom udało się przekonać do siebie środowisko miesięcznika „Szturm", neopogańskiego Niklota i Instytut im. Romana Rybarskiego. Odbywają się konferencje poświęcone idei Międzymorza. Olena Semeniaka, czołowa działaczka KN, uważa, że środowisko azowców z polską prawicą łączy wspólnota konserwatywnych wartości: – Trzeba współpracować wszędzie tam, gdzie się da. Popieramy antyliberalne inicjatywy obecnego polskiego rządu. Wiadomo, że uchwałę wołyńską przyjęliśmy jako cios w plecy, ale można jakoś tę postawę PiS zrozumieć. I zamiast się całkiem na Polaków obrażać, trzeba ich wspierać w walce z liberalizmem. Nie może być tak, że ambasador Ukrainy Andrij Deszczycia atakuje polski rząd za homofobię. Tam, gdzie nam po drodze, musimy współpracować – mówi.

Ukraińscy nacjonaliści szukają współpracy z polskimi organizacjami prawicowymi. Nieskutecznie – gloryfikacja UPA odstrasza Polaków

LISTA WROGÓW

„Ukraina ma być podstawą Sojuszu Bałtycko-Czarnomorskiego [...]. Czujemy się częścią europejskiej cywilizacji, ale nie chcemy stać się częścią europejskiej biurokracji, dlatego też priorytetem ukraińskiej polityki zewnętrznej jest budowa nowej wspólnoty europejskich narodów na zasadach harmonijnego połączenia tradycyjnych wartości i innowacyjnych idei" – czytamy w oficjalnym programie KN. Może pojawić się obawa, że rządzona przez radykalnych nacjonalistów Ukraina będzie chciała dyktować swoje warunki. – Chcemy sojuszu na zasadzie luźnej konfederacji, a nie dyktatu w stylu unijnym. Polska i Ukraina mogą się wzajemnie uzupełniać: my mamy doświadczoną armię, wy macie pieniądze, które możecie u nas inwestować – mówi „Do Rzeczy" Olena Semeniaka z kierownictwa Korpusu Narodowego.

W tym kontekście pojawia się kolejna wątpliwość: wielu ukraińskich nacjonalistów uważa Przemyśl i Chełmszczyznę, czyli tzw. Zakerzonie, za etnicznie ukraińskie ziemie. Roman Kowal, historyk związany z tym ruchem, występując jako gość specjalny podczas zjazdu KN, tak mówił o bohaterze swojej najnowszej książki, Jakowie Halczewśkym: „Na początku lat 40., jako dowódca hrubieszowskiej samoobrony, bił się krwawo z bandami polskich szowinistów, którzy pragnęli zająć nasze ziemie, i w końcu je zajęli". „Nacjonaliści zapomnieli, że są zwolennikami jedności ziem ukraińskich, i przestali wspominać o etnicznych ziemiach na zachodzie. [...] jakiekolwiek wzmianki o Zakerzoniu traktowane są jako prowokacja, która ma nas skłócić z sąsiadami. Zamiast dbać o dumę narodową, pielęgnujemy w sobie kompleks niższości" – żalił się kilka tygodni temu Andrij Tarasenko, lider Prawego Sektora, a więc partii, która podobnie jak azowcy oficjalnie popiera ideę Międzymorza. – Nie zgadzam się z tezą Tarasenki. Jako Korpus Narodowy kategorycznie odrzucamy wszelkie pretensje terytorialne – deklaruje Olena Semeniaka.

Nie pierwszy raz prostuje antypolskie wynurzenia Tarasenki. Trzy lata temu, będąc jeszcze rzeczniczką Prawego Sektora, musiała tłumaczyć się z wypowiedzi swojego ówczesnego szefa, który w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" miał stwierdzić, że Przemyśl powinien wrócić do Ukrainy. Korpus Narodowy na tle Prawego Sektora i Swobody jawi się wręcz jak propolska siła, nowoczesny ruch narodowy, który zamiast dawać upust etnicznym i terytorialnym resentymentom, woli przyszłościową współpracę przeciw zagrożeniom liberalizmu. Nawet jeśli intencje sojuszu z Warszawą są szczere, nie wiadomo, w którym kierunku pójdą azowcy w przyszłości oraz jak bardzo liczyć się będą ze zdaniem swoich partnerów politycznych czy z nastrojami wśród potencjalnego elektoratu. Dopóki trwa konflikt na wschodzie, dopóty radykalne ostrze ukraińskiego nacjonalizmu (silnego fizycznie, choć wciąż stosunkowo słabego politycznie) będzie zwrócone przeciw Rosji, względnie przeciw „ugodowej władzy" w Kijowie. Polaków brak na obecnej liście „wrogów nacji".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

Twórz z nami program!
Zadaj pytanie naszym gościom
zadzwoń do studia

REPUBLIKA

Oddaję Państwu głos
PIĄTEK 20:50

Oddaję Państwu głos

NA ŻYWO

Oglądaj Telewizję Republika za darmo:
www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 132a84d606

Ciągłość czy zerwanie?

Tomasz P. Terlikowski

O ile poprzedni papieże niezwykle mocno akcentowali ciągłość w nauczaniu Kościoła, o tyle Franciszek formułuje swoje opinie często w duchu zerwania owej ciągłości. Doskonale widać to w kwestii kary śmierci

FOT. ALESSANDRO BIANCHI/REUTERS/FORUM

Pytanie o to, czy w Kościele dominować ma hermeneutyka ciągłości czy zerwania, pozostaje jednym z najistotniejszych pytań w toczących się we współczesnym katolicyzmie debatach. Część głównie liberalnie, ale niekiedy także charyzmatycznie czy ewangelikalnie nastawionych duchownych, teologów czy hierarchów wskazuje, że Sobór Watykański II (a także nauczanie posoborowych papieży) było zerwaniem z wcześniejszym Magisterium Kościoła, swoistą rewolucją, która zmiotła dawny system i zastąpiła go nowym. Inni jednak wskazują, że zarówno sobór, jak i posoborowe nauczanie (w tym Magisterium papieża Franciszka) powinny być zawsze odczytywane w duchu ciągłości z wcześniejszym nauczaniem, uzgadniane z tym, co mówili poprzednicy, i ukazywane w duchu niesprzeczności. W zależności od tego, czy przyjmiemy jedną czy drugą wizję zmiany, otrzymamy obraz albo ostatnich lat życia Kościoła jako nieustannej rewolucji (przerywanej momentami kontrrewolucji), swoistej spóźnionej o 500 lat reformacji, albo… stopniowego rozwoju, który czasem przyspiesza, czasem zostaje wypaczony przez nadgorliwych interpretatorów, ale zawsze i nieodmiennie pozostaje wierny korzeniom. Identyczny spór dotyczy obecnie „Amoris laetitia". O ile jednak w przypadku jej nieprecyzyjnych (pozostawiam na uboczu pytanie, czy są one nieprecyzyjne celowo czy przypadkowo) zapisów możliwe są obie interpretacje dokumentu (zarówno w duchu ciągłości, jak i zerwania), a także rozmaite ich stopnie pośrednie, o tyle o wiele trudniej jest zastosować takie myślenie w odniesieniu do innej wypowiedzi papieskiej poświęconej karze śmierci.

ZMIENNA MORALNOŚĆ

Kilkanaście dni temu w przemówieniu poświęconym Katechizmowi Kościoła katolickiego papież stwierdził, że konieczne jest poświęcenie większej ilości miejsca karze śmierci w tym dokumencie. – Należy z mocą stwierdzić, że kara śmierci jest środkiem nieludzkim, który w każdej formie, w jakiej zostaje wykonany, upokarza godność ludzką. Sama w sobie jest ona sprzeczna z Ewangelią, ponieważ dobrowolnie postanawia się pozbawić życia ludzkiego, które jest zawsze święte w oczach Stwórcy, będącego jedynym i prawdziwym sędzią – mówił Ojciec Święty. – W minionych wiekach, gdy brakowało narzędzi obrony, a dojrzałość społeczna nie zaznała jeszcze pozytywnego rozwoju,

eprasa.pl 132a84d606

odwoływanie się do kary śmierci wydawało się logiczną konsekwencją wymierzenia sprawiedliwości – uzupełniał papież. Dalej przepraszał za działania swoich poprzedników. – Niestety, także w państwie papieskim odwoływano się do tego skrajnego i nieludzkiego środka, pomijając prymat miłosierdzia nad sprawiedliwością. Bierzemy odpowiedzialność z przeszłości i przyznajemy, że środki te były podyktowane przez mentalność bardziej legalistyczną niż chrześcijańską – podkreślił Franciszek. Uzupełnił jeszcze: – Troska o zachowanie władzy i bogactw materialnych doprowadziła do przeceniania wartości prawa, co uniemożliwiło zagłębienie się w wyrozumiałość Ewangelii.

Słowa te, choć większości czytelników zapewne nie szokują, są jednak – i trzeba to powiedzieć zupełnie jasno – zerwaniem z tradycyjnym nauczaniem Kościoła w kwestii kary śmierci, a także z zapisami Katechizmu Kościoła katolickiego. Wiem, że to mocne słowa, ale od początku historii chrześcijaństwa ojcowie Kościoła jasno wskazywali, że cytaty z Listu do Rzymian („Jeżeli jednak czynisz źle, lękaj się, bo nie na próżno [władza] nosi miecz. Jest bowiem narzędziem Boga do wymierzenia sprawiedliwej kary temu, który czyni źle" Rz 13,4) czy z Księgi Rodzaju („[Jeśli] kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew jego, bo człowiek został stworzony na obraz Boga" Rdz 9,6) są i pozostają usprawiedliwieniem kary śmierci w uzasadnionych przypadkach. Za moralnie usprawiedliwioną uważali także karę śmierci kolejni papieże. Innocenty I podkreślał, że jej odrzucenie byłoby sprzeczne z autorytetem Boga, Innocenty III zaznaczał, że odrzucenie uprawnienia państwa do orzekania takiej kary byłoby naruszeniem katolickiej ortodoksji. Dopuszczały karę śmierci także katechizmy Piusa V, Piusa X, nauczał o niej Pius XII, a św. Jan Paweł II także zawarł zgodę na nią (choć mocno ograniczoną) w przygotowanym przez niego katechizmie.

OSTROŻNY JAN PAWEŁ II

Święty Jan Paweł II zaczął wyraźnie wskazywać, że kara śmierci nie musi być już wykonywana. To nie ulega wątpliwości. Próżno jednak szukać w oficjalnych dokumentach papieskich uznania, że jest ona niemoralna czy tym bardziej sprzeczna z Ewangelią. „Zarówno w Kościele, jak i w społeczności cywilnej oraz powszechnej zgłasza się postulat jak najbardziej ograniczonego stosowania kary śmierci albo wręcz jej całkowitego zniesienia. Problem ten należy umieścić w kontekście sprawiedliwości karnej, która winna coraz bardziej odpowiadać godności człowieka, a tym samym – w ostatecznej analizie – zamysłowi Boga względem człowieka i społeczeństwa. Istotnie, kara wymierzana przez społeczeństwo ma przede wszystkim na celu »naprawienie nieporządku wywołanego przez wykroczenie«. Władza publiczna powinna przeciwdziałać naruszaniu praw osobowych i społecznych, wymierzając sprawcy odpowiednią do przestępstwa karę jako warunek odzyskania prawa do korzystania z własnej wolności. W ten sposób władza osiąga także cel, jakim jest obrona ładu publicznego i bezpieczeństwa osób, a dla samego przestępcy kara stanowi bodziec i pomoc do poprawy oraz wynagrodzenia za winy. Jest oczywiste, że aby osiągnąć wszystkie te cele, wymiar i jakość kary powinny być dokładnie rozważone i ocenione i nie powinny sięgać do najwyższego wymiaru, czyli do odebrania życia przestępcy, poza przypadkami absolutnej konieczności, to znaczy gdy nie ma innych sposobów obrony społeczeństwa. Dzisiaj jednak, dzięki coraz lepszej organizacji instytucji penitencjarnych, takie przypadki są bardzo rzadkie, a być może już nie zdarzają się wcale" – pisał św. Jan Paweł II w „Evangelium vitae".

Stanowisko to można uznać za rozwój doktryny, za jej uzupełnienie, ale nie za jej odrzucenie ani zerwanie z Tradycją i Magisterium poprzednich papieży. Jan Paweł II jasno i zdecydowanie przypomina, że wagę oraz znaczenie zachowuje obowiązek państwa zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom, a jeśli nie ma innego wyjścia, to obowiązek ten może się wiązać z obowiązkiem zastosowania kary śmierci. Oczywiście św. Jan Paweł II zastrzega, że „takie przypadki" są obecnie rzadkie, a być może nie zdarzają się wcale, ale w niczym nie zmienia to faktu, że sama kara śmierci może być – w pewnych okolicznościach i pod pewnymi warunkami – usprawiedliwiona. Identycznie ujmuje to zmieniony już Katechizm Kościoła katolickiego. „Kiedy tożsamość i odpowiedzialność winowajcy są w pełni udowodnione, tradycyjne nauczanie Kościoła nie wyklucza zastosowania kary śmierci, jeśli jest ona jedynym dostępnym sposobem skutecznej ochrony ludzkiego życia przed niesprawiedliwym napastnikiem. Jeżeli jednak środki bezkrwawe wystarczą do obrony i zachowania bezpieczeństwa osób przed napastnikiem, to władza powinna ograniczyć się do tych środków, ponieważ są bardziej zgodne z konkretnymi uwarunkowaniami dobra wspólnego i bardziej odpowiadają godności osoby ludzkiej" – głosi obecnie katechizm.

ZERWANIE FRANCISZKA

Franciszek idzie jednak o wiele dalej. Obecny papież nie rozważa, czy okoliczności nie zmieniły się na tyle, żeby uznać, że nie ma potrzeby wykonywania kary śmierci, bo są inne, godziwsze sposoby obrony społeczeństwa i wymierzenia sprawiedliwości. On oznajmia, że wszyscy jego poprzednicy, ojcowie Kościoła, mylili się, prezentowali poglądy sprzeczne z Ewangelią, a wynikające jedynie z troski o zachowanie władzy. Takie przekonanie trudno zaś uznać za rozwój doktryny, bo jest ona raczej zerwaniem z nią. I nie zmieniają tego zapewnienia papieża, że nic w istocie on nie zmienia, bo zmiana jest widoczna i jednoznaczna. A jeśli papież może zmieniać doktrynę czy nauczanie moralne w kwestii kary śmierci (uzasadniając to nie tyle zmieniającymi się okolicznościami, ile „duchem czasu"), to nie widać powodu, by nie zmieniać jej także w kwestiach innych.

Warto też przypomnieć, bo często się o tym zapomina, że papież nie jest władcą doktryny, lecz jedynie jej strażnikiem, nie może więc swobodnie jej zmieniać ani ogłaszać na nowo. A prawdę tę umocnił Sobór Watykański II. Błogosławiony Paweł VI podczas prac soborowej komisji nad konstytucją dogmatyczną o Kościele chciał dodać do dokumentu krótkie stwierdzenie, że papież jest „odpowiedzialny tylko przed samym Panem", jednak soborowa komisja nie zgodziła się na takie ujęcie sprawy, przypominając, że „biskup Rzymu jest… ograniczony Bożym objawieniem, a także podstawową strukturą Kościoła, sakramentami, definicjami wcześniejszych soborów oraz innymi zobowiązaniami, których jest tyle, że trudno je wyliczyć". Prawda ta dotyczy także papieża Franciszka i jego nauczania, które musi być interpretowane w duchu ciągłości. W tym konkretnym przypadku oznacza to tyle, że trzeba jasno powiedzieć, iż papież nie mógł zmienić nauczania Kościoła, a jego słowa to jedynie mocniejsze wyrażenie opinii, że obecnie kara śmierci nie jest już potrzebna. Uznanie jednak, że kara ta jest sprzeczna z Ewangelią, to zdecydowanie krok za daleko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

Z Timem Marshallem, brytyjskim publicystą
rozmawia Piotr Włoczyk

Rosja bierze

PIOTR WŁOCZYK: Poświęcił pan duży fragment swojej książki o geopolityce kwestii Arktyki. Co ciekawego geopolitycznie dzieje się dziś w tej bezludnej krainie lodu?

TIM MARSHALL: Wbrew pozorom w Arktyce jest mnóstwo geopolityki i – wraz z cofającym się lodem – ten temat robi się coraz ciekawszy. Jeszcze niedawno dyskusja o bogactwie Arktyki była czysto teoretyczna. Teraz jednak, wraz z postępującym cofaniem się lodu oraz rewolucją technologiczną, to wszystko wydaje się na wyciągnięcie ręki. To z kolei podbija stawkę wyścigu. Dość powiedzieć, że amerykańska agencja badawcza US Geological Survey szacuje, że Arktyka kryje w sobie minimum 90 mld baryłek ropy naftowej. Poza surowcami energetycznymi w obfitości występują tam m.in. złoto, cynk, nikiel i żelazo...

Ale chyba nie tylko do tego sprowadza się dziś zainteresowanie mocarstw Arktyką?

Nie. Jest jeszcze drugi bardzo ważny powód rosnącego znaczenia dalekiej północy: okres dostępności tamtejszych szlaków wodnych staje się coraz dłuższy. Dzięki temu kontenerowce są w stanie zaoszczędzić w ten sposób na trasie Europa – Chiny nawet tydzień.

Po raz pierwszy wielki statek towarowy przepłynął tzw. Przejście Północno-Zachodnie (wzdłuż wybrzeży Kanady) bez asysty lodołamacza w 2014 r. Prognozy mówią, że w 2040 r. ta droga będzie otwarta nawet przez dwa miesiące w ciągu roku. Jeżeli obecne tempo zostanie utrzymane, to w dalszej perspektywie latem w Arktyce lód będzie całkowicie zanikał. Niewykluczone, że stanie się to dużo szybciej niż do końca tego stulecia.

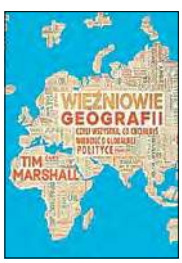

TIM MARSHALL „WIĘŹNIOWIE GEOGRAFII, CZYLI WSZYSTKO, CO CHCIAŁBYŚ WIEDZIEĆ O GLOBALNEJ POLITYCE”
ZYSK I S-KA 2017

Nic na świecie nie może się równać z amerykańską armią i flotą. Jak wygląda czołówka krajów biorących udział w wyścigu o Arktykę?

Amerykanie na razie nie mają tu nic do powiedzenia. W tym wyścigu bezapelacyjnie prowadzą Rosjanie. Nikt inny nie jest tak mocno obecny w tym regionie ani nie jest tak dobrze przygotowany do zawładnięcia nim. Władimir Putin powiedział wprost: „Nie jest przesadą, że podmorskie pola naftowe leżące wzdłuż naszych wybrzeży, w szczególności te w Arktyce, stanowią naszą rezerwę strategiczną na XXI w.”. Rosjanie wprowadzają te słowa w życie.

Zacznijmy od tego, że Rosjanie mają 32 lodołamacze, w tym sześć gigantów o napędzie atomowym. Nikt inny nie ma takich jednostek. W przyszłym roku planują oddanie do służby najpotężniejszego lodołamacza na świecie, który będzie w stanie przedrzeć się przez lód o grubości ponad 3 m, holując równocześnie gigantyczne tankowce. A jak to wygląda u Amerykanów? Do dyspozycji

eprasa.pl 132a84d606

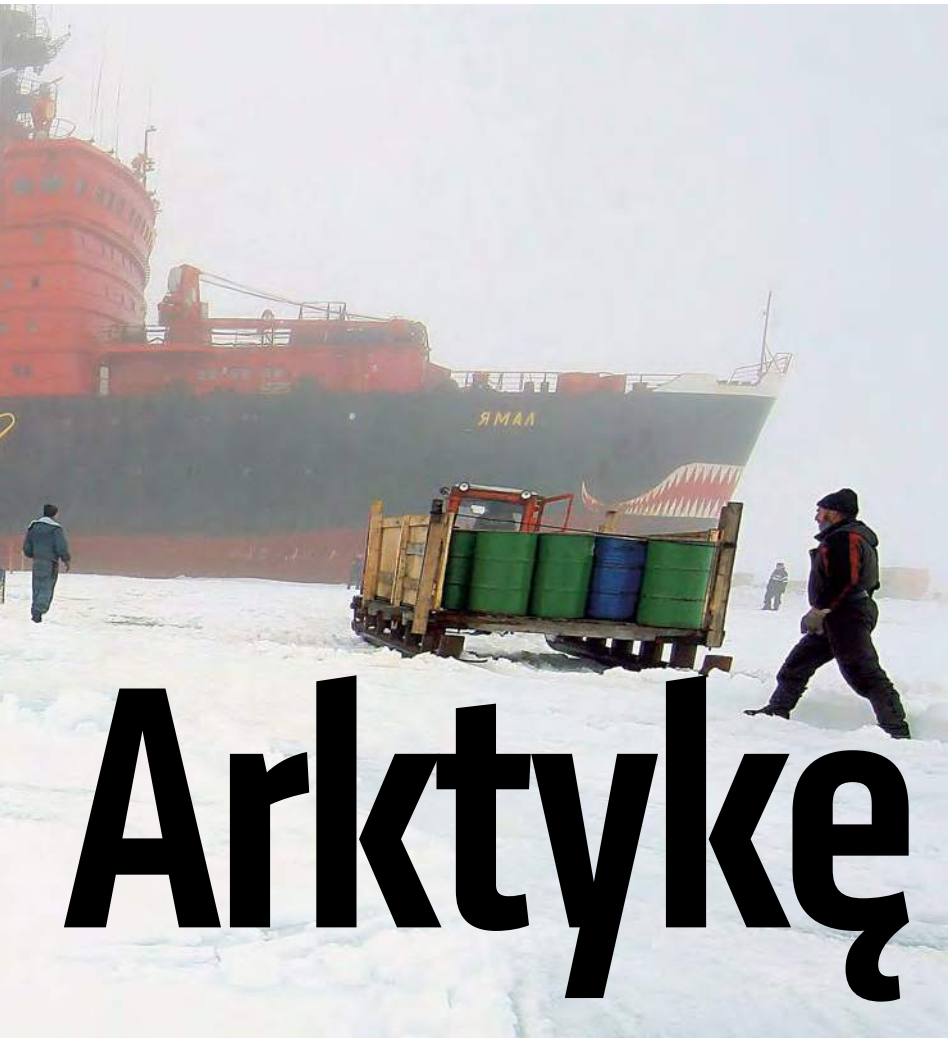

Arktykę

FOT. SOVFOTO/UIG/GETTY IMAGES

mają dwa ciężkie lodołamacze... z których tylko jeden jest zdolny do służby.

W 2012 r. Amerykanie musieli prosić Rosjan o pomoc w dostarczeniu zaopatrzenia swojej stacji na Antarktydzie. To chyba najlepiej pokazało dysproporcję sił.

Amerykanie zawsze przecież mogą wybudować nowe jednostki, jeżeli w końcu uznają to za priorytet.

Barack Obama, odwiedzając w 2015 r. Alaskę, wezwał do rozbudowy floty arktycznej, ale większość jego przekazu dotyczyła ochrony środowiska. Tak wielki lodołamacz buduje się 10 lat, a koszt jednej takiej jednostki to blisko miliard dolarów. Tymczasem Rosjanie planują nawet budowę pływającej elektrowni atomowej, która będzie w stanie funkcjonować pod naporem lodu grubego na 3 m.

Wygląda na to, że to nie przypadek, iż grupa rosyjskich ekspertów wnioskuje, by Arktykę przemianować na Ocean Rosyjski...

Rosjanie zgłaszają pretensje do całej Arktyki. Wiedzą, że to nierealne, ale równocześnie wychodzą ze słusznego założenia, że im więcej chcesz, tym więcej w końcu dostaniesz.

Znane są pretensje Rosji do Grzbietu Łomonosowa leżącego przy jej syberyjskim wybrzeżu. Rosjanie twierdzą, że jest on przedłużeniem jej szelfu kontynentalnego, więc należy się on właśnie im. Sęk w tym, że Grzbiet Łomonosowa ciągnie się aż do bieguna północnego...

Rosja bardzo mocno przygotowuje się na moment, gdy będzie musiała wesprzeć swoje żądania wojskiem.

Ich baza w Murmańsku obsługuje tamten obszar nie od dziś.

Port w Murmańsku jest teraz poważnie rozbudowany – to główna baza Rosjan do działań arktycznych. Tymczasem Amerykanie nie mają niczego podobnego na Alasce.

Oczywiście nie tylko Rosjanie szykują arktyczne siły. Znana z pacyfizmu Norwegia formuje swój własny „batalion arktyczny", ale to przecież nic w porównaniu z tworzoną przez Rosję arktyczną armią. „Brygady murmańskie" wyposażone są w skutery śnieżne, poduszkowce i nieustannie ćwiczą się w ciężkich warunkach. W 2014 r. Rosja przeprowadziła potężne ćwiczenia w warunkach zimowych. Brało w nich udział 155 tys. żołnierzy. Rosjanie bronili wówczas swojej Arktyki przed siłami nazwanymi „Missouri"... Prezydent Putin po tych ćwiczeniach po raz pierwszy nazwał Arktykę rosyjską strefą wpływów.

Dlaczego Amerykanie dali się tak wyprzedzić Rosjanom? Trudno to zrozumieć, skoro są tak dumni ze swojej dzikiej Alaski.

Mówiąc kolokwialnie, mieli za dużo na głowie od 11 września i zbyt mało uwagi oraz środków poświęcili na zajęcie się nadchodzącym wielkimi krokami tematem dalekiej północy. Jeżeli prognozy w sprawie cofania się lodu się sprawdzą, to szybko będą żałować swojej bierności w tej sprawie.

Natomiast z Alaską rzecz jest trochę bardziej skomplikowana, niż mogłoby się to wydawać. Ten stan jest odłączony od reszty Ameryki nie tylko w sensie fizycznym, lecz także psychicznym. Północ to bardzo daleki temat dla Amerykanów, nie rozbudza tak bardzo ich wyobraźni, jak to jest u Rosjan. Dla Amerykanów to kompletnie obcy świat, tymczasem dla Rosji jest to dom.

Ma sens porównywanie żądań odnośnie do Arktyki do walki mocarstw o kawałki Afryki w XIX w.?

Nie wydaje mi się. Dzisiaj istnieje specjalnie powołana do tego celu Rada Arktyczna, gdzie w dość cywilizowany sposób zainteresowane kraje walczą o swoje racje. Istnienie tego organu nie oznacza jednak, że wszystko na pewno zostanie uregulowane bezproblemowo – w takim przypadku Rosjanie nie szykowaliby potężnych arktycznych wojsk...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tim Marshall jest brytyjskim publicystą, analitykiem spraw międzynarodowych (m.in. dla BBC i Sky News). W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Więźniowie geografii. Czyli wszystko, co chciałbyś wiedzieć o globalnej polityce".

eprasa.pl 132a84d606

FOT. FOTOLIA

ISLAMSKIE ŚWIĘTA DLA NIEMCÓW?

Katolickie święta od dawna są na cenzurowanym w bardziej „postępowej" części Europy. Europejczycy nie zostaną jednak z niczym. Pierwszymi uszczęśliwionymi mogą być Niemcy. Szef niemieckiego MSZ Thomas de Maizière publicznie snuł już rozważania na temat wprowadzenia oficjalnych świąt islamskich tam, gdzie mieszka wielu muzułmanów. Pomysł ten ochoczo wsparł przewodniczący SPD Martin Schulz i podkreślał, że należy zastanowić się nad tą propozycją.

NAUCZYCIEL GORSZY NIŻ PIERWSZAK

Niedawno w Nigerii pracę straciło blisko 22 tys. nauczycieli. Okazało się bowiem, że pedagodzy nie byli w stanie przebrnąć przez test z zadaniami dla pierwszoklasistów. Gubernator stanu Kaduna stwierdził, że to przez nepotyzm przy zatrudnianiu w szkołach. Pracę mają bowiem dostawać nie ludzie legitymujący się odpowiednim wykształceniem, ale ci, którzy mają akurat znajomych mogących załatwić im państwowe posady.

CHOROBOWE NA PSA

Jest nowy sposób dla tych, którym nie chce się pracować, a wykorzystali już urlop oraz tyle razy nachodzili znajomego lekarza, że nie chce wypisywać im zwolnień. Można otrzymać wynagrodzenie chorobowe za opiekę nad chorym psem. Włoski sąd przyznał rację pracowniczce akademickiej z rzymskiego uniwersytetu La Sapienza. Poszło o dwa dni, w których nie pojawiała się na uczelni. Prawnicy kobiety udowodnili przed sądem, że za opiekę nad zwierzakiem należy się wynagrodzenie jak za nieobecność związaną z „poważnymi lub rodzinnymi powodami". Uzasadniali, że kobieta nie miała wyjścia, bo gdyby nie zajęła się chorym psem, to w myśl surowego włoskiego prawa dotyczącego ochrony zwierząt grozić mógł jej nawet rok więzienia i 10 tys. euro grzywny za porzucenie pupila i narażenie go na poważne cierpienia.

KAWA Z CZOSNKU

74-letni Japończyk opracował nowy napój – kawę z czosnku. Jest podobno smaczna, a nie zawiera kofeiny i może być pita np. przez kobiety w ciąży. Najciekawsze są jednak kulisy tego odkrycia. Pan Yokitomo Shimotai piekł stek z czosnkiem i zapomniał o potrawie. Jego obiad się spalił, a on zalał blachę wrzątkiem. Do dziś nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego potem spróbował tego naparu. To właśnie w ten sposób dopracował się nowej receptury na „kawę". Kiedy więc spali się wam obiad, wiecie, co zrobić, zanim go wyrzucicie. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Mój donos na publicystę

U przejmie donoszę, że Gian Antonio Stella, publicysta „Corriere della Sera", popełnił ohydny, polonofobiczny tekst, w którym są: ignorancja, nienawiść i manipulacja.

Autor pisze o „Różańcu do granic" jako dziele katolickiego betonu wymierzonym w „obcych", w muzułmanów. A zarzucając Polakom islamofobię, natychmiast kojarzy ją z polskim antysemityzmem, by stwierdzić, że Polak bez nienawiści żyć nie może.

Poucza przy tym: „Polacy nie powinni nigdy zapomnieć swojej osobistej odpowiedzialności za Holokaust. Nie tylko u boku niemieckich nazistów, ale nawet potem. Jak w Kielcach, gdzie setki »chrześcijan« zorganizowały krwawe polowanie na Żyda". Dalej, powołując się na historyka Alberto Melloniego, pisze: „Karol Wojtyła widział »swój« Kościół, który dopuścił, by Żydów wywożono do Auschwitz, i widział swoich rodaków pomagających w potwornym mordzie na Żydach".

Te słowa w ustach Włocha, którego kraj był pierwszym sojusznikiem Hitlera, brzmią groteskowo. Czy Stella z równą łatwością wini siebie i swój naród za obozy koncentracyjne oraz masowe mordy w Trypolitanii lub zagazowanie Etiopczyków? A co z haniebnymi ustawami rasowymi z 1938 r., przeciw którym na dobrą sprawę nikt nie protestował? Nie mówiąc już o aktywnej pomocy Niemcom w wyłapywaniu i ładowaniu Żydów do pociągów jadących do Auschwitz. Czyżby Stelli gdzieś umknęło aż 400 obozów, w których jego rodacy zamknęli Żydów? A masowe mordy w Jugosławii w czasie II wojny? Te wszystkie włoskie zbrodnie były owocem faszyzmu, który Włosi budowali z niebywałym zapałem.

Nie dziwię się jednak panu Stelli. Gdybym był Włochem, też bym chciał o tej hańbie zapomnieć. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 132a84d606

SZEWACH WEISS

Nie ma o czym rozmawiać?

W 2006 r. po raz pierwszy przeprowadzono demokratyczne wybory rządu Autonomii Palestyńskiej. Wybory te były przeprowadzone przy współpracy palestyńskiego lidera Mahmuda Abbasa (następcy zmarłego Jasira Arafata), prezydenta Stanów Zjednoczonych George'a W. Busha i ówczesnego premiera Izraela Ariela Szarona. Niedługo potem Autonomia Palestyńska rozdzieliła się na dwie części. Stało się tak dlatego, że wybory wygrał Hamas, a Abbas i jego ruch Fatah nie chcieli dopuścić do utraty rządu i wpływu na dalszy ciąg negocjacji pokojowych między Palestyńczykami a Izraelem. Większość liderów Hamasu przeniosła się do Strefy Gazy. Siłą i walkami, które kosztowały życie setki osób, zdobyli nad nią panowanie. Od tego czasu na tej małej zachodniej stronie Jordanu są dwa palestyńskie kraje – Judea i Samaria pod rządami Mahmuda Abbasa i Fatahu oraz Strefa Gazy będąca pod totalnym wpływem Hamasu.

Taka sytuacja bardzo utrudnia powrót do negocjacji pokojowych Izraela z Palestyńczykami. Na przeszkodzie stoją też czynniki zewnętrzne, np. chaos w Syrii, i tak naprawdę na całym Bliskim Wschodzie, spowodowany tzw. wiosną narodów. Jednak najgrubszy mur między Izraelem a Palestyńczykami wyrósł po odważnym eksperymencie, gdy Izrael jeszcze za czasów Ariela Szarona wycofał się ze wszystkich żydowskich osiedli w Strefie Gazy, mając nadzieję, że taki gest doprowadzi do zawieszenia broni i zawarcia jakiegokolwiek pokoju. Izraelowi udało się zbudować pewną stabilizację z Judeą i Samarią, ale nie ze Strefą Gazy pod panowaniem Hamasu. Doszło później do dwóch wojen.

Nowa administracja Stanów Zjednoczonych, administracja Donalda Trumpa, podjęła decyzję o wysłaniu do Izraela dyplomaty odpowiedzialnego za odnowienie tego procesu pokojowego, który obecnie się nie toczy. W koalicji kierowanej przez Beniamina Netanjahu nie ma wewnętrznego nacisku na odnowienie negocjacji. Przeciwnie. Dwie partie wchodzące w skład tej koalicji nie zgadzają się z ideą, by zawrzeć pokój, tworząc samodzielne państwo obok Izraela w Judei, Samarii i Strefie Gazy. Sam Netanjahu na forum międzynarodowym podkreśla, że jest na to gotów, ale pod pewnymi warunkami. Po pierwsze – absolutny koniec działalności terrorystycznej. Po drugie – Jerozolima jako historyczna stolica narodu żydowskiego nie będzie tematem negocjacji i nie zostanie podzielona. I w końcu – nowe państwo palestyńskie będzie zdemilitaryzowane. Można do tego dodać cichy warunek, o którym się raczej nie mówi: Izrael nie zgadza się na powrót setek tysięcy uchodźców, którzy uciekli (w większości) lub zostali wypędzeni podczas wojny o niepodległość.

Jednak sytuacja, kiedy Hamas ideologicznie nie dopuszcza do istnienia Izraela, a w swoim oficjalnym programie ma postulat likwidacji izraelskiego państwa, prowadzi do przekonania w Izraelu, że nie ma o czym ani z kim rozmawiać.

Mahmud Abbas już sześciokrotnie podejmował próby pojednania z Hamasem. Dwa tygodnie temu podpisano umowę po raz siódmy. Jednak 17 października izraelski rząd postanowił, że nie będzie prowadził negocjacji z Palestyńczykami, ponieważ w zawartej umowie nie pojawiają się kwestie kluczowe dla Izraela. Nie ma w niej mowy o zaprzestaniu ataków terrorystycznych wymierzonych w Izrael, a także o tym, że Hamas odda broń w ręce nowego rządu, w którym przeważać będzie Fatah Mahmuda Abbasa. Izrael nie podejmie negocjacji dopóty, dopóki Hamas w swoim programie będzie nadal miał plan likwidacji Izraela. Sytuacja wydaje się patowa i raczej nie ma szans na to, by w najbliższym czasie powrócono do rozmów pokojowych między Izraelem a nowym rządem Autonomii Palestyńskiej.

Prawdopodobnie jednak na Mahmuda Abbasa wpływ będą miały Stany Zjednoczone. Abbas nie będzie chciał oddzielić się od potencjalnej koalicji na Bliskim Wschodzie tworzonej przez Egipt, Arabię Saudyjską, Jordanię i kilka emiratów. Czuje, że jest to jego naturalne miejsce teraz i w przyszłości. A administracja Donalda Trumpa traktuje Izrael jak bardzo bliskiego sojusznika i nie wywiera dużych nacisków, by zmienił swoje warunki w negocjacjach pokojowych z Palestyńczykami. Czy w tej sytuacji Mahmud Abbas będzie na tyle silny, by przekonać Hamas do zmiany swojej ideologii w stosunku do Izraela? Nie wiadomo. Czy będzie w dalszym ciągu współpracował z Izraelem w sprawach bezpieczeństwa? Prawdopodobnie tak. Inaczej ogień znów zostanie wzniecony. A tego ani Izrael, ani Mahmud Abbas nie chcą. ©℗ ***oprac. raw***

„Do Rzeczy" poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną,** by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.

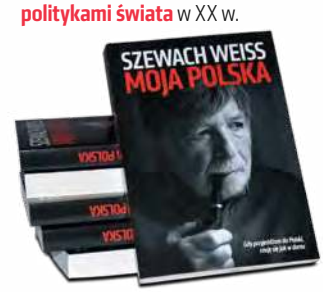

Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

eprasa.pl 132a84d606

FOT. FOTOLIA

Dobra zmiana?

Jacek Przybylski

Przestawianie co pół roku wskazówek zegarków nie tylko nie przynosi oszczędności, lecz także zmniejsza produktywność pracowników, pogarsza nastroje konsumentów oraz inwestorów. Czy w Polsce przestaniemy zmieniać czas?

eprasa.pl 132a84d606

Już w najbliższy weekend wreszcie będziemy mogli pospać dłużej. W nocy z soboty na niedzielę cofamy bowiem czas o godzinę. Dzięki temu rano łatwiej będzie wstawać. Słońce w niedzielę wzejdzie tuż po 6.20. O wiele trudniejsze staną się jednak wieczory. Ciemno za oknem będzie bowiem już ok. 16.30. Najgorzej będzie w czwartek 21 grudnia. W najkrótszy dzień w roku słońce wstanie o 7.42, a zajdzie już o 15.24. Dla pracowników, którzy do biur i sklepów przychodzą na dziewiątą lub dziesiątą, a do domu wychodzą dopiero po 17, zmiana czasu na zimowy jest więc mocno niekorzystna.

Jako pierwszy o potrzebie zmiany czasu pisał Benjamin Franklin, jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, uczony i pierwszy ambasador USA we Francji. W 1784 r. w liście do „Journal of Paris" żartował on z ludzi, którzy spali, gdy wzeszło już słońce, a wieczorami i nocą marnowali świeczki i naftę. Franklin sugerował m.in. wprowadzenie podatku od okien z zamkniętymi okiennicami, a także instalowanie specjalnych budzików w miejscach publicznych.

Nieco poważniej pomysł przesuwania wskazówek zegarków sformułował w 1907 r. Brytyjczyk William Willett, który pisał o „marnowaniu światła dziennego", przekonując, że zmiana czasu o 80 minut w kwietniu i we wrześniu przyniesie jego rodakom więcej zdrowia, szczęścia i pieniędzy. Wprawdzie nie udało mu się wówczas przekonać władz w Londynie do wcielenia tej inicjatywy w życie, ale rok później czas letni jako pierwsi wprowadzili Kanadyjczycy. W 1916 r. – rok po śmierci Willetta – wskazówki w zegarkach zaczęli też przesuwać Niemcy, a za nimi kolejne kraje: Belgia, Dania, Francja, Holandia, Luksemburg, Norwegia, Portugalia, Szwecja, Turcja, Włochy, Wielka Brytania. Politycy dali się bowiem przekonać, że zmiana czasu pozwoli na realne oszczędności, a zwłaszcza na ograniczenie poboru energii elektrycznej, szczególnie istotnej podczas trwającej jeszcze I wojny światowej. W Polsce zmianę czasu wprowadzono w okresie międzywojennym. Czas letni i zimowy obowiązywał również w latach 1946–1949, 1957–1964 oraz od 1977 r.

W Stanach Zjednoczonych decyzja o tym, czy zmieniać czas, czy nie, zależy od władz poszczególnych hrabstw. W przesuwanie wskazówek nie bawi się np. większa część stanu Arizona. To, że w części miast tego samego stanu obowiązuje jeden czas, a w części inny, jest więc często przyczyną problemów. Jednak i tak w USA panuje w tej kwestii większy porządek niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu. W połowie lat 60. XX w. w Ameryce dochodziło bowiem do sytuacji, w których np. w 18-piętrowym wieżowcu w Minnesocie połowa pracowników przychodziła do biura według czasu zimowego, a połowa pracowała według czasu letniego. Bałagan rozwiązało dopiero przyjęcie w 1966 r. ustawy o jednolitym czasie.

NIEUDANY EKSPERYMENT

Obecnie wskazówki w zegarkach co pół roku przestawiają mieszkańcy ok. 70 państw na świecie. Pozytywne skutki zmiany czasu dla gospodarki od wielu lat są jednak kwestionowane przez ekspertów na całym świecie. Pierwotny cel zmiany czasu – sprawienie, aby jak najdłużej fabryki mogły być oświetlane światłem słonecznym – jest już bowiem mało aktualny. Z punktu widzenia gospodarki ważniejszą rolę odgrywają bowiem biura, których pracownicy i tak nie wychodzą do domów przed 17.

REKLAMA

ROAMER VANGUARD CHRONO II

ROAMER może z dumą spojrzeć wstecz na ponad 125 lat swojej historii. Od samego początku szwajcarska marka pozostaje wierna tradycji tworzenia cennych i luksusowych akcesoriów. Tajemnica sukcesu marki leży w bezkompromisowej dbałości o każdy szczegół.

Kolekcja zegarków ROAMER VANGUARD CHRONO II to ciekawa propozycja dla mężczyzn nietuzinkowych, eleganckich, ceniących jakość i precyzję wykonania. Klasyczny kształt, szlachetne materiały i przyciągająca spojrzenia kolorystyka to kompozycja, która sprawdzi się przy każdej okazji. Na szczególną uwagę zasługuje tarcza z przestrzennymi, fakturowanymi sub-tarczami chronografu. Dbałość o szczegóły widać również na niebieskiej wskazówce sekundnika, doskonale kontrastującej z kolorem tarczy i paska. Zegarek posiada również datownik, umieszczony na godzinie czwartej oraz wskazanie dnia tygodnia. Wszystkie modele ROAMER VANGUARD CHRONO II zostały wyposażone w wysokiej klasy kwarcowe szwajcarskie mechanizmy, gwarantujące dokładność i niezawodność. Kopertę o średnicy 42 mm pokryto odpornym na zarysowania szafirowym szkłem z powłoką antyrefleksyjną, zapewniając tym samym wieloletnią trwałość i nieskazitelny wygląd.

CENA: 1490 zł

eprasa.pl 132a84d606

Amerykańscy naukowcy Matthew Kotchen oraz Laura Grant przyjrzeli się np. efektom zmiany czasu w stanie Indiana, który w 2006 r. nakazał swym mieszkańcom przestawianie zegarków. Okazało się, że po wprowadzeniu zmiany czasu zapotrzebowanie na energię elektryczną nie tylko nie zmalało, lecz także wręcz wzrasta o 1–4 proc. rocznie.

Co gorsza, zdaniem Laury Grant majstrowanie przy dobowym rytmie nie służy również zdrowiu ani produktywności w pracy. Według uczonej wiosenne przesuwanie wskazówek sprawia, że pracownicy są bardziej skłonni do popełniania kosztownych dla pracodawców błędów. Rośnie też ryzyko wypadków przy pracy. Naukowcy z Uniwersytetu Alabama ustalili, że w ciągu kilku tygodni od wiosennej zmiany czasu liczba ataków serca rośnie o 10 proc. Zakłócenie rytmu dobowego pogarsza również nastrój, a także wpływa negatywnie na sen, układ odpornościowy, metabolizm, koncentrację, pamięć etc. Według niemieckich naukowców doprowadzenie organizmu do stanu równowagi po zmianie czasu może potrwać nawet trzy tygodnie. Australijscy uczeni zauważyli z kolei wzrost liczby samobójstw wśród mężczyzn w ciągu kilku pierwszych tygodni po zmianie czasu z zimowego na letni.

Niebezpieczniej jest również na drogach. Z badania naukowców Uniwersytetu Carnegie Mellon wynika, że zmiana czasu na zimowy trzykrotnie zwiększa ryzyko potrącenia pieszych, zwłaszcza w ciągu pierwszych dwóch miesięcy od przesunięcia wskazówek. Z kolei zmiana czasu na letni – według badaczy ze stanowego Uniwersytetu Kolorado – powoduje wzrost liczby śmiertelnych wypadków samochodowych o 17 proc., co prawdopodobnie jest po prostu wynikiem mniejszej koncentracji kierowców pozbawionych godziny snu. Według naukowców z Rutgers University, gdyby w USA obowiązywał jedynie czas letni, liczbę ofiar wypadków drogowych można by zmniejszyć o co najmniej 360 rocznie.

Liczne problemy z powodu zmiany czasu mają też linie lotnicze, kolejowe i autobusowe, które dwa razy do roku muszą wprowadzać specjalne rozkłady jazdy i albo wstrzymywać ruch na godzinę (przy zmianie czasu na zimowy), albo odnotowywać godzinne opóźnienie (przy przechodzeniu na czas letni). Przesuwanie wskazówek zegarka zmusza też właścicieli fabryk z ciągłą produkcją, szefów stacji benzynowych etc. do wypłacania pracownikom dodatkowego wynagrodzenia za nadgodziny (przy przechodzeniu na czas zimowy) lub płacenia za godzinę, która w rzeczywistości nie została przepracowana (w przypadku zmiany na czas letni).

Problemy z tego powodu ma też branża finansowa. I to nie tylko dlatego, że klienci banków mają podczas zmiany czasu kłopoty z dostępem do bankowości elektronicznej, a także z korzystaniem z bankomatów. Przestawianie zegarków źle wpływa na nastroje konsumentów oraz inwestorów giełdowych. Z badań amerykańskich naukowców wynika, że na parkietach w USA w pierwszych dniach po zmianie czasu najczęściej przeważają spadki. Z kolei pracownicy instytutu JPMorgan Chase po przeanalizowaniu ponad 380 mln transakcji doszli do wniosku, że cofanie wskazówek zegarka ma też negatywny wpływ na postawy konsumentów. Dla przykładu w Los Angeles po zmianie czasu na zimowy średnie dzienne wydatki kartami płatniczymi na głowę spadają o 3,5 proc., podczas gdy przejście na czas letni przynosi wzrost dziennych wydatków jedynie o 0,9 proc. W Denver konsumenci po przejściu na czas zimowy ograniczali wydatki o 4,9 proc., a wiosną wydawali zaledwie 0,8 proc. więcej. Najbardziej na zmianie czasu tracą sklepy spożywcze oraz dyskonty, a najmniej restauratorzy i firmy zajmujące się ochroną zdrowia. Spadek wynika głównie z mniejszej liczby transakcji. Wiele osób, wychodząc z pracy już po zmroku, zamiast iść jeszcze na zakupy, woli udać się prosto do domu.

2 mld dol.

NAWET NA TAKĄ KWOTĘ SZACUJE SIĘ STRATY WYNIKAJĄCE ZE ZMIANY CZASU W USA

Jeśli się weźmie pod uwagę wszystkie koszty związane z problemami zdrowotnymi czy zmniejszoną produktywnością, szacuje się, że straty wynikające ze zmiany czasu w samych Stanach Zjednoczonych wynoszą od 434 mln dol. do – według analityków z American Enterprise Institute – nawet 2 mld dol.

CZAS NA ZMIANĘ?

Z roku na rok przybywa więc zwolenników porzucenia praktyki zmiany czasu. W Rosji po raz ostatni wskazówki zegarków przesuwano wiosną 2011 r. Ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew przekonywał bowiem, że zmiana czasu wiązała się ze zbyt dużym stresem i z chorobami. W Stanach Zjednoczonych już ponad 127 tys. osób podpisało petycję do Kongresu, w której apelują o „zaprzestanie wprowadzania bałaganu do naszych kalendarzy".

Czasu nie zmieniają też m.in. Islandczycy, Białorusini, a także mieszkańcy Korei Południowej oraz Japonii. W Kraju Kwitnącej Wiśni prywatne korporacje wprowadziły jednak własną wersję zmiany czasu, zachęcając pracowników, aby rozpoczynali i kończyli dzień pracy tak, żeby maksymalnie wykorzystać światło słoneczne. W 2015 r. również japoński premier Shinzō Abe zaapelował do urzędników, aby od lipca do końca sierpnia zmieniali swój tryb życia, przychodzili do pracy godzinę lub nawet dwie godziny wcześniej i dzięki temu zyskiwali więcej czasu na wieczorne spotkania z przyjaciółmi i rodziną.

Z sondażu przeprowadzonego pod koniec września przez Instytut Pollster dla Se.pl i telewizji Nowa TV wynika, że tylko 26 proc. Polaków nadal dwa razy do roku chce przestawiać wskazówki. 64 proc. ankietowanych opowiada się zaś za nieprzestawianiem zegarków. Rezygnację ze zmiany czasu oficjalnie zaproponowali posłowie Polskiego Stronnictwa Ludowego. W połowie października na posiedzeniu sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych pomysł ten poparli przedstawiciele wszystkich klubów. Jeśli projekt ludowców zostanie przyjęty, to już od 2018 r. w Polsce przestaniemy przesuwać zegarki i przejdziemy wyłącznie na czas letni.

Jeśli jednak w ślady władz w Warszawie nie pójdą inne unijne kraje, to zmiana ta może być bardzo problematyczna. Czas zimowy i letni obowiązuje bowiem obecnie w całej Unii Europejskiej – jeśli Polska jako jedyna wycofa się z przesuwania wskazówek, podczas podróży po Europie trzeba będzie pamiętać o różnicy czasu. Rozbieżności między Polską a innymi państwami mogą być kosztowne dla linii lotniczych czy kolejowych.

Specjalnej aktualizacji wymagać będą również działające w Polsce smartfony, laptopy i inne urządzenia, które są tak zaprogramowane, aby automatycznie dwa razy w roku zmieniać czas. Jest więc prawdopodobne, że mimo wstępnej aprobaty większości klubów w przyszłym roku i tak znów będziemy przestawiać wskazówki na czas zimowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

5 90 KONGRES

II Edycja

Uwalniamy polski potencjał!

16-17 LISTOPADA 2017 JASIONKA k. RZESZOWA

Kongres 590

to najważniejsze wydarzenie gospodarcze tego roku, zrzeszające przedstawicieli świata biznesu i administracji publicznej. To dwa dni dyskusji o wyzwaniach i codziennych problemach przedsiębiorców oraz poszukiwania szans na dynamiczny rozwój polskiej gospodarki.

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Zarejestruj się: **rejestracja.kongres590.pl**

Partnerzy strategiczni: ORLEN, Bank Polski

Partnerzy główni: Grupa Azoty, Grupa Cedrob, Huawei, PZU, Ursus

Partnerzy +: KRUK, PGNiG, PWPW, GAZ system, Porty Lotnicze

Partnerzy: Podkarpackie, Adamed Grupa, Asseco, 3DGENCE, MSG

IGTE, PGM, PERN, OLPP, Google, vivus.pl, Simple, Chopin Airport Development, Exatel

Partner technologiczny: orange

Główni patroni medialni: TVP, TVP INFO

Główny patron radiowy: Polskie Radio

Główny patron prasowy: Dziennik Gazeta Prawna

Patroni medialni: pap, Rzeczpospolita, Puls Biznesu, Polska

nowiny, Gazeta Polska, Super Biznes, Sieci, Do Rzeczy, wprost, Gazeta Polska, niedziela, Gość, Gazeta Bankowa, eMANAGER, Harvard Business Review, ICAN, My Company

NP, interia, money.pl, POLSKA2041, wGospodarce.pl, niezależna, BZA, wnp.pl, Energetyka 24, 300 Polityka, Wnętrze Najważniejsze, Polskie Radio Rzeszów, Republika

eprasa.pl 132a84d606

Nagonka na inwestora?

Stefan Sękowski

Nie jest prawdą, że obce firmy nas „drenują". Polska głównie korzysta na zagranicznych inwestycjach, co nie znaczy, że nie powinniśmy się bronić przed oszustwami

Najpierw w latach 90. witaliśmy z otwartymi ramionami każdego obcokrajowca, który chciał u nas zainwestować. Dzisiaj trend się odwraca, a zagraniczne firmy inwestujące w Polsce stają się chłopcem do bicia. Poseł PiS Artur Soboń skierował do ministra rozwoju i finansów zapytanie w sprawie wielkości dochodów uzyskanych na terytorium Polski przez podmioty z państw Unii Europejskiej, osiągniętych w okresie 2005–2016 m.in. z odsetek, należności licencyjnych, z tytułu świadczenia różnych usług oraz oczywiście dywidend.

Zapytanie może złożyć każdy poseł i słusznie, że to robi, problem jednak nie w tym, co robi, tylko jak otrzymane dane interpretuje. Z odpowiedzi MF wynika, że spółki z krajów UE uzyskały z terytorium Polski w latach 2005–2015 (pełnych informacji za rok 2016 jeszcze nie ma) 537,8 mld zł dochodu. Zdaniem posła Sobonia, który wypowiedział się na ten temat w telewizji internetowej w Polsce.pl, te kwoty „przekraczają te transfery, które otrzymaliśmy z Unii Europejskiej". Politykowi wtóruje Marek Siudaj, który na łamach „Sieci Prawdy" („Europa drenuje nas na całego", 39/2017) podaje, że w tym okresie otrzymaliśmy z UE – po odliczeniu naszej składki – 360,2 mld zł. Zdaniem publicysty „to oznacza, że dostaliśmy z UE dwie trzecie tego, co wypłaciliśmy firmom z tzw. starych krajów członkowskich". Wniosek jest prosty: zagranica, zwłaszcza unijna, nas drenuje.

Jednak gdyby chcieć sporządzić bilans, trzeba by porównać dochody europejskich firm nie z funduszami unijnymi, bo to nie zagraniczne firmy je wypłacają, ale przynajmniej z wartością bezpośrednich inwestycji zagranicznych z krajów członkowskich. Nie mówiąc o reinwestowanych zyskach ani dochodach, jakie w krajach UE osiągają z kolei polskie firmy, obniżając tym samym wartość czegoś na kształt swoistego „drenażu netto" naszej gospodarki. A to zdecydowanie zmienia postać rzeczy.

CO DRUGA ZŁOTÓWKA ZOSTAJE

Zostańmy jednak przy pytaniu, czy zyskujemy, czy tracimy na tym, że obce firmy – nie tylko z UE – inwestują w naszym kraju. Dyskusja na ten temat jest niejednoznaczna, według jednych ktoś nas okrada, według innych – robi nam prezenty. Tymczasem nie musimy być bogatym ciotkom z Brukseli, Waszyngtonu czy Berlina za cokolwiek wdzięczni. Kupowanie polskich firm czy zakładanie nowych nie dzieje się dlatego, że ktoś tam za granicą nas szczególnie kocha. Dzieje się to dlatego, że biznesmeni z USA, Niemiec, Francji i Holandii chcą na tym zarobić. I zarabiają – dochody osiągane u nas i „wyprowadzane" z Polski to zwrot z tej inwestycji.

Najpierw trzeba jednak się na to wykosztować. I tak – według danych Narodowego Banku Polskiego – na koniec 2016 r. wartość bezpośrednich inwestycji zagranicznych w Polsce wyniosła 778,7 mld zł. Główne branże, w które zaangażowany jest obcy kapitał, to przetwórstwo przemysłowe, działalność finansowa i ubezpieczeniowa oraz handel, a głównymi inwestorami są firmy z Unii Europejskiej (ponad 80 proc.), głównie z Niemiec, Holandii i Luksemburga (zwłaszcza w tych dwóch przypadkach można często mówić raczej o „firmach z siedzibą w Holandii i Luksemburgu"). Zagraniczne firmy zainwestowały w ubiegłym roku w Polsce 54,9 mld zł. Te inwestycje przyniosły im dochód w wysokości 79 mld zł, ale – uwaga! – z tego 34,2 mld zostało reinwestowane. Jak piszą autorzy raportu Polityka Insight pt. „Co przyniosły inwestycje zagraniczne. Wpływ na gospodarkę Polski w ostatnim ćwierćwieczu", firmy z kapitałem zagranicznym „zatrudniają obecnie około jedną trzecią pracowników, wytwarzają dwie piąte przychodów i odpowiadają za dwie trzecie polskiego eksportu".

KORZYŚCI Z INWESTYCJI

Dobrze, ale co my z tego mamy? Całkiem sporo. W pierwszym etapie, po 1989 r., obcokrajowcy inwestowali często w słabo radzące sobie polskie firmy. Potrzebowały one dokapitalizowania, modernizacji i nowoczesnego zarządzania. I je często otrzymywały. „Firmy, które przechodziły w ręce zagranicznych właścicieli, zaczynały szybciej rosnąć – zwiększały co roku swoją wartość dodaną w tempie o 2,2 punktu procentowego wyższym niż pozostałe przedsiębiorstwa" – czytamy w raporcie PI. Obcy kapitał więcej wydaje na badania i rozwój (0,7 proc. wartości dodanej, wszystkie firmy – 0,5 proc.) i zatrudnia średnio dwukrotnie więcej pracowników zajmujących się opracowywaniem oraz wdrażaniem innowacji. Zagraniczne inwestycje to kapitał nie tylko finanso-

eprasa.pl 132a84d606

FOT. FOTOLIA

wy, lecz także kulturowy. To ciekawe, że często narzekają na nie ci sami, którym nie podobają się polskie stosunki pracy. Tymczasem to polskie firmy, zwłaszcza małe i średnie, kierują się nadal częściej mentalnością folwarczno-pańszczyźnianą niż międzynarodowe korporacje, które za swój punkt honoru biorą to, by przynajmniej uchodzić za przyjazne pracownikom. I to np. niemieckie firmy, takie jak Volkswagen, wprowadzały w III RP współpracę ze szkołami w ramach czegoś na kształt kształcenia dualnego.

– Jesteśmy w zakładzie, który co prawda ma właściciela zagranicznego, ale takiego, który prowadzi mądrą politykę, rozwija firmę, która tutaj w Polsce zatrudnia kilka tysięcy osób. Daje również poprzez pracę zatrudnienie innym podmiotom gospodarczym, nie tylko w regionie. Wreszcie tutaj, w Polsce, płaci podatki i tak rozumiemy patriotyzm gospodarczy – mówiła w 2016 r. premier Beata Szydło, odwiedzając fabrykę śmigłowców w Świdniku, należącą do koncernu Agusta Westland (obecnie Leonardo), która od 2010 r. zainwestowała w Polsce i zostawiła tu w postaci podatków setki milionów złotych. Takie przykłady można mnożyć, a w praktyce oznacza to, że – jak szacuje Polityka Insight – dzięki zagranicznym firmom płace i zatrudnienie wzrosły o prawie 9 proc., a dochody podatkowe państwa średnio o 2,7 proc. Korzystały także firmy kooperujące z zagranicznymi inwestorami, a nawet te, które – musząc z nimi konkurować – pięły się w górę, takie jak choćby w przypadku sektora mleczarskiego. Dzięki inwestycjom zagranicznym nasz PKB w 2015 r. był o 15,9 proc. wyższy, niż gdyby ich nie było.

MNIEJ KOMPLEKSÓW

Nie ma jednak róży bez kolców. Podobnie jak przykłady udanych inwestycji, tak i te dotyczące np. źle przeprowadzonych procesów prywatyzacyjnych można mnożyć. Konkurencja zagranicznych firm z polskimi nie jest co do zasady problemem dopóty, dopóki jest to konkurencja na równych zasadach. Tak niestety nie zawsze było. Choćby w handlu, gdzie niektóre duże zagraniczne sieci supermarketów (Lidl i Kaufland) otrzymały od Banku Światowego oraz Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju preferencyjne kredyty o wartości prawie 1 mld dol. na rozwój placówek w Polsce, a także w innych krajach naszego regionu – oficjalnie w celu m.in. udostępnienia najuboższym zdrowej żywności. Kontrowersyjne jest także udzielanie różnego rodzaju preferencji obcemu kapitałowi. Szkodzi ono konkurencji, gdyż to, co jest przywilejem dla jednych, upośledza drugich. Tak wygląda to np. w przypadku specjalnych stref ekonomicznych, często przyciągających zagraniczne firmy, traktowane – to już problem często mentalny urzędników – bardziej poważnie niż firmy krajowe. Słusznie poseł Soboń wskazuje na problemy związane z potencjalnym wyprowadzaniem zysków w celu zapłacenia niższych podatków poprzez zawyżanie wydatków za usługi doradcze świadczone przez zagraniczne spółki matki oraz opłat licencyjnych. Jednak nie zawsze mamy tutaj do czynienia z wykorzystaniem kruczków prawnych.

Czasem jednak mamy i tego typu dziury należy łatać. Rozpoczynanie jednak nagonki na „obcy kapitał" byłoby wyrazem politycznej schizofrenii. Z jednej strony rząd się chwali, jak to jest pozytywnie postrzegany przez inwestorów, Polska Agencja Inwestycji i Handlu stara się wspierać obcokrajowców chcących u nas lokować swoje środki, z drugiej pojawiają się głosy, jakobyśmy byli „drenowani". Tymczasem na zagranicznych inwestycjach nasza gospodarka głównie korzysta, a to, co powinniśmy robić, to starać się przyciągać zwłaszcza te, które chcą osiedlić się u nas na dłużej. I podchodzić do tematu bez kompleksów, bo czas, w którym musieliśmy polować na inwestorów, już minął.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl 132a84d606

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Nie da się? Czy jednak się da?

Przez wiele lat (28?) nie dawało się uszczelnić systemu podatkowego, czyli pogonić kota złodziejom grabiącym kasę państwa. Wmawiali to – wprost lub nie wprost – wszyscy ministrowie finansów III RP. A w każdym razie taki był efekt zagrzewania przez nich ministerialnego fotela. I nagle to, czego nie dawało się zrobić przez ponad ćwierć wieku, co było „niewykonalne", niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stało się „wykonalne". Chociaż z odtrąbieniem sukcesu trzeba poczekać, bo poziom „wykonalności niewykonalnego" nie jest w pełni znany.

Podobnie jak nie jest na razie w pełni znany poziom „wykonalności" innego, wcześniej „całkowicie niewykonalnego" konceptu, którym jest dziś „wykonalny" program „Rodzina 500+". Poziom „wykonalności", czyli odpowiedź na dwa pytania: „Czy będzie wystarczać nań pieniędzy?" i „Czy program zaprowadzi nas do założonego celu: zapobieżenia katastrofie demograficznej?".

A to przecież dalece nie wszystkie, do tej pory „niewykonalne" projekty, które zaczynają wchodzić w stan „wykonalności". Okazało się np., że jednak „da się" przygotować ustawę reprywatyzacyjną, która – jeśli wejdzie w życie – pozwoli uporać się z niechlubnym spadkiem po PRL i przy okazji położyć kres dzikiej reprywatyzacji. A już wcześniej okazało się, że „da się", i to żwawym krokiem, zmierzać do uwolnienia Polski od fatalnej i kosztownej zależności gazowej (oraz naftowej) od Rosji. Planowane zwiększenie pojemności świnoujskiego gazoportu i budowa Baltic Pipe – jeśli się powiodą – są do tego prostą drogą.

Dalej: okazało się też, że jeśli już trwać przy armii wyłącznie zawodowej, to koszmarny „niewypał" w postaci mających ją wspierać Narodowych Sił Rezerwowych, które bezskutecznie próbował utworzyć rząd Tuska, można zamienić w „wypał", jakim są tworzone przez rząd Szydło Wojska Obrony Terytorialnej.

Ba, pisząc o niegdyś „niewykonalnych", a dziś „coraz bardziej wykonalnych" zamysłach, nawet nie warto wspominać o takich „drobiazgach" jak uniemożliwienie odbierania dzieci rodzicom ze względu na biedę, skłonienie alimentacyjnych dłużników do spłacenia zobowiązań wobec swych dzieci czy stworzenie właśnie sporządzanego rejestru skazanych pedofilów wraz z ich fotografiami i aktualnym miejscem pobytu.

Wszelako, zgodnie z elementarną zasadą „Nie chwal dnia przed zachodem słońca", wyraźnie zastrzegam: z ostateczną oceną powodzenia większości z przechodzących z naturalnego dla „imposybilizmu" III RP stanu „niewykonalności" w stan „wykonalności" trzeba poczekać. Oby jednak jak najkrócej. A ponadto wszystko byłoby ładnie, pięknie, gdyby przy okazji w stan „wykonalności" nie weszły też – prawem serii – tak złe pomysły jak obniżenie wieku emerytalnego, zmiany w służbie zdrowia i na rynku aptekarskim czy zakazem pracy w handlu w niedzielę. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Wieczne miasta, śmiertelne firmy

Zarówno miasto, jak i firma są formą organizacji grupy ludzi, chociaż w zupełnie różnych celach. Firma funkcjonuje, by wykorzystując ekonomię skali i minimalizację kosztów transakcyjnych osiągnąć jak największy zysk. Tak przynajmniej twierdzą ekonomiści. Celem funkcjonowania miasta jest… No właśnie, można się spierać, ale chyba po prostu wysoka jakość życia mieszkańców. Firmy mają właścicieli i zarządy, które podejmują strategiczne decyzje. Miasta nie mają właścicieli, w zasadzie każdy mieszkaniec jest właścicielem kawałeczka miasta, co może przypominać firmę mającą wyłącznie drobnych akcjonariuszy, którzy kupą mogą coś przegłosować, ale osobno nic nie znaczą. Miasto również ma zarząd (radę) i prezydenta, który dysponuje budżetem miasta, ale nie w takim sensie jak firma. Wiele form działalności miasta jest planowanych i kontrolowanych przez inne ośrodki „władzy": np. przez kapitał prywatny, który jest właścicielem firm, wielu uczelni i miejsc rozrywki, przez organizacje społeczności lokalnych itd. Rozwój miasta nie jest wynikiem decyzji zarządu miasta, ale efektem wielowymiarowych sieciowych decyzji podejmowanych przez różne ośrodki miejskie.

Prawie wszystkie długowieczne firmy to małe lokalne biznesy

Do czego zmierzam? Otóż ponad połowa firm notowanych na giełdach umiera po upływie 10 lat, 99 proc. zaś po upływie 100 lat. A tymczasem nie ma w historii ludzkości zbyt wielu przykładów całkowitej śmierci miasta, wiele z nich trwa zaś od setek czy tysięcy lat, a nawet przetrwało ogromne szoki, czego przykładem jest Warszawa lub Hiroszima. Co prawda była jedna mała firma rodzinna w Japonii, która budowała świątynie i funkcjonowała od 1,5 tys. lat, ale dekadę temu zbankrutowała, jako wyjątek potwierdzający regułę, że miasta są wieczne, a firmy umierają bardzo szybko. Zresztą prawie wszystkie długowieczne firmy (z których połowa jest w Japonii) to głównie małe lokalne biznesy, takie jak zakład szewca czy restauracja.

Rodzi się pytanie, dlaczego dwie formy organizacji życia grup ludzi mają tak radykalnie różne cechy dotyczące podstawowej kwestii: śmierci. I czy jest możliwe stworzenie nowego modelu firmy, który oferowałby nieśmiertelność i skalę działania firmom takie, jakie mają miasta? Czy może powstać firma, która będzie miała kilka milionów pracowników, wiele centrów władzy, sieciowy model zarządzania i rosnącą wraz ze skalą działalności różnorodność produktów i usług? I czy nazywa się ona Alphabet Inc.? ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 132a84d606

FerPay.com®
PRZELEWY BEZ GRANIC

jedna z najstarszych polskich firm finansowych

dla Polonii na całym świecie

inwestorzy.tv
polecają

PRZELEWY MIĘDZYNARODOWE | KANTOR WYMIANY WALUT | PORTMONETKA WALUTOWA

Najwyższe standardy bezpieczeństwa Twoich finansów.

FCA | ico. Information Commissioner's Office | 100% SECURE | GeoTrust

Od ponad 6 lat wspieramy Polonię za granicą. Każdego roku przelewamy miliardy z Polski do każdego zakątka na świecie.

Zaufało nam już blisko 100 tysięcy klientów, którzy cenią sobie bezpieczeństwo transakcji i usługi dopasowane do ich potrzeb.

„Bezproblemowo rozliczam się z kontrahentami międzynarodowymi. Dzięki przelewom z Polski do UK, które w Ferpay są całkowicie darmowe oszczędziłem już kilkadziesiąt tysięcy złotych."

Krzysztof,
polski przedsiębiorca z Podlasia

„Gdy rozpoczęłam studia w Londynie okazało się, że za każdy przelew z Polski do UK moi rodzice musieli płacić astronomiczne prowizje bankowe. Znajomi polecili mi Ferpay, dzięki któremu wysyłka środków nie tylko jest darmowa, ale także bardzo szybka."

Agnieszka,
od 3 lat studiuje w Wielkiej Brytanii

„Utarło się, że to Polonia zagranicą przesyła do kraju pieniądze. Nie zawsze jednak to jest takie oczywiste. Wiele rodzin nadal wspiera swoich krewnych, którzy wyjechali z Polski. Cieszę się, że mam możliwość pomóc rodzine finansowo i nie muszę nic płacić za przelew."

Danuta,
wspiera rodzinę za granicą

www.FerPay.com *dumnie wspierane przez* WOLFS FUNDUSZ PRIVATE EQUITY

eprasa.pl 132a84d606

TEST „DO RZECZY": TRACKBALL LOGITECH MX ERGO

Wygodna ergonomiczna konstrukcja, precyzyjnie działająca kulka oraz mnóstwo dodatkowych programowalnych przycisków – to największe zalety nowego trackballa Logitecha.

Niszowy w dzisiejszych czasach gadżet nazywany żartobliwie „kotem" to urządzenie, które istniało na długo, zanim na rynku pojawiły się pierwsze myszki komputerowe. W najnowszej wersji jest jednak na tyle wygodny, że z powodzeniem mógłby wygryźć z biurek tradycyjne gryzonie.

Trackball Logitecha jest bowiem zaskakująco wygodny w użyciu. Duża konstrukcja pozwala na komfortowe oparcie dłoni. Według Logitecha gadżet zapewnia o jedną piątą mniejsze obciążenie mięśni w porównaniu ze zwykłą myszą. Nie trzeba bowiem ruszać samym urządzeniem – kursorem na ekranie sterujemy jedynie kulką, która pozwala na szybką i dokładną pracę.

Znajdujący się obok niej przycisk pozwala na wybór trybu pracy: albo kursor porusza się bardzo szybko, albo wolniej, ale za to bardziej precyzyjnie. Tak jak każda mysz kot również wyposażony jest w kółko przewijania, a także w programowalne przyciski dodatkowe.

Trackball umożliwia również jednoczesną pracę na dwóch komputerach, w tym kopiowanie i wklejanie tekstów, obrazów oraz plików między urządzeniami. Tego typu gadżet sprawdzi się nie tylko w biurach, lecz także np. podczas służbowej podróży samolotem czy pociągiem oraz wszędzie tam, gdzie nie ma zbyt wiele miejsca, aby wygodnie posłużyć się tradycyjną myszą.

To także dobre urządzenie dla osób, które spędzają przy komputerze całe dnie i którym szczególnie zależy na ergonomii pracy. Nie polecałbym jednak trackballa graczom komputerowym – tu wygodniejsza będzie jednak tradycyjna mysz, a zwłaszcza gryzonie przeznaczone specjalnie dla miłośników gier.

Inne wady? Po pierwsze, urządzenie nie ma wersji dla leworęcznych. Po drugie, tworzywo, którym jest pokryty TrackBall, bardzo łatwo zbiera odciski palców, brud i kurz. Po trzecie, jest to bardzo drogi gadżet. Trackball Logitech MX Ergo kosztuje bowiem aż 449 zł.

Jacek Przybylski

ALTERNATYWNY RODZIC

Jasne, dzieci są największym szczęściem, naszą nadzieją, przyszłością i w ogóle. Będą pracować na nasze emerytury, lekarzy, zagraniczne wycieczki etc. Tyle propagandy. A fakty są takie, że coraz trudniej jest godzić rodzicielstwo z wymogami pracy zawodowej. I coraz trudniej – w dobie wyścigu szczurów – zdecydować, czy porzucimy (i na jak długo) świetnie rozwijającą się karierę, by zabawiać malucha, wreszcie czy już nieco podrośnięty bobas pozwoli nam chociaż na chwilę do tej pracy powrócić. Twórcy Woobo dają taką szansę. Przynajmniej na kilka chwil w ciągu dnia. W jaki sposób? Przygotowana przez nich zabawka to inteligentny robot mający zainspirować twórczo i kreatywnie maluchy. Przetłumaczmy z języka reklamowego na ludzki: po prostu sprawić, by przez chwilę były cicho. Jak? Dzięki „sztucznej inteligencji" zabawka będzie opowiadała – w odpowiednim momencie – dziecku bajki, będzie reagować na stany emocjonalne pociechy. Woobo działa na zasadzie tabletu do nauki ukrytego w zabawce, dostarczając dziecku ponad 40 różnych rodzajów aktywności, które zostały dobrane z myślą o rozwoju dziecka, zachęcając je do działania. Gadżet ma np. sporą bibliotekę piosenek dla dzieci (wszystkie zapraszają do poznawania świata), uczy także dzieci nowych umiejętności, np. składania samolotu z papieru, podstawowych zabaw z origami, kreuje zabawy w wyprawy do dżungli lub w głąb oceanu. W tym ostatnim przypadku zachęcałbym jednak rodziców do zajrzenia w głąb pralki przed jej uruchomieniem. Zabawka kosztuje ok. 350 zł.

INTELIGENTNY SZEJKER

Z jednej strony jesteśmy bombardowani publikacjami, które przekonują nas, że owoce i warzywa to samo zdrowie. OK, przyjmuję na wiarę, choć mam wątpliwości co do tego, jak coś, co nie jest mięsem, może być w ogóle zjadliwe. Z drugiej strony z podobnym natężeniem pojawiają się publikacje przestrzegające przed owocowymi koktajlami z uwagi na dużą zawartość cukru. Uwaga – ponoć jest jednak złoty środek: NutriBullet Balance, czyli blender z licznikiem kalorii. Oczywiście wszystko odbywa się dzięki połączeniu ze smartfonem i specjalnej aplikacji, która – po wrzuceniu choćby kawałka jabłka, banana, śliwki etc. – natychmiast zlicza kalorie oraz, co chyba ważniejsze, wartości odżywcze. Ciekawostką jest to, że program pomaga nam przygotować koktajl w zależności od naszych, wcześniej zaprogramowanych, dietetycznych potrzeb; uwzględniając dane odżywcze, proponuje dodanie składnika w takiej, a nie innej ilości. Mogą być niespodzianki, bo mając ochotę na koktajl np. bananowo-marchewkowy, nagle aplikacja zaproponuje, by uzupełnić go np. mandarynkami albo dodać zupełnie inne owoce. Poziom „miksu" składników też dostosowywany jest automatycznie do konkretnego koktajlu. Wybór jest spory – w biblioteczce aplikacji umieszczono 300 przepisów. Cena to ok. 700 zł. ***Wojciech Wybranowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 132a84d606

Tworzymy wartość Twojego portfela

Dla naszych Klientów największą wartość mają zaufanie, wiarygodność i bezpieczeństwo. Od blisko stu lat, z największą precyzją, produkujemy banknoty i zabezpieczone dokumenty.

Dynamicznie dostosowujemy się do potrzeb każdego z naszych kontrahentów, wykorzystujemy najnowocześniejsze technologie i wciąż rozwijamy nowe kompetencje.

Dostarczamy rozwiązania IT związane z wydawaniem i rejestrowaniem dokumentów oraz zajmujemy się systemami obsługującymi transakcje dokonywane za pomocą kart płatniczych.

Patrząc w przyszłość, nie zapominamy o tradycyjnie najważniejszych wartościach – solidności i wiarygodności. Z największą troską chronimy dane nie tylko naszych Klientów, ale wszystkich obywateli.

DOSTAWCA TOŻSAMOŚCI CYFROWEJ

PRODUCENT BANKNOTÓW, DOKUMENTÓW I KART PŁATNICZYCH

www.pwpw.pl

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl 132a84d606

Katarzyna Pinkosz

Umknąć przed zawałem

FOT. FOTOLIA

W pierwszym kwartale zmarło w Polsce o 10 proc. osób więcej niż przed rokiem. W większości były to osoby z chorobami serca. Czeka nas powtórka?

Jednym z powodów tego niespotykanego wzrostu liczby zgonów był smog. Co zanieczyszczenie powietrza ma do chorób serca? To samo co palenie papierosów. Drobne pyły PM 2,5, o wielkości jednej trzydziestej grubości ludzkiego włosa, są w stanie przeniknąć z pęcherzyków płucnych do krwi. – Sprzyjają rozwojowi miażdżycy. W naczyniu krwionośnym może pęknąć blaszka miażdżycowa, co powoduje zawał serca lub udar mózgu – mówi dr Piotr Dąbrowiecki z Wojskowego Instytutu Medycznego. Zanieczyszczenie powietrza to tylko jeden z niekorzystnych czynników, na które narażamy nasze serce. Zimą było ono kropką nad i – stąd nagły wzrost liczby zgonów.

Chociaż najbardziej obawiamy się raka, to właśnie choroby serca są wciąż pierwszą przyczyną przedwczesnych zgonów. Z ich powodu umiera co roku w Polsce 170 tys. osób – to aż 46 proc. wszystkich zgonów. 80–90 tys. Polaków ma zawał, a 16–17 tys. z jego powodu umiera.

BLASZKI W NACZYNIACH

Zawał zwykle jest spowodowany niedokrwieniem serca, ono zaś zwężeniem tętnic wieńcowych zaopatrujących serce w krew. W ścianie naczynia krwionośnego gromadzi się cholesterol, powstaje blaszka miażdżycowa, przez co stopniowo zwęża się światło naczynia. Blaszka powiększa się, włóknieje, wapnieje. Przepływ krwi przez naczynie krwionośne jest coraz trudniejszy. Bywa też tak, że blaszka pęka, odrywa się od ściany tętnicy i całkiem uniemożliwia przepływ krwi. Zatamować ją może też zakrzep powstający na powierzchni blaszki. Komórki mięśnia sercowego pozbawione dopływu krwi obumierają i pojawia się zawał.

Chociaż zawał dopada człowieka nagle, to „pracuje się" na niego przez wiele lat. Blaszki miażdżycowe mogą zacząć się tworzyć już w dzieciństwie.

Są osoby genetycznie predysponowane do wystąpienia chorób serca, jednak nawet 70 proc. z nich można by zapobiec, gdyby zmienić tryb życia. Serce chronią: aktywność fizyczna (tak jak każdy mięsień ono również potrzebuje treningu), zdrowe odżywianie (obecnie uważa się, że optymalna jest dieta zbliżona do śródziemnomorskiej, zawierająca dużą ilość warzyw, owoców, oleje roślinne, chude mięso, ryby), a przede wszystkim niepalenie papierosów.

Chociaż zasady są proste, to najtrudniej zmienić własne przyzwyczajenia. W Polsce zawały serca występują o 50 proc. częściej niż w Wielkiej Brytanii czy Danii – wciąż mniej się ruszamy, jemy zbyt tłusto i za słono, przez co sami narażamy się na nadwagę, nadciśnienie i zbyt wysoki poziom cholesterolu. – Profilaktyka to działanie najbardziej efektywne. Niestety, także najbardziej dokuczliwe dla pacjentów, bo okazuje się, że nie można zjeść tyle czekolady, ile by się chciało, palić papierosów, nadużywać alkoholu. Warto budować taką świadomość: „Nie dogadzam sobie teraz, by mając lat 70, cieszyć się zdrowiem" – mówi prof. Piotr Hoffman z warszawskiego Instytutu Kardiologii.

ZAPOBIEC POWTÓRCE

Dzięki bardzo dobrej opiece (świetnie rozwinięta sieć ośrodków kardiologii interwencyjnej) zawały serca w Polsce leczy się dziś tak samo skutecznie jak np. w Niemczech. Niestety, sukcesy kardiologów interwencyjnych często są marnowane. Z jednej strony to wina złej organizacji systemu ochrony zdrowia: pacjenci zbyt długo czekają na wizytę u kardiologa, brakuje specjalistycznej rehabilitacji kardiologicznej. Z drugiej strony chory po wyleczeniu zawału często czuje się tak dobrze, że uważa, iż nic nie musi w swoim życiu zmieniać.

Tymczasem po zawale ryzyko kolejnego incydentu sercowo-naczyniowego jest znacznie większe. Dlatego konieczne jest stosowanie się do zaleceń lekarza, regularne przyjmowanie leków, obniżanie krzepliwości krwi przez przyjmowanie niskich dawek kwasu acetylosalicylowego zmniejszających ryzyko kolejnych incydentów niedokrwienia. Stosuje się go również w świeżym zawale serca lub w jego podejrzeniu w dawce większej (300 mg) od profilaktycznej. Lekarz zaleca przyjmowanie konkretnych leków o określonych porach ze względu na ich właściwości farmakologiczne.

Osoba po zawale często wraca do poprzedniego trybu życia, tymczasem przebyty zawał to ostatni sygnał alarmowy. O uszkodzone serce trzeba wyjątkowo dbać. Kardiolodzy zalecają, by po zawale stosować pięć podstawowych zasad (tzw. regułę 5C): kontrolować poziom cholesterolu, ciśnienie, cukier, utrzymywać czynność spoczynkową serca poniżej 60 uderzeń na minutę oraz dbać o czyste powietrze wokół siebie. Czyli starać się nie wychodzić z domu, jeśli powietrze jest mocno zanieczyszczone, a przede wszystkim nie palić papierosów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 132a84d606

Acard®

Acidum acetylsalicylicum

Nie trzeba słów, żeby wiedzieć, że to Acard.

UNIKATOWY KSZTAŁT

Polski lek, który **chroni** przed **zawałem** serca i **udarem** niedokrwiennym mózgu*. **Wystarczy 1 tabletka na dobę.**

Więcej informacji znajdziesz na stronie www.acard.pl

Acard. Skład i postać: Jedna tabletka dojelitowa zawiera 75 mg kwasu acetylosalicylowego. **Wskazania:** Choroba niedokrwienna serca oraz wszelkie sytuacje kliniczne, w których celowe jest hamowanie agregacji płytek krwi: zapobieganie zawałowi serca u osób dużego ryzyka, świeży zawał serca lub podejrzenie świeżego zawału serca, niestabilna choroba wieńcowa, prewencja wtórna u osób po przebytym zawale serca, stan po wszczepieniu pomostów aortalno-wieńcowych, angioplastyce wieńcowej, zapobieganie napadom przejściowego niedokrwienia mózgu (TIA) i niedokrwiennego udaru mózgu u pacjentów z TIA, po przebytym udarze niedokrwiennym mózgu u pacjentów z TIA; u osób z zarostową miażdżycą tętnic obwodowych, zapobieganie zakrzepicy naczyń wieńcowych u pacjentów z mnogimi czynnikami ryzyka, zapobieganie zakrzepicy żylnej i zatorowi płuc u pacjentów długotrwale unieruchomionych, np. po dużych zabiegach chirurgicznych jako uzupełnienie innych sposobów profilaktyki. **Przeciwwskazania:** Produktu Acard nie należy stosować: w przypadku nadwrażliwości na substancję czynną – kwas acetylosalicylowy, inne salicylany lub którąkolwiek substancję pomocniczą leku; u pacjentów ze skazą krwotoczną; u pacjentów z czynną chorobą wrzodową żołądka i (lub) dwunastnicy; u pacjentów z ciężką niewydolnością nerek; u pacjentów z ciężką niewydolnością wątroby; u pacjentów z napadami tzw. astmy aspirynowej w wywiadzie, wywołanymi podaniem salicylanów lub substancji o podobnym działaniu, szczególnie niesteroidowych leków przeciwzapalnych; jednocześnie z metotreksatem w dawkach 15 mg na tydzień lub większych; w ostatnim trymestrze ciąży; u dzieci w wieku do 12 lat w przebiegu infekcji wirusowych ze względu na ryzyko wystąpienia zespołu Reye'a – rzadko występującej, ale ciężkiej choroby powodującej uszkodzenie wątroby i mózgu. **Podmiot odpowiedzialny:** Polfa Warszawa S.A. Dodatkowych informacji o leku udziela: Polpharma Biuro Handlowe Sp. z o.o., ul. Bobrowiecka 6, 00-728 Warszawa, tel. +48 22 364 61 00; faks: +48 22 364 61 02. www.polpharma.pl. ChPL: 2017.05.31.

* Acard wskazany jest m.in.: w zapobieganiu zawałowi serca u osób dużego ryzyka; w prewencji wtórnej po przebytym zawale serca; w zapobieganiu napadom przejściowego niedokrwienia mózgu (TIA) i niedokrwiennego udaru mózgu u pacjentów z TIA; po przebytym udarze niedokrwiennym mózgu u pacjentów z TIA.

Polfa Warszawa S.A.
GRUPA
polpharma

Polpharma Biuro Handlowe Sp. z o.o.
ul. Bobrowiecka 6, 00-728 Warszawa
tel.: +48 22 364 61 00, fax: +48 22 364 61 02
www.polpharma.pl

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.

ACRD/478/06-2017

eprasa.pl 132a84d606

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Hubertusa czas zacząć

Nadszedł czas, aby przygotować się na święto myśliwych i jeźdźców zwane hubertusem, obchodzone 3 listopada, ale dziś organizowane od października do grudnia. Hubert, człowiek znany z hulaszczego trybu życia i polowań, w 695 r. ujrzał jelenia z krzyżem na porożu. Zwierzę przemówiło ludzkim głosem, wzywając go do opamiętania. I od tego czasu Hubert, zwany później świętym, poświęcił się służbie Bożej.

W Polsce zwyczaj obchodzenia tego święta, nazywany hubertowinami lub hubertusem, pojawił się dopiero w XIX w., choć zapewne celebrowali je już nasi królowie z dynastii Wettynów będący zapalonymi myśliwymi. Najwspanialsze hubertusy urządzano przed wojną – w Spale, w letniej rezydencji prezydentów, 3 listopada każdego roku. A także w pułkach jazdy i artylerii konnej. Jak podaje Grzegorz Cydzik służący w 13. Pułku Ułanów Wileńskich, głównymi atrakcjami były: „bieg myśliwski za lisem, bigos w polu dobrze podlany maciejówką, a wieczorem bal w kasynie". Uczestniczyli w nim dowódcy pułku, a także goście – oficerowie rezerwy i ziemianie. Trasa biegu była trudna, niejeden jeździec miałby dziś problem z jej pokonaniem, bo chociaż liczyła zaledwie 5–6 km, przebiegała przez ciężki teren. Urozmaicona była wjazdami i zjazdami po urwistych zboczach, przejazdami przez przeszkody wodne oraz skokami. W 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich wzorowano ją na biegach urządzanych na kawaleryjskich zawodach Militari. W 17. Pułku na koniec szczuto przez sforę psów prawdziwego lisa. W 1. Dywizjonie Artylerii Konnej w Górze Kalwarii organizowano bieg przez przeszkody, a dopiero na koniec wyścig do kity uwiązanej do zatkniętej w ziemię lancy.

Dzisiaj większość hubertusów to zwykła gonitwa po łączce. Kiedyś ceremoniał był bardziej rozbudowany. Masterem, czyli szefem biegu, zostawał zwykle dowódca pułku, a lisem był jeden z młodszych oficerów. Na początku master powadził całą grupę jego śladem, wybierając trasę i nadając tempo (żaden z uczestników nie miał prawa go wyprzedzić). Dopiero na koniec, kiedy jeźdźcy docierali na specjalnie wybraną polanę, wydawał okrzyk: „Halali!" powtórzony przez trębacza. Zaczynał się wyścig – jeźdźcy mogli dowolnie ścigać lisa, aby zerwać zwieszający się z jego ramienia ogon. Po biegu zaś zaczynała się najbardziej adekwatna do tematu felietonu część uroczystości – poczęstunek.

Prawie zawsze uczestnicy dostawali bigos i coś mocniejszego. W 13. Pułku – jak pisze Cydzik – „bigos przyrządzony przez Onufrego, kuchmistrza kasyna, był arcydziełem gastronomicznym, a przygotowywał go chyba przez dwa albo trzy tygodnie. Codziennie go podgrzewał, dodawał coraz to innego rodzaju mięsa i przypraw i odstawiał do ostygnięcia. W bigosie było pół na pół mięsa i kapusty, kolor miał mahoniowy, a przed wydaniem doprawiany był czerwonym winem". Jego smak świetnie podnosiły maciejówka i inne obficie wydzielane trunki. U artylerzystów z Góry Kalwarii podawano np. żubrówkę, jarzębiak i przepalankę. Hubertus kończył się balem w koszarach. Co tam było na stołach! Jak podaje Witold Milewski: kilka gatunków ryb, śledziki, zimne mięsa, dziczyzna i ptactwo, stosy wędlin, prosiak z chrzanem w zębach, a do tego grzybki, ogóreczki, barszcz czerwony z pasztecikami na zakąski i oczywiście hubertusowski bigos. ©℗

FOT. FOTOLIA

Bigos na hubertusa

Bierzemy 2 kg przerośniętej wieprzowiny, gotujemy, aż powstanie rosół, zalewamy nim kilka kilogramów kiszonej kapusty. Dorzucamy trochę wieprzowej słoniny pokrojonej w kostkę. Wstawiamy na mały ogień – niech się gotuje. Mięso z rosołu kroimy w kostkę, a kiedy kapusta już się podgotuje, wrzucamy je do bigosu. Na patelni podgrzewamy kilka łyżek masła, dorzucamy dwie lub trzy łyżki mąki, dolewamy trochę sosu z kapusty, a potem wlewamy do bigosu i mieszamy. Na tej samej patelni podsmażamy pociętą w kostkę kiełbasę myśliwską i dodajemy do potrawy. Im dłużej będziemy gotować bigos, tym lepiej. Możemy też po zagotowaniu odstawić go w chłodne miejsce, aby ostygł, a potem podgrzać jeszcze raz, dorzucając dodatkowe kawałki mięsa. Dobrymi dodatkami są: suszone śliwki i grzyby, kilka liści laurowych i ziarna ziela angielskiego. Na pół godziny przed podaniem przyprawiamy bigos łyżeczką kminku, łyżeczką majeranku oraz solą i pieprzem.

eprasa.pl 132a84d606

SZYBKA PIŁKA OD ARTURA SIÓDMIAKA

Jestem dość zabieganym i zajętym człowiekiem, ale staram się znajdować czas na gotowanie. Tym bardziej że potrafię to robić. Przygotowuję praktycznie wszystko z wyjątkiem ciast i deserów. Ich nie potrafię przygotować, ale prawda jest taka, że nigdy tego nie próbowałem.

Szczególnie dobrze wychodzą mi potrawy kuchni chińskiej, tajskiej, generalnie azjatyckiej, ale dobrze się też czuję w kuchni włoskiej, np. w przyrządzaniu makaronów. Co do przepisów – opieram się na jakichś schematach, ale lubię z nimi eksperymentować. Z kuchni polskiej uwielbiam tradycyjne zupy: rosół, pomidorową, warzywną, grzybową, ale zdarza mi się robić bardziej wyszukane dania z mięsem królika czy – jak ostatnio – gęsi.

Jednak na takie potrawy muszę mieć czas, a gdy go brakuje, bardzo fajnym pomysłem na szybki obiad jest carbonara. W Polsce niektórzy dodają do sosu śmietanę, ja przygotowuję wersję bez niej, którą polecam.

Składniki:

- makaron penne
- boczek
- cebula
- czosnek
- pieprz, sól
- parmezan
- jaja
- opcjonalnie: szynka, grzyby, pietruszka lub rukola

Przygotowanie:

Boczek kroimy i podsmażamy z czosnkiem i cebulą. Można dodać grzyby (np. kurki) lub jakąś szynkę, ja dodaję więcej boczku. W tym samym czasie gotujemy makaron, by był al dente. Wrzucamy do smażonego boczku, wbijamy jaja (dwa–trzy, w zależności od ilości makaronu i boczku oraz swoich kulinarnych preferencji), dorzucamy też parmezan, dodajemy pieprzu i soli do smaku, czekamy, aż całość się zetnie. Przed podaniem możemy posypać z wierzchu pietruszką lub rukolą. ©℗

Artur Siódmiak – piłkarz ręczny, w polskiej kadrze rozegrał 133 oficjalne mecze międzypaństwowe, zdobył 102 gole.

oprac. raw

FOT. PIOTR BŁAWICKI/DOTYN/EAST NEWS

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Nowa Jadłonomia

Kuchnia roślinna nie pochodzi z żadnego konkretnego kontynentu ani kraju, jest wszędzie taka sama, jak wszędzie są stragany i bazary z warzywami. […] te przepisy otwierają oczy na niespotykane dotąd połączenia i pozwalają na nowo odkryć dobrze znane warzywa. Nielubiane warzywa mogą okazać się przepyszne, jeśli da im się szansę i przyprawi inaczej niż zwykle" – pisze Marta Dymek we wstępie do „Nowej Jadłonomii".

Mając właśnie za sobą pobyt na Sri Lance, podpisuję się pod tymi słowami. Wprawdzie moje doświadczenia kulinarne były tylko turystyczne, ale w hotelach lankijscy kucharze przyrządzali właśnie te lokalne przysmaki, które znają najlepiej. A my, próbując potraw z glinianych naczyń, usiłowaliśmy zgadnąć, co za warzywo zostało użyte w tym czy innym przepisie. Kuchnia była bowiem przeważnie wegetariańska. I ze zdumieniem dowiadywaliśmy się, że był to zwykły kartofel czy burak.

Marta Dymek, pisząc swoje „Roślinne przepisy z całego świata", odbyła podróż. Zwiedziła Wietnam, Tajlandię, Indie, Koreę, Maroko i Kalifornię. Próbowała setek rzeczy, spędzała dnie na bazarach, notowała inspirujące połączenia, spotykała się z miejscowymi kucharzami i gospodyniami. „Aż nagle po miesiącu zrozumiałam, że muszę napisać o roślinnych przepisach z całego świata" – pisze.

Doceniając smak polskiej kuchni, musimy stwierdzić, że jej pomysłowość w przygotowaniu warzyw nie jest porywająca. Zapewne wynika to z małej ich dostępności – kiedyś w zimie poza kapustą, cebulą, marchwią i burakami niewiele było. Teraz to się zmieniło, więc korzystajmy.

MARTA DYMEK „NOWA JADŁONOMIA. ROŚLINNE PRZEPISY Z CAŁEGO ŚWIATA" MARGINESY 2017

Kapusta doprawiona wiórkami kokosowymi, kurkumą, kuminem, chili, czosnkiem i gorczycą (przepis z Kerali w południowych Indiach) wielbicieli bigosu może zaskoczyć, ale zmieni kawałek zwyczajnej kapusty w delikatną potrawkę. Kimchi, podobno najzdrowsza potrawa świata, wymaga wprawdzie wyprawy po grzyby shitake, ale warto. Ziemniaki z Bombaju – z kuminem, gorczycą, kolendrą, kurkumą oraz chili – danie proste i egzotyczne zarazem.

Kto się boi pójść na całość, ten niech zadowoli się kotletami grzybowymi taką przejściówką między tym, co znane, a tym, co nowe. Z rzeczy bardziej swojskich: przepis na barszcz ukraiński uważam za naprawdę wspaniały – znajome Ukrainki potwierdzają, że jest zgodny z regułami sztuki. Polecam domowy bulion w proszku. W sytuacji, kiedy komercyjne kostki rosołowe zawierają wszystko oprócz rosołu, zrobienie takiej domowej podstawy do zup okaże się bardzo pożyteczne.

Jedzmy rośliny, bądźmy zdrowi. ©℗

eprasa.pl 132a84d606

NASZ TEST: VW GOLF R VARIANT

Rodzinna rakieta. Tak najkrócej można opisać usportowionego Golfa w wersji Variant, czyli jako praktyczne, ale i bardzo dynamiczne kombi. Sportowe zderzaki, reflektory LED, srebrne lusterka boczne oraz emblemat R na grillu sprawiają, że najmocniejszy Golf kombi od przodu prezentuje się bardzo dobrze. Niestety, tył prezentuje się już typowo dla wielu modeli z Wolfsburga, czyli dość niepozornie. Innymi słowy – auto wygląda tak, jakby przód projektował utalentowany Włoch, a tył Niemiec – pragmatyczny, lecz całkowicie pozbawiony miłości do piękna. To auto najlepiej prezentuje się jednak podczas dynamicznej jazdy. Potrafi dać wówczas sporo radości kierowcy.

W KABINIE

Wykończone wysokiej jakości materiałami przestronne wnętrze obfituje w sportowe akcenty, takie jak aluminiowe nakładki na pedały czy ścięta u dołu kierownica. Centralne miejsce na desce rozdzielczej zajmuje 9,2-calowy kolorowy ekran dotykowy, za pomocą którego steruje się nawigacją, obsługuje system multimedialny lub odczytuje dane dotyczące samochodu.

Wygodne, podgrzewane fotele dobrze podpierają ciało podczas szybkiej jazdy po krętych odcinkach. Na tylnej kanapie miejsca na nogi i nad głową jest wystarczająco nawet dla wysokich pasażerów. Na niewystarczającą przestrzeń na nogi narzekać może jednak osoba podróżująca na środku. Świetne wrażenie robi też duży, otwierany szyberdach.

Spory bagażnik o pojemności 605 l może pomieścić zarówno lotnicze walizki, jak i dużych rozmiarów kudłatego najlepszego przyjaciela człowieka. Po rozłożeniu siedzeń pojemność kufra wzrasta zaś aż do 1620 l. Nieźle.

JAZDA

Dwulitrowy silnik o mocy 310 KM pozwala rozpędzić się do setki w zaledwie 4,8 s. Przy włączonym trybie jazdy rajdowej (Race)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

– w którym w kabinie rozlega się głośno przyjemny, choć rzecz jasna sztuczny dźwięk silnika – wrażenia z szybkiego startu są niezwykłe.

Auto z napędem na wszystkie łapy świetnie trzyma się drogi. Precyzyjny układ kierowniczy sprawia zaś, że również pokonywanie górskich serpentyn daje kierowcy sporo radości. Mimo dość sztywnego zawieszenia auto dobrze radzi sobie z tłumieniem drogowych nierówności, dzięki czemu usportowiony Golf może bez problemu pełnić funkcję samochodu rodzinnego. Golf R Variant dobrze prowadzi się również na autostradach. Prędkość maksymalna wynosi 250 km/godz. Do wyboru poza trybem Race są zaś również tryby Normalny, Komfortowy, Eko oraz Indywidualny. Trudno przyczepić się też do automatycznej skrzyni biegów DSG. Auto błyskawicznie reaguje na naciśnięcie pedału gazu, a po przełączeniu na tryb sportowy wyprzedzanie staje się przyjemnością.

W cyklu mieszanym podczas testu auto spalało średnio 9,2 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

VW Golf w testach zderzeniowych Euro NCAP zdobył komplet pięciu gwiazdek. Elektroniczni asystenci ostrzegają przed pojazdami znajdującymi się w martwej strefie bocznych lusterek, a także alarmują w przypadku wykrycia niezamierzonej zmiany pasa. Auto ostrzega też, gdy zbyt szybko zbliżamy się do samochodu poprzedzającego, a w razie konieczności w mieście jest w stanie nawet samodzielnie uruchomić hamulce, gdy komputer wykryje, że w przeciwnym razie z pewnością dojdzie do kolizji. W trasie przydaje się też adaptacyjny tempomat.

CENA

Za usportowionego Golfa w wersji kombi trzeba zapłacić co najmniej 173,9 tys. zł, czyli o niemal 100 tys. zł więcej niż za Variant bez literki „R" na grillu. To oczywiście tylko cena wyjściowa – po doliczeniu opcji ostateczna cena na fakturze błyskawicznie zbliży się do granicy 200 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Focus ST Kombi, Seat Leon Cupra ST, Skoda Octavia Combi RS.

Jacek Przybylski

eprasa.pl 132a84d606

MATEUSZ KOŚCIUKIEWICZ · SEBASTIAN FABIJAŃSKI · KAROLINA SZYMCZAK · ERYK LUBOS · MAGDALENA CIELECKA · MARIAN DZIĘDZIEL · PAWEŁ DELĄG · WOJCIECH MECWALDOWSKI · ALEKSANDRA GINTROWSKA · ADAM WORONOWICZ

GWIAZDY

WIELKA PIŁKA I WIELKA MIŁOŚĆ

JUŻ NA
DVD I BLU-RAY

KINO ŚWIAT

wp · FILMWEB · wprost · DEMOTYWATORY.PL · empik · EKSTRAKLASA · FILM · Multikino · dlaStudenta.pl · STYLOWI.PL · DO RZECZY · radio ZET

eprasa.pl 132a84d606

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Wiedeń skręca na prawo

MARCIN MAKOWSKI: Przedterminowe wybory w Austrii wygrała chadecka Partia Ludowa, drugie miejsce zajęła prawicowo-populistyczna Partia Wolności. Kanclerzem zostanie najprawdopodobniej 31-letni Sebastian Kurz. Czy nie taki – prawicowy – scenariusz wieszczyłeś po wyborach prezydenckich?

MATTHEW TYRMAND: Dokładnie taki. Austria od zawsze była rozdarta między Zachodem, tj. wpływami francusko-niemiecko-szwajcarskimi, a Wschodem, czyli Węgrami, kulturą Galicji oraz słowiańszczyzną. Jeśli ktoś zapomni o tej drugiej składowej tożsamości państwa austriackiego oraz jego przeczuleniu, jeśli chodzi o ochronę granic, to wpadnie w klasyczną pułapkę intelektualną. Jednym słowem zacznie tłumaczyć i przewidywać tamtejszą politykę tymi samymi metodami, co gdyby chodziło o bardziej liberalne Niemcy. Pierwszy sygnał, że to błędne założenie, pojawił się w zeszłym roku, gdy za sprawą udokumentowanych oszustw wyborczych pozbawiono zwycięstwa w wyborach prezydenckich mocno prawicowego Norberta Hofera. Następnie głosowanie powtórzono, ale w takim momencie, aby zatroszczyć się o niską frekwencję jego bazowego elektoratu. W wyborach parlamentarnych nie dało się zastosować tego samego wybiegu, a dzięki mobilizacji społeczeństwa uzyskano prawdziwy obraz jego preferencji politycznych. Dlatego nie jestem zaskoczony, że środowiska konserwatywne i populistyczne utworzą w Austrii koalicję, która będzie miała prawie 60-procentową większość. Dzięki temu skutecznie zajmie się rygorystyczną polityką imigracyjną oraz z większym dystansem i mandatem podejdzie do negocjacji z Unią Europejską.

Polska może coś zyskać na tym politycznym przetasowaniu? Ponoć Kurz w roli realnych partnerów widzi państwa starej Unii oraz Pragę i Budapeszt...

Moim zdaniem austriackie wybory to dobra wiadomość dla Zjednoczonej Prawicy, ponieważ nawet jeśli w wielu kwestiach będzie się różnić z austriackim rządem, to w zagadnieniach istotnych – czyli we wspomnianej postawie wobec Unii oraz uszczelniania granic – zyska realnego sojusznika. Jeśli pytasz, czy Sebastian Kurz może zmienić kurs i dogadać się za plecami V4 z Berlinem i Paryżem, to oczywiście jest to możliwe, ale będzie miało krótkie nogi. On wie, jaki jest jego mandat wyborczy i że pochodzi w dużej mierze od ludzi niechętnych postawie Angeli Merkel. Zresztą niemieckie media nie kryją zaniepokojenia wyborem Kurza. O czymś to przecież świadczy. Również koalicjant Austriackiej Partii Ludowej, czyli Austriacka Partia Wolności, będzie stał na straży realizacji realistycznej polityki europejskiej, która w naturalny sposób zbliża ją do stanowiska państw Grupy Wyszehradzkiej oraz – nie możemy o tym zapominać – idei Trójmorza.

Austria zaangażuje się w realną współpracę w ramach zainicjowanej przez Polskę idei Trójmorza? Nazwij mnie człowiekiem małej wiary, ale tego nie widzę.

Oczywiście przeorientowanie dotychczasowej polityki nie wydarzy się w jedną noc, ale ten proces już trwa. Po raz pierwszy od wielu dekad zachodniocentryczny Wiedeń zaczyna spoglądać w przeciwnym kierunku. Co istotne, również pod względem rozwoju gospodarczego. To kraj mocno kapitalistyczny, w którym możliwość zrobienia dobrego interesu przeważa nad argumentami ideologicznymi. Mało osób o tym wie, ale Platforma storpedowała inicjatywę połączenia polskiej oraz austriackiej giełdy papierów wartościowych, na przeszkodzie stanęła jej nacjonalizacja OFE. Nie zapomniano jednak, że korzystając ze wzrostu gospodarczego w Polsce, biznes można połączyć z ociepleniem relacji dyplomatycznych. Dlatego właśnie jestem optymistą. Przewidziałem taki obrót wypadków, uważałem, że fala prawicowo-populistyczna wcale się nie zatrzymała, a z czasem będzie przybierać na sile. Austria jest idealnym przykładem tego, że mówimy o zmianie wektora ideowego, który dawno wyszedł poza zasięg regionalny. Wypada nam się tylko z tego cieszyć. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 132a84d606

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

PRENUMERATA

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ KSIĄŻKA „LUTER. CIEMNA STRONA REWOLUCJI"

TO KSIĄŻKA Z JEDNEJ STRONY O WSPÓŁCZESNYM KOŚCIELE, A ŚCIŚLEJ MÓWIĄC, O TYM, DLACZEGO WSPÓŁCZESNY KOŚCIÓŁ KATOLICKI CAŁKIEM INACZEJ PATRZY NA MARCINA LUTRA, NIŻ ROBIŁ TO W PRZESZŁOŚCI. TO TAKŻE KSIĄŻKA O HISTORII, KIM NAPRAWDĘ BYŁ MARCIN LUTER.

77 zł OSZCZĘDŹ!

142 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ ZESTAW TRZECH KSIĄŻEK I CD

ZAMÓW PRENUMERATĘ I ODBIERZ ZESTAW UPOMINKÓW: „ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA", „PATRZEĆ JAK ŚWIAT PŁONIE", „EMIGRACJĘ AMBICJI" ORAZ CD Z UTWORAMI PROJEKTU „PANNY WYKLĘTE".

220 zł

295 zł OSZCZĘDŹ!

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 132a84d606

OKIEM BLOGERKI

Rząd się sam wyleczy

KATARYNA

62 proc. Polaków uważa, że rezydenci mają prawo prowadzić protest głodowy, a tylko 18 proc. twierdzi, że zarabiają wystarczająco. Jak widać, mimo zmasowanej i wyjątkowo obrzydliwej propagandy rządowej telewizji korzystającej z „najlepszych" wzorców z czasów słusznie minionych, nie udało się Polaków napuścić na lekarzy. „My wyjeżdżamy, wy umieracie" – piszą na transparentach lekarze. I dobrze sobie uświadomić, że taka jest właśnie stawka tego protestu. Trzeba tylko uczciwie przyznać, że rząd PiS niczego lekarzom nie zabrał, a obecna sytuacja to efekt zaniedbań wszystkich rządów po 1989 r. Także dwóch kadencji PO, która teraz zachowuje się tak, jakby PiS zepsuł świetnie funkcjonujący system, który mu zostawiła.

Gdyby politycy musieli korzystać z publicznej służby zdrowia, może zaczęliby jej problemy traktować priorytetowo

Gdyby politycy musieli korzystać z publicznej służby zdrowia, może zaczęliby jej problemy traktować priorytetowo. Jednak tak jak w PRL rząd się sam wyżywił, tak dzisiaj rząd się sam leczy. W rządowych klinikach albo w prywatnych przychodniach z abonamentów opłaconych dla nich publicznymi pieniędzmi. Co więc politycy mogą wiedzieć o prawdziwym stanie publicznej służby zdrowia, jeśli większość z nich zna ją tylko z serialu „Na dobre i na złe"?

W Polsce na 1 tys. pacjentów przypada dwóch lekarzy i jest to najniższy współczynnik w Europie. Uciekają. I trudno im się dziwić, jeśli za ciężką i odpowiedzialną pracę rezydenci dostają niewiele ponad 2 tys. zł. Dla porównania – tak, wiem, to tani populizm – o połowę tej kwoty podniesiono właśnie wynagrodzenia pracowników IPN, aby zrekompensować im „pracę w ciągłym stresie i napięciu", rezydent zarabia tylko dwa razy tyle, ile miesięcznie wydajemy na same tylko taksówki Krystyny Pawłowicz. Budżetowa kołdra jest, owszem, za krótka, ale właśnie o tym trzeba rozmawiać. Nie wiem, jak wielkie, ale na pewno jakieś oszczędności można znaleźć, racjonalizując niektóre procedury. Jeśli wiadomo, że każda kobieta co ileś lat powinna zrobić kontrolne badanie piersi, to dlaczego po skierowanie na nie musi iść do ginekologa, wydłużając kolejkę do niego tym, które idą z czymś więcej niż prośba o papierek? Czy w systemie eWUŚ nie można po prostu wynotować wszystkich badań profilaktycznych, jakie pacjentowi przysługują, i „wyciągnąć" go z tych kilku kolejek, w których wysiaduje po skierowanie. Oszczędność czasu dla pacjenta, skrócenie kolejek do lekarza, a przede wszystkim szybsze wykrywanie chorób, których leczenie jest przecież tańsze, jeśli zostaną wykryte na wczesnym etapie. To tylko jeden drobny przykład marnowania i tak zbyt skromnych zasobów w służbie zdrowia. Szkoda, że o tym nie rozmawiamy, zamiast roztrząsać, czy lekarz zjadł kawior, czy pastę z oliwek. Gdybyśmy kiedyś zaczęli, mogłoby się okazać, że sama racjonalizacja systemu pozwoliłaby dać podwyżki lekarzom.

Jeśli władza z lekarzami wygra, to za granicę albo do prywatnych praktyk uciekną ostatni frajerzy, którzy jeszcze chcą nas leczyć za pieniądze niewspółmierne do wykształcenia i odpowiedzialności, a my będziemy czekać w coraz dłuższych kolejkach do coraz bardziej przemęczonych lekarzy. ©℗

PODSŁUCHANE

Głośna jak dzwon

Kamila, musisz...
Słuchaj, Ryszard, ja nie zamierzam milczeć, gdy jest łamana konstytucja, którą ja już znam od deski do deski i jestem w stanie cytować w zamkniętymi oczami o każdej porze dnia i nocy w dowolnym punkcie i na wyrywki, bo konstytucja to jest nasze podstawowe prawo i my nie możemy pozwolić na jej łamanie, bo jeśli pozwolimy, to...
Ale jak...
... jeśli pozwolimy, mówię, to jest już po nas i ten mały dyktatorek z Nowogrodzkiej, który się teraz jeszcze płotem odgrodził od narodu, wyśle po nas po prostu swoich żołdaków, a ci nas wyciągną nad ranem z łóżek i nawet się nie zorientujemy, a już będziemy w jakiejś nowej Rebezie Kartuskiej czy jak się to tam nazywało, a wtedy...
Jak oni mają nas wyciągnąć z łóżka, skoro...
... nic nam już nie pomoże i nawet choćby nie wiem jak krzyczał Timmermans z Junckerem i tak już tam zostaniemy, i będziemy jakieś drzewa rąbać czy kamienie łupać, a świat o nas zapomni, tak jak my zapomnieliśmy o naszej świętej konstytucji, bo ty musiałeś...
Jakie drzewa?
... akurat pojechać z Asią na Maderę czy do Madrytu, wszystko jedno, bo przecież nie o to chodzi, a jeśli myślisz, że nam Adrian pomoże, to mylisz się całkowicie, bo...
– Zamknij się!!! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wystarczy otworzyć zachodnią telewizję albo wziąć do ręki zachodnią gazetę, aby przekonać się, w jak prowincjonalnym grajdole żyjemy".

PROF. JAN HARTMAN, *publicysta, na swoim blogu*

eprasa.pl 132a84d606

Aktorzy

fot. Jerzy Gumowski

Będąc obywatelem PRL–u miałem z aktorami styczność dubeltową: wewnętrzną i zewnętrzną. Tę drugą jako oglądacz filmów tudzież widz teatralny, zaś wewnętrzną, czyli kontakt bezpośredni, dawały mi nie tylko moje sztuki vel scenariusze realizowane przez TVP (**„Bestseller”**, **„Czwarty poziom”** i trzyczęściowa **„Selekcja”**), dzięki którym zaznajomiłem się z całą aktorską czołówką rodzimą (od Holoubka do Zapasiewicza i Talara), lecz również wcześniejsza, pełna biesiad imieninowych, urodzinowych oraz bezrocznicowych komitywa towarzyska (jej motorem była Ewka Wiśniewska) z fantastyczną kompanią gwiazdorską (Janek Kobuszewski mieszkający przy tej samej ulicy co ja, nieomal *„za płotem”*, Piotrek Fronczewski, Krzysiek Kowalewski, Kazik Kaczor), którą uzupełniali dwaj sławni ludzie spoza teatru/filmu (Wojtek Młynarski i Jędrek Korzyński). Całe nocne godziny *„imprezowania”* i tak bajeczne dialogi, że szkoda, iż nie nagrywało się tych pereł humoru na magnetofon, aby po latach móc (gwoli przywoływania młodości) znowu *„boki zrywać”*. O nagrywaniu lepiej było nie myśleć, bo między jednym kieliszkiem a drugim szydziliśmy z *„ustroju”* i z *„kacyków”* ile wlazło. *„Władza”* zresztą wiedziała o wszystkim, choćby od innego mojego kumpla, Marka Piwowskiego (TW *„Krost”*).

Wśród intelektualistów wszystkich epok panowało przekonanie, że *„komedianci”* to z reguły półgłówki uchodzące za ludzi mądrych tylko dlatego, iż grają na scenie ludzi mądrych, wygłaszają przed publiką subtelne kwestie, etc. Moja *„paczka”* towarzyska przeczyła takiemu osądowi — byli to ludzie kultury i umysłowości wysokiej. Miewałem jednak i odwrotne doświadczenia, exemplum aktor i reżyser Hanuszkiewicz, dyrektor Teatru Narodowego. Lubił on brylować wśród sław, a ponieważ Łysiak był od 1974 roku królem *„czarnego rynku księgarskiego”* (rekordowa poczytność) — zaprosił pisarza na weekend do pałacu w Radziejowicach (Ośrodek Pracy Twórczej Ministerstwa Kultury i Sztuki). Przyjąłem tę propozycję, bo mam sentyment wobec Romantyzmu, a Hanuszkiewicz uchodził za speca od tej epoki (wystawiał Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego), sądziłem tedy, że intymne gadki między nami na temat twórczości Romantyków mogą być interesujące. Pojechaliśmy z żoną, i nim jeszcze przywitaliśmy Hanuszkiewiczów przekroczywszy próg ich komnat pałacowych, doznaliśmy szoku, albowiem Zofia Kucówna (małżonka Hanuszkiewicza) miała świeże ślady łez i pobicia (tzw. *„limo”*) na twarzy, co wyglądało niezbyt romantycznie. Przy stoliku z kawą Hanuszkiewicz perorował jak automat o Mickiewiczu, popisując się wiedzą, lecz był to stek banałów i bzdur nie do zniesienia, więc słuchając zdumiewałem się, że wcześniej brałem tego idiotę (ulegając pozorom) za człowieka inteligentnego, i cały czas dudniło mi w głowie rozpaczliwe pytanie: *„Jesus Christ, what I am doing here?!...”*. Wytrzymałem niespełna trzy godziny i uciekliśmy stamtąd. Ale przejdźmy do czasów obecnych:

Wśród społeczeństwa (czyli elektoratu) aktorzy są lubiani z oczywistych przyczyn typu *„m jak miłość”*, co stanowi dla PiS kłopot, bo większość naszych starych i młodych *„komediantów”* gdacze dziś publicznie prosalonowo, ganiąc PiS. Można się dziwić dlaczego tak pogłupieli, iż wolą obrzydliwą salonowość platformerskiego rodzaju, ale trzeba pamiętać, że identycznie jest na całym świecie — aktorzy nielewicowi/niesalonowi są wszędzie *„wyjątkami potwierdzającymi regułę”* rytualną. Głośny jankeski komentator prawicowy Rush Limbaugh wyraził swego czasu taką opinię o hollywoodzkich *„komediantach”*: *„Umysły naszych kochanych aktorów są zatrute idiotyzmami. Nie twierdzę, że nie wierzą w to co mówią gdy wygadują głupoty polityczne, ekonomiczne bądź kulturowe, uważam wszelako, że czynią to jak roboty, bo przecież nie są ekspertami, a jedynie paplają słowa, które ktoś inny włożył im w usta. Mają prawo bredzić — Pierwsza Poprawka do Konstytucji daje im to prawo. Problem pojawia się z chwilą, kiedy służalcze, lizusowskie media nie kwestionują takich wypowiedzi, tym samym nadając aktorom status ekspertów, czyli osób nieomylnych bez względu na temat, na jaki się wymądrzają. Czy pamiętacie Państwo Jessikę Lange, Sally Field, Sissy Spacek i Meryl Streep zeznające przed Kongresem w sprawie farmerów? Jakież to kwalifikacje zawodowe zezwoliły tym paniom zabierać ważny głos odnośnie polityki rolnej? Ano grały w filmach o farmerach...”*.

∞

*Wład. Reymont (**„Komediantka”**): „Komediancki świat! Udawania, które później bierzecie za rzeczywistość. To psuje duszę!”*

*Henryk Sienkiewicz (**„Ta trzecia”**): „Teatr psuje dusze, zwłaszcza kobiece”*

∞

Nasi aktorzy grywają w filmach, w których polityka jest głównym lub obocznym tematem, sądzą więc, że mają pełne prawo zabierać publicznie ekspercki głos na polityczne tematy, perorować o problemach partyjnych/międzypartyjnych, etc. Gros spośród nich wykłada telewidzom, iż *„dyktatura «Kaczora»”* to *„Faszyzm”* i *„Ciemnogród”*. Bardzo by chcieli zobaczyć kaczystowskie lochy *„Ciemnogrodu”*. Dawno temu Konstanty Ildefons Gałczyński proroczo pisał o gościu pragnącym zobaczyć jak naprawdę wygląda *„Ciemnogród”*:

„Chryzostom Bulwieć chce Ciemnogród
ujrzeć, wciąż piszą o tym gazety;
patrzy na globus: Barcelona, Brema,
a gdzie Ciemnogród? Oto problemat.

Gdzie się dowiedzieć? Jak to wyjaśnić?
Chryzostom Bulwieć nie może zasnąć.
Wertuje księgi, szuka w opisach,
w końcu po radę idzie do Lisa”.

Lis, zanim wyjaśnił to głośno w **„Lisweeku”**, Bulwieciowi wyjaśnił szeptem. Co było dalej?

„Od szeptu Lisa, fala po fali,
szept poszedł w tłumie, wszyscy szeptali”.

W tłumie KOD–owsko–PO–wskim, któremu wtórują celebryci, z aktorami na czele (Janda i banda). Baby w pierwszym szeregu, Stalińska, Ostaszewska czy Szczepkowska, która na początku roku (styczeń) deklarowała: *„Jestem przeciwna działaniom PiS (...) Idę przeciw PiS (...) Z czystym sercem głosowałam na PO”*, by kilka miesięcy później (kwiecień) zaprząc do uwalania PiS–u Holocaust, wzorem pani Cieleckiej, która czuje się w satrapii *„Kaczora”* jak Żydówka poza gettem w Generalnym Gubernatorstwie. Joanna Szczepkowska podziela ten strach: *„Nie jestem zwolenniczką PiS i bardzo się boję. Boję się na poziomie takim, na jakim człowiek boi się o życie. Najbardziej boję się słów Jarosława Kaczyńskiego o lepszej i gorszej części narodu. I przychodzą mi do głowy tamte skojarzenia...”*. Po czym wymienia te skojarzenia, na czele z komorami gazowymi, do których hitlerowcy pakowali gorszą część społeczeństwa. Czy leci z nami psychiatra?

Bogdan Dobosz: *„Stawianie «komediantów» (czyli «użytecznych idiotów», którym się wydaje, że bronią wolności) w roli czołowych recenzentów polityki — to wymysł typowy dla naszych zepsutych czasów i przykład aberracji postawionego do góry nogami świata”* (2017). Konstruktorzy tej akrobatycznej figury, salonowcy, cierpią wskutek braku represji wobec ich skamleń o braku wolności. W tym aktorzy, co wojują politycznie za swoją potrzebą celebrycką, której widać nie zaspokaja kamera ani scena. Mają jednak przerąbane, gdyż nie doczekają się komór gazowych oraz pisowskich plutonów egzekucyjnych. PiS bowiem to bardzo złośliwy oprawca, lubi robić dobrym ludziom na złość. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 132a84d606

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 132a84d606